

KONRAD STASZEWSKI

# ŚMIERĆ NA ŚNIEGU



 SAGA  
EGMONT

Konrad Staszewski

# Śmierć na śniegu

Saga

*Śmierć na śniegu*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2011, 2021 Konrad Staszewski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726930702

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

# Spis treści

- 1.Strona tytułowa*
- 2.Karta redakcyjna*
- 3.Dedykacja*
- 4.Rozdział 1
- 5.Rozdział 2
- 6.Rozdział 3
- 7.Rozdział 4
- 8.Rozdział 5
- 9.Rozdział 6
- 10.Rozdział 7
- 11.Rozdział 8
- 12.Rozdział 9

*Wszystkim, którzy po śmierci mojej mamy okazali się Ludźmi i Przyjaciółmi.*

# Rozdział 1

Poczułem na twarzy powiew zimnego powietrza. To dziwne. Może nie zamknąłem drzwi po wejściu do mieszkania?

Zadrzałem z zimna. Chłód przeniknął moje ciało, zupełnie jakbym poszedł spać nago. Niemożliwe... Nieraz w życiu wypłem więcej niż wczoraj, często na drugi dzień niczego nie pamiętałem, ale zawsze zasypiałem i budziłem się w ubraniu. Zresztą, nie tylko ja, większości chłopaków z kryminalistyki czasem to się zdarzało.

A może zapomniałem zamknąć okno w pokoju? Na dworze straszyl koniec listopada, noce były coraz chłodniejsze, według synoptyków nadchodziła zima stulecia.

Postanowiłem nie otwierać od razu oczu. Powieki miałem ciężkie, jakby przyklejone butaprenem. Chciało mi się palić, zacząłem więc szukać ostatniej paczki papierosów i metalowej zapalniczki, pewnie rzuconej pod łóżko.

Jednak moja ręka nie natrafiła na żadną przeszkodę.

- Psiakrew!

Wreszcie dotkliwy ziąb zmusił mnie do otwarcia oczu.

- O, kurwa! - moje przekleństwo odbiło się echem w obolałej głowie. - Gdzie ja jestem? Halo, jest tu kto?

Odpowiedziało mi tylko echo, zupełnie jakby naśmiewało się ze mnie.

To jakiś koszmar. Przecież zasnąłem w swoim łóżku, w mieszkaniu, to dlaczego leżę teraz na śniegu?!

Z trudem się podniosłem. Wszystko mnie bolało i czułem się tak, jakby ktoś pogruchotał mi kości. Rozejrzałem się dokoła. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zacząłem rozróżniać kontury otaczających mnie drzew. Stałem w głębokim lesie, pokrytym śniegiem, który musiał niedawno spaść. Jednak nie to mnie zaszokowało - nie wszechogarniające zimno, nie śnieg i nie las, dokąd okiem sięgnąć, tylko to ciało.

Leżało u moich stóp. Spoczywało na brzuchu, ale nie miałem pewności, czy należało do kobiety, czy mężczyzny. Pochyliłem się. Nie ruszał się, wyglądał na martwego. Czyżby ten człowiek zamarzł? Może się upił, a kiedy spadł śnieg, doznał szoku termicznego?

Nagle zza chmur wyłonił się księżyc i zobaczyłem to, czego nie dostrzegłem wcześniej - w przeciwieństwie do mnie, nieboszczyk był ubrany. Na plecach trupa leżał pistolet. Pewnie morderca uciekał i w pośpiechu zostawił narzędzie zbrodni. A może to jakaś wskazówka?

Rozejrzałem się dokoła, ale na białej płaszczyźnie pośród drzew dostrzegłem tylko pojedyncze ślady stóp. Przypomniały mi się wszystkie tandetne seriale detektywistyczne, które kiedyś nałogowo oglądałem.

Nagle milion pytań zaczął kłębić się w mojej głowie.

- Nie ruszaj się! Ręce do góry! Drgniesz tylko, a rozwalę ci łeb, gnoju! - niespodziewanie ktoś krzyknął za moimi plecami.

Nim zdążyłem się odwrócić, napastnik podciął mi nogi i upadłem z powrotem na śnieg obok denata. Pod ręką poczułem mały, gładki kształt. Osobnik za moimi plecami nie pozwolił mi nawet zaprotestować, przygniół kolaniem i założył kajdanki na przeguby. Leżałem z rękami wykręconymi na plecach, w ustach mając śnieg zmieszany z błotem.

- To twoje? – zapytał i podsunął mi przed oczy pakunek, który wyglądał jak mój portfel.

- Chyba tak – odpowiedziałem.

Po chwili mężczyzna jednym szarpnięciem podniósł mnie z ziemi. Chciałem się odwrócić i coś powiedzieć, ale kątem oka zobaczyłem tylko wycelowaną we mnie lufę pistoletu. Poczulem silne uderzenie w tył głowy i straciłem przytomność.

\*

Odzyskałem ją w niezbyt przyjaznym miejscu. Cella, w której mnie umieszczono, była zimna i nieprzyjemna. Pojedyncze, zakratowane okno wpuszczało niewiele światła. Denerwowało mnie, że sobotę spędzę w areszcie, obawiałem się, że może się to przeciągnąć na cały weekend. Nic jednak nie mogłem na to poradzić.

Wolno, niczym osiemdziesięcioletek z reumatyzmem, zwlokłem się z pryczy, zmusiłem do porozciągania kości, póki nie usłyszałem ich trzeszczenia. Poza tym nadal mnie bolały.

Zaczęła mnie łupać głowa, jakby ktoś bez znieczulenia przeprowadzał mi trepanację czaszki. Dotknąłem skroni - bolała jak diabli. Na domiar złego słyszałem krzyki innych więźniów. Nie szczędzili mi gróźb i wyzwisk. Czyżby dowiedzieli się, że jestem policjantem? Na szczęście w samej celi nie miałem współtowarzyszy.

Przez chwilę zastanawiałem się, gdzie jestem. Po ciemku nie rozpoznałem lasu, w którym się obudziłem, trudno więc ustalić, który komisariat stał się moim tymczasowym domem.

Na pewno nie były to Katowice. Przecież ani moi koledzy, ani tym bardziej zastępca komendanta, Karwas, nie uwierzyliby, że mógłbym zamordować kogoś, chyba tylko w obronie własnej. Ci, którzy mnie tu przywieźli, z pewnością sprawdzili w bazie danych, kim jestem. Byłem pewien, że zaczęli już przygotowywać raport.

Liczyłem, że przesłuchanie potwierdzi moją niewinność i wypuszczą mnie z tego przeklętego miejsca.

\*

Słyszałem, jak klawisz otwiera kraty do niektórych cel i podaje więźniom posiłki. Drzwi skrzypiały niemiłosiernie. Moja krata była pewnie tak samo zardzewiała.

Wreszcie usłyszałem odgłos szybko zbliżających się kroków, którym towarzyszyły zwierzęce wrzaski innych lokatorów tego przybytku. Po chwili ktoś otworzył moją celę i do środka weszło dwóch umundurowanych strażników, mniej więcej w moim wieku. Domyślałem się, że mogli być mniej doświadczeni ode mnie, ale wyglądali na służbistów i czułem, że niewiele uda mi się z nimi załatwić.

Zaraz zresztą w progu stanął trzeci strażnik. Wydawał się niewiele starszy ode mnie, jednak siwizna już wkradała się w jego wąsy i brwi. Brązowe oczy spoglądały na mnie przyjaźnie. Był przynajmniej o kilkanaście centymetrów wyższy ode mnie.

Funkcjonariusze bez pardonu pchnęli mnie do wyjścia.



- Przepraszam, ale musiała zajść jakaś pomyłka. Jestem...

Nie dokończyłem. Przerwało mi niespodziewane, silne uderzenie w kręgosłup. Starszy strażnik walnął mnie blondynką<sup>[1]</sup> i skuł mnie.

Chociaż jego oczy nie zmieniły swojego wyrazu i nadal łudziły fałszywą przyjaźnią, głos zabrzmiał twardo i beznamiętnie:

- Idziemy i ani słowa, póki nie pozwolę.

Wcale nie miałem zamiaru się odzywać, ale obiecałem sobie w myśli kiedyś inaczej porozmawiać z tym skurwielem.

Zawlekli mnie do pomieszczenia z dwójgim drzwiami, za to bez okna. Pojedyncza, wisząca pod sufitem żarówka oślepiła mnie. Minęło kilka sekund, zanim moje oczy przyzwyczyły się do sztucznego oświetlenia. Wiedziałem, że to jest działanie psychologiczne często stosowane na komisariatach: przesłuchiwany po wyjściu nigdy nie wiedział, ile czasu przebywał w takim pomieszczeniu.

Dla mnie najgorsze było to, że nie wiedziałem, w którym kierunku zostanie poprowadzone przesłuchanie i przez kogo.

Strażnik posadził mnie na krześle i otworzył kajdanki. Nie pozwolił mi jednak rozruszać nadgarstków, wykręcił ręce do tyłu i ponownie zatrzasnął kajdanki, unieruchamiając dłonie między oparciem krzesła. Wyszedł i zamknął drzwi pomieszczenia przesłuchań. Mając trochę czasu, mogłem przyjrzeć się umeblowaniu. Pokój był nowy, ale stół nie. Pochodził chyba jeszcze z czasów PRL-u i pewnie już wtedy służył do przesłuchań. Nadal straszył niechlubną przeszłością. Dostrzegłem ślady po papierosach i plamach krwi.

Minęło kilka minut, zanim drugimi drzwiami weszli dwaj mundurowi. Przez ten czas myślałem o systemie. Dziwne, pracuję w wydziale kryminalnym, ale do tej pory jakoś nigdy nie zastanawiałem się nad tym całym aparatem śledczym i traktowaniem podejrzanych. Zabrano mi wszystko, co miałem przy sobie, a więc zegarek i sygnet. Na pewno także portfel z dokumentami. Gdy byłem nieprzytomny, ubrano mnie w jakieś łachmany, ale w tej chwili oddałbym nawet je za możliwość zaciągnięcia się papierosem.

Obaj oficerowie byli do siebie bardzo podobni. To samo zimne, nienawistne spojrzenie, ostre wschodnie rysy twarzy. Jakby tego mało,

krótko obcięci, wyglądali, jakby wyszli prosto z siłowni. Różnili się tylko wiekiem i naramiennikami. Jeden z nich, ten starszy, na oko sześćdziesięcioletni, był komisarzem, a drugi podkomisarzem. Starszy trzymał w ręce foliowy woreczek, w którym dostrzegłem jakieś zdjęcia. Nie wiedziałem jeszcze, z kim mam do czynienia.

Usiedli po drugiej stronie stolika, naprzeciwko mnie i przyglądali mi się przez chwilę w milczeniu. Usłyszałem trzask włączanego odtwarzacza i z głośników doleciał mnie głos:

- Krystian Rokicki, lat czterdzieści. Urodzony dwudziestego siódmego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Z zawodu policjant, w stopniu starszego aspiranta, zatrudniony w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Kawaler. Miejsce urodzenia i zamieszkania - Katowice, Polska.

Głos z magnetofonu ucichł i pierwszy raz odezwał się starszy z przesłuchujących.

- Zgadza się?

Postanowiłem nie odpowiadać. Musiałem przyznać, że byłem zaskoczony ich pomysłowością. Niektóre komisariaty na przykładzie tego mogły uczyć się oszczędności: zamiast aspiranta – magnetofon, a protokolanta pewnie kamery i zapis audio-video. Co prawda nigdzie nie dostrzegłem kamery ani mikrofonów, ale też funkcjonariusze nie byli protokolantami. Nie wszystkie komisariaty w naszym kraju były tak dobrze wyposażone.

- Zadałem panu pytanie czy przedstawione dane są zgodne z rzeczywistością.

Spojrzałem komisarzowi prosto w oczy.

- Nie wiem... - zawiesiłem głos. Postanowiłem nie kończyć swojej myśli i pozostawić ich w niepewności.

- Jak to pan nie wie?

- Nie wiem, czego uczyli was na studiach, ale mnie uczono logiki. Policja gromadzi dane z wywiadu, a potem sama weryfikuje ich zgodność z prawdą z różnych źródeł. Odczytywanie ich przesłuchiwanemu służy tylko uzyskaniu potwierdzenia z jego ust.

Zaschło mi w gardle.

- W związku z tym, czy te dane są zgodne z prawdą?

- Uczyli mnie także, że pytania retoryczne nie wymagają żadnej odpowiedzi.

Od kilkudziesięciu minut znajdowałem się na silnym głodzie nikotynowym. Nie czułem go, gdy byłem nieprzytomny, teraz wrócił ze zdwojoną siłą.

- Ale jakiejś właśnie pan udzielił.

- Właśnie - uśmiechnąłem się na myśl, że moje odpowiedzi stają się coraz bardziej zdawkowe i coraz mocniej denerwuję przesłuchujących.

- Uważasz się za cwaniaczka, co? - podkomisarz zaczął tracić już cierpliwość. Wstał zza stołu i oparł się dłońmi o blat. Zmarszczył krzaczaste brwi i krzyknął mi prawie w ucho. - Erudyta się znalazł, co?!

Uśmiechnąłem się tylko i odpowiedziałem wymownym milczeniem.

- Dość!

- Daj spokój i siadaj - zwrócił mu uwagę starszy. Tamten spojrzał na niego zupełnie zaskoczony, ale posłuchał.

- A może papierosa? - starszy z funkcjonariuszy wyjął z kieszeni paczkę i zapalniczkę. Wiedziałem już, że odpowiem na każde pytanie.

- To jak, czy te informacje są zgodne z prawdą?

- Tak.

- Od jak dawna jest pan funkcjonariuszem?

- Od czternastu lat.

- Czy to pańska pierwsza praca?

- Tak, przyszedłem do policji od razu po studiach.

- W takim razie nie był pan idealnym studentem, chociaż i tak to niezła kariera, jak na żółtodzioba.

Znów odpowiedziałem milczeniem i szerokim uśmiechem na zaczepkę podkomisarza.

- Skąd to zainteresowanie mundurem?

- Za dużo naoglądałem się seriali sensacyjnych.

- Czyli nie było żadnych nacisków zewnętrznych?

- Nie.

- Czy zawsze po północy chodzi pan nago, czy tylko wtedy, gdy się udaje na miejsce zbrodni? - zapytał podkomisarz.

- Insynuuje pan coś? – warknąłem. Młodszy pomału zaczynał mnie irytować.

- Tylko głośno myślę.

- Mam nadzieję, że to także znajdzie się w protokole.

Moja złośliwość odniosła pożądany skutek, ponieważ policjant został wysłany po szklankę wody i kluczyk do moich kajdanek.

Starszy z przesłuchujących, gdy zostaliśmy sami w pokoju, wyjął zdjęcia z woreczka i podsunął mi pod nos. Zerknąłem na nie z zainteresowaniem. Uwieczniono na nich znalezionego przeze mnie denata. Ze zdumieniem zauważyłem, że ma inny kolor skóry. W nocy nie dostrzegłem tego.

- Czy zna pan tego człowieka?

- Nie. Widzę go pierwszy raz w życiu.

- Na pewno?

- Tak. Nie. Pierwszy raz zobaczyłem go w lesie dzisiejszej nocy.

- I nie zna go pan, nie wie, kim jest?

- Niestety nie. Za to wy już pewnie wiecie?

- Pracujemy nad tym. I niech mi pan wierzy, dowiemy się.

Zabrzmiało to jak groźba skierowana pod moim adresem.

- Te zdjęcia wykonano na miejscu zbrodni. Dzisiejszej nocy. Nie utrwalono na nich daty i godziny, ale mamy co do tego pewność. Więcej, domyślamy się, że zrobiono je jeszcze przed pańskim zatrzymaniem.

- Ja ich nie zrobiłem.

- Nie znaleźliśmy przy panu aparatu cyfrowego, to prawda, ale mógł pan je wykonać wcześniej i wrócić na miejsce zbrodni.

- Trochę to naciągane. Pewnie zrobił je morderca. Nie widzę na śniegu żadnych śladów. Stał do nich tyłem?

- Sprytnie, próbuje pan oddalić od siebie podejrzenia. Dobrze, zostawmy na razie ten temat. Czy posiada pan broń służbową?

- Tak, pistolet Glock.

- Gdzie on teraz się znajduje?

- Gdzieś w moim mieszkaniu.

- A dokładnie?

- Nie pamiętam, gdzieś go rzuciłem.

- Dlaczego przyszedł pan na miejsce zbrodni bez broni?

W tym momencie do pokoju wrócił podkomisarz. Postawił tuż przede mną szklankę z wodą, a swojemu koledze podał foliowy woreczek z pistoletem w środku. Zdjął mi kajdanki, a potem usiadł za stołem.

- Niech się pan zastanowi nad odpowiedzią. Spokojnie. Domyślam się, że ta rozmowa może być dla pana stresująca. Niech pan sobie zapali, może się napije.

Akurat tego ostatniego nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Z wody nie skorzystałem, ale tytoniu potrzebowałem jak ryba powietrza. Pozwolili mi w ciszy wypalić trzy papierosy. Boże, w życiu chyba gorszych nie paliłem. Cały czas obserwowali mnie w milczeniu. Zapaliłem kolejnego papierosa, ale tylko raz się nim zaciągnąłem. Sytuacja zaczynała mnie nieco śmieszyć i przerażać jednocześnie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że oni naprawdę chcą oskarżyć mnie o morderstwo. Postanowiłem walczyć.

- Spróbujmy coś sobie wyjaśnić. Nie wiem, gdzie jestem i w jaki sposób znalazłem się w lesie. Zasnąłem w swoim łóżku, a obudziłem się w zupełnie nieznanym mi miejscu, w dodatku nagi. Nikogo nie zamordowałem i nie znam ofiary.

Zacząłem kaszleć z wysiłku i musiałem znowu zaciągnąć się dymem. Moi oprawcy słuchali mnie tak, jak dzieci słuchają dobrze opowiedanej bajki.

Komisarz zapytał po dłuższej chwili namysłu:

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Tak, starszy aspirant Hieronim Rakowiecki.

- Sprawdzimy to. A teraz niech mi pan powie, czy poznaje tę broń - pchnął po stole w moją stronę woreczek z pistoletem.

- Oczywiście. To jest Glock, taki sam jak mój. To broń służbowa. U nas wszyscy taką noszą.

- Wszyscy w Komendzie Wojewódzkiej?

- Tak, ale nie tylko. Domyślam się, że pan także taką ma.

Zignorował moją zaczepkę, ale wydawało mi się, że dostrzegłem błysk rozbawienia w oczach młodszego.

- Czy to jest pański pistolet?

- Powiedziałem już, że moja broń jest gdzieś w domu.

- To także sprawdzimy. Czy może należeć do któregoś z pańskich kolegów?

- Możliwe, ale nie mogę tego zagwarantować. Nie tylko policjanci używają takiej broni. Bandyty także.

- Czy, kiedy znalazł się pan w lesie, dostrzegł pistolet na ciele ofiary?

- Tak, ale nie widziałem rany postrzałowej.

- Czy wie pan, co to była za broń?

- Niestety, nie rozpoznałem jej. Byłem w zbyt wielkim szoku. Domyślałem się jednak, że to ten.

- No dobra, bystrzaku. Tak, to ta broń - wtrącił się podkomisarz. - Zdjęliśmy z niej odciski palców.

Nastąpiła chwila teatralnej ciszy, po czym kontynuował:

- Niestety nie należą do ciebie.

Uśmiechnąłem się złośliwie. Chcieli, żeby były moje.

- Ale i tak cię dopadnę.

Starszy z przesłuchujących wstał, młodszy zrobił to samo i obaj opuścili pokój przesłuchań. W progu minęli się ze strażnikiem, który wszedł i ponownie założył mi kajdanki. Na szczęście nie był tak brutalny, jak poprzedni.

\*

Przyprowadzono mnie z powrotem, zdjęto kajdanki i wepchnięto do celi. Usiadłem na pryczy i oparłem głowę na dłoniach. Nie wiedziałem nawet, która jest godzina i ile czasu mnie już przetrzymują. Wiedziałem tylko, że nie mogą tego robić długo, jeśli nie postawią mi zarzutów. A jeszcze tego nie zrobili.

Słaby snop światła wpadał przez okno. Mogłem się tylko domyślać, że minęło południe. Chociaż to też nie wydawało mi się całkiem miarodajne. Nawet gdyby była noc, to i tak nie zmrużyłbym oka. Za dużo myśli kotłowało się w mojej głowie. Przypomniałem sobie, że dawno nie byłem na mszy w niedzielne południe. Postanowiłem sobie, że wybiorę się przy najbliższej okazji.

\*

- To chyba nie on - podkomisarz zaczął mieć wątpliwości. Wolał nie patrzeć w oczy swojemu koledze. Weszli do małego pomieszczenia.

- Na razie nie mamy nikogo innego. Tylko on był na miejscu zbrodni i pomimo tego, że na broni nie znaleźliśmy jego odcisków palców, jest naszym głównym podejrzanym.

- Wiem. Mam jednak wątpliwości.

- W takim razie słuchaj starszego rangą, zdaj się na moje doświadczenie. Teraz puść nagranie z przesłuchania.

Piotr Landorf podszedł do stojącego na stoliku przenośnego odtwarzacza DVD, otworzył kieszeń i włożył płytkę. W kilka sekund później na piętnastocalowym ekranie pojawił się obraz z pokoju przesłuchań. Z głośników dobiegły pierwsze słowa.

- Czego konkretnie szukamy?

- Jakiegokolwiek punktu zaczepienia - odpowiedział komisarz.

- Nawet naginanego?

- Powiedziałem, czegokolwiek.

Umilkli, ponieważ Rokicki na filmie zaczął odpowiadać na konkretne pytania. Landorf skupił swoją uwagę na zadawanych pytaniach i odpowiedziach przesłuchiwanego. Znał je i ponowne ich wysłuchiwanie wydawało mu się tylko stratą czasu. Lepiej mógłby go spożytkować, przeglądając dokumenty dotyczące defraudacji dużej sumy pieniędzy w banku, którą to sprawę prowadził od pewnego czasu. Orlicki wpatrywał się jednak w ekran jak zahipnotyzowany.

- Boi się. Udaje opanowanego, ale w głębi duszy wie, że musi się przyznać do popełnionej zbrodni.

- Odnoszę przeciwne wrażenie - zaprzeczył Landorf. - Wydaje mi się, że spokój w jego oczach, twarzy i całej osobie dowodzą raczej jego niewinności.

- Pamiętaj, pozory mylą.

- Właśnie, dlatego obaj możemy być w błędzie.

Komisarz nie odpowiedział.

Minęły trzy godziny, przejrzeni nagranie kilka razy. Cofali do ważniejszych odpowiedzi i analizowali mowę ciała. Niestety nie znaleźli żadnego punktu zaczepienia. Zrezygnowani wrócili do swoich gabinetów. W chwilę później zadzwonił telefon na biurku młodszego z funkcjonariuszy. Wyświetlacz aparatu pokazywał numer wewnętrzny Orlickiego. Landorf podniósł słuchawkę.

- Stało się coś?

- Nie. Pomyślałem tylko, że mógłbyś pojechać z kilkoma ludźmi do mieszkania Rokickiego i odwiedzić przy okazji tego Rakowieckiego.

- A co z twoim urlopem?

- Najpierw wsadzę go do pudła.

- Rokickiego?

- Tak, chyba, że tamten też jest winny, wtedy wsadzę obu.

Landorf zajrzał do systemu komputerowego i w wewnętrznym programie adresowym znalazł miejsce zamieszkania funkcjonariusza Hieronima Rakowieckiego. Kilku ludzi wysłał do mieszkania Rokickiego, a sam w towarzystwie jednego policjanta i kierowcy pojechał porozmawiać z Rakowieckim. Starszy aspirant mieszkał przy ulicy Ciesielskiej w Katowicach-Szopienicach.

Podkomisarz spojrział na czteropiętrowy blok. Był czysty i pomalowany. Widocznie ktoś zaczął wreszcie dbać o tę dzielnicę przynajmniej z zewnątrz. Sam budynek niczym nie różnił się od pozostałych. Rakowiecki mieszkał w typowym blokowisku. Znajdujący się niedaleko żłobek i dzieci bawiące się w okolicy dodawały tej części Szopienic kolorytu. Rosnące przed nim drzewa i kawałek trawnika mogły stanowić dobre miejsce obserwacyjne.

Landorf i towarzyszący mu policjant weszli na klatkę schodową. Podkomisarz pomyślał, że na wszelki wypadek lepiej najpierw delikatnie zapukać do drzwi, a dopiero w ostateczności je wyważyć.

Weszli na trzecie piętro, zapukał parę razy. Po chwili oczekiwania zerknął na drugiego policjanta i zapukał ponownie, tym razem mocniej. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę - drzwi nie były zamknięte na klucz. Funkcjonariusz machinalnie wyjął z kabury pistolet. Landorf



zrobił to samo, otworzył drzwi i równocześnie wpadli do mieszkania, z bronią w dłoniach. W całym bloku słychać było ich krzyk:

- Policja! Nie ruszać się!

\*

Kilka sekund po przyjeździe radiowozu, trochę dalej na ulicy Ciesielskiej, w cieniu bloku zatrzymał się niewyróżniający się niczym, czarny mercedes. Nie był oznakowany, nie miał nawet przyciemnianych szyb.

Kierowca także wyglądał zwyczajnie. Po sześćdziesiątce, ubrany w tweedową marynarkę i jeansowe spodnie. Gładko ogolony, krótko obcięty brunet.

Uchylił nieco szybę i spojrzął na zegarek. Funkcjonariusz i jakiś mężczyzna weszli do bloku pięć minut temu. Z tej odległości go nie rozpoznał. Kierowca postanowił więc poczekać, aż wrócą do radiowozu. Chciał zobaczyć, co robią. Nie miał pojęcia, ile to potrwa, ale był dość cierpliwym człowiekiem. Niczego się nie obawiał. Wiedział, że nie zostawił po sobie żadnych śladów w mieszkaniu.

\*

Minęło kilka minut, nim funkcjonariusz wybiegł z klatki schodowej i pobiegł za budynek, gdzie leżało ciało. Po kilku kolejnych minutach wrócił, podszedł do radiowozu. Przez opuszczoną przez kierowcę szybę chwycił nadajnik. Policjant krzyczał do mikrofonu i siedzący w czarnym aucie mężczyzna wyraźnie słyszał składany meldunek. Nie spodziewał się innego. Przecież był w tym mieszkaniu dzień przed nimi i jeżeli nic się nie zmieniło, wiedział, w jakim było stanie. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało, jakby starszy aspirant Rakowiecki nie wrócił na noc z pracy. Na łóżku leżała złożona w kostkę pościel, w szafce wyprane ubrania a przy drzwiach wyjściowych czekały równo ułożone buty i kapcie. Lodówka była pełna zapasów.

Wszystko niby normalnie, z wyjątkiem otwartego na oścież okna i ciała Rakowieckiego leżącego trzy piętra niżej, po drugiej stronie bloku. Z

chaszczy wystawała jednak ledwo widoczna ludzka dłoń. Nie zdziwiło go, że nikt tego nie zgłosił jeszcze na policję. Miejsce spoczynku denata znajdowało się między blokami. Mężczyzna domyślał się, że w tej dzielnicy mało kogo obchodziła śmierć policjanta. Mieszkańcy pewnie bali się zawiadomić władze o jego tragicznej śmierci. On też nie mógł tego zrobić, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Zapał już zmrok, ale pomimo późnej pory uliczka wkrótce zappełniła się radiowozami i ciekawskimi gapiami. Teraz wyglądała jak różnokolorowo oświetlona sala w dyskotecie. Przyjechał również patolog sądowy oraz kilku dziennikarzy. Ktoś zaczął robić zdjęcia. W tym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi na odjeżdżającego z wyłączonymi światłami czarnego mercedesa.

\*

Komisarz Orlicki poczerwieniał na twarzy. Z wściekłości trzęsły mu się ręce, gdy nalewał sobie wódki. Nie takich meldunku i raportu oczekiwał.

Co prawda, podkomisarz Landorf działał zgodnie z procedurami: zdał dokładny raport, wezwał patologa i wsparcie operacyjne, zabezpieczył teren przed wejściem nieuprawnionych osób i zaczął przepytawać mieszkańców w związku z zaistniałą sytuacją, ale przyjechali także dziennikarze i nie mógł już powstrzymać przecieków do prasy, a tego jego przełożony chciał uniknąć za wszelką cenę. Właśnie prasy obawiał się najbardziej. Rokicki na pewno miał w niej znajomości.

Orlicki już od lat cieszył się na awans. Trzy lata temu niestety musiał z niego zrezygnować. Teraz miał się go doczekać po powrocie z urlopu. Trzeba było tylko rozwiązać sprawę zabójstwa w lesie. Bez tego mógł znów pożegnać się ze stanowiskiem nadkomisarza. To była jego ostatnia szansa na awans przed pójściem na emeryturę. Nie chciał jeszcze kończyć swojej kariery zawodowej, ale bał się, że może nie tylko nie awansować, ale w każdej chwili usłyszeć, że już czas zwolnić miejsce młodszym funkcjonariuszom.

Pomimo tego, że było już północy, postanowił jeszcze raz przesłuchać starszego aspiranta i wydobyć z niego więcej informacji, które mógłby jakoś wykorzystać. Czekał jeszcze na oficjalny raport patologa. Był pewien,

że raport z przeszukania mieszkania Rokickiego otrzyma z samego rana. Stworzył specjalny zespół, który miał zająć się między innymi zdobyciem informacji na temat zamordowanego ciemnoskórego mężczyzny. W czasie porannego zebrania osobiście przydzielił każdemu z policjantów obowiązki. Nie liczył na cuda, ale na podstawie otrzymanych zdjęć postanowił odnaleźć jakichkolwiek krewnych denata. Komuś innemu polecił poszperać w urzędach meldunkowych i emigracyjnych. Orlicki nie wiedział, kto zrobił zdjęcia na miejscu zbrodni i czy wysłał je wszystkie do komisariatu na jego nazwisko. Nie chciał, żeby sprawa nabrała rozgłosu, ale domyślał się, że fotograf zostawił sobie kopie i na pewno zdażył skontaktować się już z mediami. Na wszelki wypadek kazał sprawdzić najbliższe laboratoria fotograficzne, ale obawiał się, że tajemniczy fotograf mógł mieć własny sprzęt, a wtedy zdjęcia nie byłyby nigdzie zarejestrowane. Jeszcze gorzej, jeśli zrobiono je aparatem cyfrowym i wydrukowano w domu, a ich autorem jest jakiś dziennikarz.

Trzeba to sprawdzić.

\*

Czarny mercedes zatrzymał się na ulicy Krzemionki, obok komisariatu. Kierowca otworzył schowek od strony pasażera i wyjął zapalniczkę i cygaretkę. Zapalił cygaro i uchylił szybę. Potem włączył radio i przestawił częstotliwość na odbiór rozmów z pokoju przesłuchań. Czekał.

\*

Przyszli po mnie. Nie byłem pewien, czy trwa jeszcze noc, czy już dzień. Jeśli dzień, to chyba niedziela.

Zaprowadzono mnie do tego samego pokoju przesłuchań, co poprzednio. Zaskoczyło mnie, że czeka na mnie tylko jeden funkcjonariusz, starszy z wcześniej przesłuchujących. Nie zdziwił mnie natomiast brak szklanki wody i papierosów.

Strażnik posadził mnie na krześle, skuł za oparciem ręce kajdankami i wyszedł.

Znów ta sama złowroga cisza. Słyszałem trzask magnetofonu, głos aspiranta, który podał nową datę przesłuchania i machinalnie odpowiedziałem twierdząco na pytanie, czy ja to jestem ja.

Komisarz i ja przez chwilę patrzyliśmy na siebie jak dwóch gladiatorów mających wyjść na arenę. Nie zmienił ubrania, wciąż chodził w mundurze. Śmierdziało od niego potem. Chyba całą noc spędził na komisariacie. Szkoda, że o tym nie wiedziałem, może zaprosiłbym go i zaproponował grę w pokera. A może lepiej nie - nie chciałbym jednak rozbierać się z tych łachmanów.

- Czy zdecydował się pan na skorzystanie z usług adwokata?

Spojrzałem mu głęboko w oczy. Były koloru wilka w lesie.

- Nie.

- Jak pan woli. Co pan robił w lesie? - komisarz ponownie zaczął wałkować ten sam temat.

- Nie wiem.

- Jak pan się tam znalazł?

- Nie wiem.

- Dlaczego był pan nagi?

- Nie wiem.

- Dobrze. Inaczej. Co pan robił wcześniej, zanim znalazł się w lesie?

- Spałem.

- A jeszcze wcześniej? - oficer starał się panować nad emocjami, a ja postanowiłem wyprowadzić go z równowagi. Wiedziałem przecież, że niczego na mnie nie ma, nie popełniłem przestępstwa i znaleziona broń też nie jest moja. W najgorszym wypadku jeszcze Rakowiecki mógł potwierdzić moją wersję wydarzeń.

- Nie pamiętam. Może sikałem, a może srałem.

Nie udało mi się jednak osiągnąć zamierzonego celu. Wiedział, po co tu przyszedł, a ja wiedziałem, że jestem niewinny i muszę to udowodnić.

- A nie, przypomniałem sobie. Byłem w pracy i się obijałem. Przepraszam, miałem na myśli to, że przeglądałem jakąś dokumentację sprzed trzech lat. To były ważne papiery. Nie pamiętam nazwiska, ale chodziło o jakiegoś komisarza.

Po twarzy Orlickiego przebiegł groźny cień. Nie zwróciłem na niego uwagi.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Tak, policjant w dyżurce.

- Czy miał pan wtedy broń?

- Tak.

- Kto to może potwierdzić?

- Ten sam dyżurny.

- Gdzie jest teraz pański pistolet?

- W moim mieszkaniu.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Nie przeszkadzać! - krzyknął komisarz.

- Przyniosłem raport z przeszukania mieszkania przesłuchiwanego.

- Wejść!

Drzwi się otworzyły, wszedł jakiś aspirant i położył dokument na stoliku. Chyba na coś czekał, ale usłyszał tylko „Wyjść!”. Gdy drzwi się za nim zamknęły, śledczy chwycił raport. Twarz pochmurniała mu coraz bardziej z każdym przeczytanym słowem.

Podniósł głowę znad dokumentu. Przeczytał go bardzo dokładnie.

- Mam tutaj raport z przeszukania pańskiego mieszkania - zaczął. - Znaleziono pana broń.

Uśmiechnąłem się lekko. Właśnie odniosłem kolejny tryumf.

- Pewnie rzuciłem ją pod łóżko.

- Nie. Do kosza na śmieci.

Nie potrafiłem ukryć swojego zdziwienia.

- A wracając do meritum – odłożył dokument na stół - co jeszcze może potwierdzić starszy aspirant Rakowiecki?

- Choćby to, że po pracy podrzucił mnie do domu i sporo wypiliśmy.

- Doprawdy?

- Proszę go zapytać.

- Chętnie bym to zrobił, ale to niestety nie jest możliwe. Odwiedziliśmy go w jego mieszkaniu i znaleźliśmy martwego w krzakach.

Ta informacja zwała mnie z nóg.

- Rozumiem, że nikt inny nie może za pana ręczyć?

- Nie.

Widziałem satysfakcję w jego oczach.

- Przesłuchanie zakończono o godzinie czwartej piętnaście.

Po tych słowach komisarz zupełnie niespodziewanie wstał i przywołał strażnika. Nie poczekał, aż tamten wyprowadzi go z pokoju. Zabrał papiery i wyszedł pierwszy. Nawet nie obejrzał się za siebie.

\*

Kierowca mercedesa przestawił odbiornik na zwykłe radio. Usłyszał to, na co czekał. Wiedział, że przyszedł już odpowiedni moment, żeby wkroczyć do akcji.

Wyrzucił niedopałek cygara przez okno i wysiadł z samochodu. Zamknął go i włączył autoalarm. Postanowił zadzwonić na komisariat z takiego miejsca, w którym nie zostanie łatwo zidentyfikowany. Przeszedł przez Warneńczyka i wszedł do hotelu „Korona” przy ulicy Kalwaryjskiej. Spytał recepcjonistę, czy mógłby skorzystać z telefonu. Obiecał, że zapłaci za rozmowę, więc mężczyzna nie miał nic przeciwko temu. Wbił numer 911 i dyżurnego potraktował jak operatora sieci. Poprosił o połączenie z Komisariatem Policji V. Mężczyzna po drugiej stronie linii zaklął kilka razy, ale brunet nie dał się spławić. Po minucie słownej utarczki został połączony z komisariatem.

- Aspirant Łoboda, słucham.

- Dzień dobry. Mówi generalny inspektor Leon Stefański. Jestem Komendantem Głównym Policji. Dzwonię z Komendy Głównej Policji w Warszawie. Z komisarzem Robertem Orlickim proszę.

- Przepraszam, ale w tej chwili nie wolno mi przeszkadzać. Przed chwilą skończył kogoś przesłuchiwać i zamknął się w swoim gabinecie. Czy coś mu przekazać?

- Proszę mu tylko powiedzieć, że przyślę wam kogoś.

- A dokładniej?

- Chciałbym, żeby to było niespodzianką.

- Komisarz Orlicki wybiera się na urlop...

- I liczy na awans. Właśnie w tej sprawie dzwonię.

- Nie rozumiem.

- To nie zajmie dużo czasu. Nie chcielibyśmy, żeby powtórzyła się przykra sytuacja sprzed trzech lat. Czy mogę na pana liczyć?

- Oczywiście, przekażę. Kiedy nastąpią odwiedziny?

- Jeszcze dzisiaj.

Kierowca mercedesa odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do własnych myśli. Zapłacił za rozmowę i wyszedł z hotelu. Wrócił do samochodu i pojechał do domu.

\*

Wróciłem do swojej celi, a raczej zostałem do niej wrzucony. Nie wiedziałem, dlaczego jeszcze mnie nie wypuszczono z aresztu. Przecież byłem niewinny i wiedzieli o tym. Pewno uwzięli się na mnie. Z drugiej strony, rozumiałem ich. Byłem jedynym podejrzanym o popełnienie zabójstwa. Jedyna osoba, która mogłaby potwierdzić moje alibi, nie żyła. To także było co najmniej dziwne. Rakowiecki nigdy mi nie wspominał o żadnych wrogach. Nie mówił też o kłopotach. Zawsze widziałem go pełnego wigoru i w dobrym humorze. Nie miałem pojęcia, kto mógłby go zabić albo chociaż chcieć jego śmierci. Nie byliśmy przyjaciółmi, jedynie dobrymi kolegami z pracy, ale mieliśmy podobne poglądy na życie. Chciałbym chociaż być na jego pogrzebie, lecz moje nadzieje na szybkie opuszczenie celi tonęły we mgle.

- Chcesz żarcie? - strażnik wytrącił mnie z rozmyślań. Był to pierwszy ludzki odruch, z jakim się tutaj spotkałem. Przynajmniej tak pomyślałem. W odpowiedzi skinąłem twierdząco głową.

- To sobie złap - zaśmiał się szyderczo. - To może być twoja ostatnia okazja. Niedługo pewnie postawią ci zarzuty i przeniosą do wspólnej celi. Tam dopiero zaczyna się życie.

Strażnik zamknął kratę i zostawił mnie sam na sam ze swoim przerażeniem. Uświadomiłem sobie, że wkrótce minie czterdzieści osiem godzin od momentu mojego zatrzymania.

Tej nocy także nie zmrużyłem oka. Nie wierzyłem już swojemu umysłowi. Nie wiedziałem, czy to tylko moje urojenia, czy przesłyszenia, ale zdawało mi się, że słyszałem już obietnice codziennych męskich zabaw we wspólnej celi, składane przez innych więźniów.

## Rozdział 2

Orlicki również nie mógł zasnąć. Zaraz po przesłuchaniu Rokickiego powinien iść do domu, ale zebrał jeszcze raz powołany przez siebie zespół. Chciał mieć pewność, że nie wydarzyło się coś niespodziewanego.

Jednak nie udało się zdobyć żadnych informacji o zabitym w lesie, którym okazał się niezidentyfikowany dotąd mężczyzna. Jeden z policjantów podał Orlickiemu wydrukowane odpowiedzi z urzędów meldunkowych i emigracyjnych. Pracownicy obejrzeliby przesłane mailem zdjęcia denata i porównali z innymi. Bez rezultatu. Ludzie z ITAKI, Centrum Poszukiwań Ludzi Zaginionych, zestawili otrzymane zdjęcia z posiadanymi w swojej bazie, ale także nie dostarczyli żadnych istotnych informacji. Kilku funkcjonariuszy sprawdziło okoliczne bary czy hotele, ale również nie dowiedzieli się niczego przydatnego.

Komisarz ucieszył się w myśli z rezultatów poszukiwań. Nieznany denat zamordowany bez powodu potwierdzał hipotezę zabójstwa na tle rasowym. W ten sposób raz na zawsze mógł pozbyć się Rokickiego. Wszystko szło zgodnie z planem. Czekał jeszcze tylko na raport patologa. Wiedział, że po następnym przesłuchaniu starszego aspiranta będzie mógł zupełnie spokojnie postawić mu zarzut popełnienia morderstwa.

Teraz tylko jedno nie dawało mu spokoju. To on musiał pod nieobecność rzecznika prasowego, jako osoba wyznaczona przez komendanta komisariatu, zwołać konferencję prasową, a bardzo tego nie lubił. Wierzył jednak, że poradzi sobie i z tą przeszkodą. A potem upragniony urlop i awans. Wcześniej liczył na to, że uda mu się zakończyć tę sprawę następnego dnia, tuż po lunchu.

Zamiast tego całą noc był spięty i robił porządki w swoim gabinecie i papierach, żeby wypaść jak najlepiej podczas wizytacji.

O spotkaniu aspirant poinformował go tuż po zakończeniu rozmowy z komendantem Stefańskim.



Orlicki spojrział na zegarek. Dochodziła szósta rano. Podniósł słuchawkę i zadzwonił po strażnika. Postanowił jeszcze przed śniadaniem przeprowadzić przesłuchanie Rokickiego.

Zgasił światło i wyszedł z gabinetu.

\*

Zabrano mnie do pokoju przesłuchań w dużym pośpiechu. Nie wiedziałem, co było jego powodem, ale udzieliła mi się gorączka otaczająca strażnika. Obaj prawie biegliśmy.

Klawisz posadził mnie na krześle, wykręcił i skuł ręce tak mocno, że o mało nie krzyknąłem z bólu.

Trzeci raz usłyszałem z magnetofonu swoje dane personalne i odpowiedziałem twierdząco na zadane mi pytanie.

Komisarz tym razem nie usiadł naprzeciwko mnie. Krążył po pokoju niczym sęp nad umierającą ofiarą. W ręce trzymał jakiś dokument.

- Przypomniał pan sobie, co robił w lesie?

- Nie, ani tego, jak się w nim znalazłem i dlaczego byłem nagi.

- Mam tutaj raport patologa.

Widocznie dostał go przed chwilą albo tuż po nocnym przesłuchaniu. Inaczej miałby go już podczas poprzedniego spotkania.

- Patolog, który przeprowadził badania w laboratorium, napisał, że „ofiarą jest mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna o ciemnym kolorze skóry. Morderstwo prawdopodobnie zostało popełnione na tle rasistowskim. Ofiara nie została zastrzelona, lecz uderzona, prawdopodobnie ręką pistoletu, tak mocno, że straciła przytomność. Śmierć zadano zupełnie innym narzędziem. Denat został wypatroszony przy użyciu jakiegoś ostrego narzędzia. Wnętrznosci zostały ułożone w znak swastyki. Ofiara długo umierała w męczarniach. Morderstwa dokonano nie później niż o godzinie trzeciej rano”. Tyle mówi raport podpisany przez patologa i jego asystenta.

Funkcjonariusz stanął na chwilę w miejscu, oparł dłonie na stole i spojrział mi głęboko w oczy.

- Czy chce pan coś do tego dodać?

- Nie.

- Gdzie jest narzędzie zbrodni? - zapytał mnie otwarcie. A ja odpowiedziałem mu wprost:

- Jestem niewinny.

- Pan tak twierdzi, ja jestem innego zdania.

- Jestem niewinny - powtórzyłem ostrzejszym tonem.

- Ustalmy pewne fakty. Był pan w lesie, nagi, w środku nocy i nie pamięta, jak się tam znalazł ani co robił. Stał pan na śniegu, a przed nim leżało ciało zamordowanego czarnoskórego mężczyzny. Ponadto na śniegu znaleziono tylko denata i ślady jego mordercy. Dzień wcześniej, wraz ze swoim kolegą, spożywał pan alkohol w nadmiernej ilości. Starszy aspirant Rakowiecki zginął w tajemniczych okolicznościach i nie może pana bronić. Moim zdaniem, pod wpływem alkoholu, w amoku dokonał pan morderstwa na tle rasistowskim. Oskarżam pana o morderstwo.

- Jestem niewinny! - krzyknąłem z wściekłością. Powtórzyłem to kilka razy jak mantrę. - Żądam adwokata!

- Pańskie żądanie jest dla mnie rozkazem.

Komisarz i ja równocześnie spojrzeliśmy na drzwi, przez które niespodziewanie wszedł wysoki mężczyzna. Tuż na nim, jak burza, wbiegł aspirant i już w progu zaczął się tłumaczyć:

- Przepraszam, ale ten pan nie chciał poczekać ani chwili. Pokazał mi tylko polecenie wyjazdu służbowego podpisanego przez Komendanta z Komendy Głównej Policji w Warszawie, generała Leona Stefańskiego, i gdy usłyszał pański głos zza drzwi, wszedł bez pozwolenia.

Obaj patrzyliśmy na niego, zupełnie zaskoczeni. Zastanawiałem się, czy nie było mu zimno w samej marynarce. Co prawda anomalie pogodowe stały się normalnością, ale wciąż mieliśmy koniec listopada. Gdy dwa dni temu szedłem spać, nic nie zapowiadało opadów śniegu, mimo że synoptycy przewidywali na pierwsze dni grudnia początek siarczystej zimy. Śnieg musiał spaść nagle, w ciągu dwóch, może trzech godzin. W przeciwnym razie nie otaczałby mnie w lesie. W dzień musiało być cieplej, skoro przybyły mężczyzna nie miał na sobie żadnego płaszcza.

Orlicki spoglądał na niego spode łba. Sprawiał wrażenie, jakby go znał i niezbyt lubił.

- Może zostawić nas pan samych? - przybyły zapytał aspiranta, a komisarz niechętnie skinął głową na potwierdzenie.

Aspirant w milczeniu opuścił pomieszczenie i zamknął za sobą drzwi.

- Znowu się spotykamy, panie Robercie. Ile to lat minęło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni? Trzy?

Orlicki nie odpowiedział. Patrzyłem na nich w milczeniu, jak widz siedzący w kinie i oglądający jakiś dobry thriller.

- Pamiętam, że czekał pan wtedy na awans.

- A pan zniweczył tę moją szansę i teraz znowu się pojawia. Mam nadzieję, że to spotkanie będzie dla mnie szczęśliwsze, panie Mierzejski.

- Ja także.

- Nadal jest pan prywatnym detektywem?

- Tak.

- Co pana tu sprowadza?

- Siedzący tu pan Krystian Rokicki.

- Nie rozumiem. Znamy się?

To była chyba jakaś paranoja, pierwszy raz widziałem faceta na oczy, a on twierdził, że przyszedł w mojej sprawie.

- Nie, ale znałem pańskiego kolegę, starszego aspiranta Rakowieckiego. Kiedyś zadzwonił do mnie i powiedział, że obawia się o swoje życie, ktoś go śledził i prosił, żebym skontaktowałem się z panem. Niestety nie zdażyłem tego zrobić i on zginął, a pan został zatrzymany.

- Jestem niewinny.

- Wierzę panu i dlatego tu jestem. Myślę, że razem uda nam się rozwiązać zagadkę pańskiego zatrzymania i tajemniczego morderstwa w lesie. Chciałbym jak najszybciej zapoznać się z dokumentacją przedmiotowej sprawy, i to najlepiej w pańskim gabinecie - zwrócił się do Orlickiego.

- Skąd pan wie o morderstwie?

- Z mediów - odpowiedział detektyw i, nie czekając na reakcję komisarza, wyszedł z pokoju.

Orlicki i ja popatrzyliśmy się na siebie zupełnie zdezorientowani.

Komisarz wybiegł po chwili jak oparzony. Po mnie przyszedł strażnik i zaprowadził do celi. Z zamieszania wynikły jednak dla mnie co najmniej trzy plusy: po pierwsze, nadal siedziałem w tej samej pojedynczej celi. Niby postawiono mi oficjalny zarzut popełnienia morderstwa, ale nie zgodziłem się na niego, wiedząc, że przesłuchujący mnie funkcjonariusze nie mają podstaw, jedynie poszlaki. Trzecim plusem było to, że miałem jakiegoś obrońcę, który mnie poparł.

Siedziałem w celi i poważnie zastanawiałem się nad ostatnimi zdarzeniami. Przynajmniej się nie nudziłem. Nie miałem całkowitej pewności, za to wrażenie, że moja sytuacja uległa radykalnej zmianie. Nie zwracałem już uwagi na krzyki innych więźniów. Wiedziałem, że w końcu będą musieli mnie stąd wypuścić.

Dawno już straciłem rachubę czasu. Krata otworzyła się niespodziewanie. Byłem pewien, że znowu ujrzę klawisza, ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zobaczyłem twarz Mierzejskiego. Podał mi czyste ubranie.

- Mam nadzieję, że rozmiar pasuje. Proszę się przebrać.

Posłuchałem. Ubranie było trochę za duże.

- Jak się pan czuje?

- Jak niewinnie oskarżony - odpowiedziałem.

W chwilę później opuściliśmy budynek komisariatu, odprowadzani wściekłym wzrokiem komisarza. Widział, jak wsiadaliśmy do czarnego mercedesa.

Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Nazwy ulic, Krzemionki i Zamoyskiego, nic mi nie mówiły. Minęliśmy jakiś kościół. Strzelista wieża, półokrągłe wejścia. Moim zdaniem wszystkie kościoły wyglądają tak samo i nie ma w nich niczego interesującego.

- Chce pan wejść i się pomodlić?

- Powinienem podziękować, że się pan pojawił w moim życiu, ale nie - zastanawiam się gdzie jesteśmy.

- W Krakowie. To kościół redemptorystów.

Powoli zacząłem wszystko rozumieć. Niedawno dość mocno została zmieniona struktura policji. Naczelną komórką była Komenda Główna Policji znajdująca się w Warszawie. Podlegało jej szesnaście większych

komend, w tym wojewódzka w Katowicach, która sprawowała kontrolę nad mniejszymi komisariatami, takimi jak na przykład ten w Krakowie, który oficjalnie podlegał pod tutejszą Komendę Wojewódzką. Współpraca byłaby prawie idealna, gdyby nie animozje personalne między pracownikami i przełożonymi na wszystkich szczeblach. Niestety rzeczywistość wyglądała inaczej. Jak w każdym zawodzie, dochodziło do sporów kompetencyjnych i zapewne stałem się jedną z ich ofiar. Funkcjonariusze i jednostki organizacyjne prześcigały się w statystykach wykrywalności przestępstw. Podejrzałem, że przesłuchujący mnie funkcjonariusze nie lubili mojego przełożonego i żeby mu dopiec, weszli na jego rewir i mnie zatrzymali. Oczywiście komisarz prowadzący dochodzenie powinien był skontaktować się z komendą w Katowicach, ale wątpiłem czy to zrobił. Chyba że to Karwas wysłał do mnie detektywa. Wolałem się upewnić.

- Zna pan Macieja Karwasa, zastępcę komendanta w Katowicach?

- Nie.

Zaniepokoiłem się. Przestałem się czuć bezpiecznie w jego towarzystwie. Zorientowałem się, że Mierzejski miał cenny dar bardzo szybkiego rozwiązywania problemów. Może to wszystko było ukartowane? Może na komisariacie uczestniczyłem w jakiejś chorej grze? Może to nie było zwykłe przesłuchanie, tylko jakiś rodzaj testu mojej prawdomówności? Nie zostałem przecież podłączony do wykrywacza kłamstw.

Wcale nie miałem pewności, czy Mierzejski naprawdę jest tym, za kogo się podawał, czy mnie także okłamał, ale na początku wzbudził we mnie pełne zaufanie.

Nie zauważyłem, kiedy wjechaliśmy na autostradę A4. Teraz już niewiele kilometrów dzieliło mnie od mojego mieszkania. Pomyślałem, że jeśli zostałem porwany, mógłbym spróbować jakoś uciec. Było jednak za późno. Piesza ucieczka autostradą nie miała sensu, zresztą jak miałem wyskoczyć? Jechaliśmy sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Mierzejski niespodziewanie zwolnił do stu kilometrów, żeby nie wjechać w bagażnik forda. Spojrzał najpierw w tylne lusterko, a potem w lewe boczne. Skręcił i mocno wdepnął pedał gazu. Nawet nie zauważyłem,

kiedy włączył i wyłączył światło mijania. Wyprzedziliśmy jakiegoś volkswagena.

- Skąd pan zna przesłuchującego mnie komisarza?

Uspokoilem nieco rytm serca i odzyskałem równomierny oddech. Chyba naprawdę był tym, za kogo się podawał albo miał niezłe znajomości w policji, skoro teraz przekraczaliśmy dozwoloną na autostradzie prędkość o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nie skomentowałem tego jednak.

- Na razie to bez znaczenia. Ważne, czy ty go rozpoznałeś.

- Ja? A powinienem?

- Tak. Mówi ci coś nazwisko Orlicki?

W zamyśleniu podrapałem się po nasadzie nosa. To nazwisko krążyło mi po głowie, ale nie mogłem go z nikim skojarzyć.

- Postaraj się sobie przypomnieć. To bardzo ważne i od tego może zależeć twoje życie.

Zdawałem sobie sprawę, że znalazłem się na łasce tego rzekomego detektywa, ale miałem na tyle rozumu, żeby z nim współpracować.

- Wie pan, kiedy odbędzie się pogrzeb tego ciemnoskórego?

- W najbliższy wtorek. Chcesz w nim uczestniczyć?

- Niekoniecznie. Ale jestem ciekaw, czy coś o denacie wiadomo.

- Do tej pory nie odnaleziono nikogo z jego krewnych ani znajomych. W każdym razie tak mi powiedziano na komisariacie. Mam swoje powody, żeby nie wierzyć Orlickiemu, ale to samo stwierdził spotkany na korytarzu policjant. On natomiast nie miał powodu kłamać.

- To po co organizują pogrzeb?

- Myślą, że może przyjdzie na niego morderca. Albo żeby uspokoić media.

- Media? - zapytałem zaskoczony.

- Aha, faktycznie. Pewnie nic nie wiesz o tych zdjęciach z miejsca zbrodni. Ten, kto je wykonał oryginały wysłał Orlickiemu, a kopie do gazet. W schowku znajdziesz jedną z nich.

Otworzyłem go i rzeczywiście znalazłem tam aktualne wydanie gazety. Już na pierwszej stronie zobaczyłem jedno ze zdjęć, które pokazał mi oficer prowadzący przesłuchanie. Teraz już wiedziałem, skąd Mierzejski wiedział o morderstwie i postawieniu mnie w akt oskarżenia.

- Pan je wykonał?

Odpowiedziało mi milczenie. Postanowiłem zdrzemnąć się kilka minut.

\*

Obudziło mnie złe przeczucie. Dokoła widziałem bloki, ale nie przypominały mi zabudowań Katowic. Widocznie w czasie mojego snu Mierzejski zjechał gdzieś i mnie wywiózł.

Przetarłem zaciśniętymi pięściami oczy jak płaczące małe dziecko. Detektyw zatrzymał samochód koło postoju taksówek, tuż przed kościołem. Dopiero teraz zorientowałem się, że przywiózł mnie do Sosnowca.

Poznałem go, chociaż mijalem zaledwie raz w życiu. Mam dobrą pamięć wzrokową. Z reguły zapamiętuję nazwy miast i rzeczy, z którymi mam do czynienia. Teraz patrzyłem na kościół p.w. Św. Jacka. Może i był ładny i w miarę nowy, wybudowany w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale.... Nie podobało się mi to, że nie jestem w Katowicach. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do swego mieszkania i obudzić się z tego koszmaru.

- Co my tu robimy? - zapytałem, gdy wysiedliśmy z mercedesa. Mierzejski nie odpowiedział, tylko wszedł po schodach i nacisnął klamkę w środkowych drzwiach. Były zamknięte. Potem sprawdził lewe, prawe i wszystkie wokół budowli. Także okazały się zamknięte. Detektyw zszedł na parter i sprawdził pozostałe. To samo.

- Proboszcz tej parafii jest moim starym przyjacielem. Chciałem odwiedzić go przy okazji i porozmawiać z nim.

- Rozumiem.

Mierzejski spojrzał na mnie bystro.

- Zabiłeś tego ciemnoskórego?

- W tym miejscu klnę się na Boga i przysięgam ci, że nikogo nie zamordowałem - odważyłem się odpowiedzieć detektywowi per „ty”. Skoro on do mnie tak mówił, to dlaczego nie miało to działać w obie strony? Nie skrzywił się na moją odpowiedź. - Masz jeszcze jakieś pytania?

- Ja nie, ale Orlicki na pewno nie zostawi nas w spokoju, dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana. Poza tym przesłucha cię jeszcze w sprawie śmierci Rakowieckiego.

- Ciebie też - dodałem, gdy wsiadaliśmy do samochodu. - Nie idziesz do znajomego?

Widać było, że detektyw właśnie zmienił zdanie, coś przyszło mu do głowy.

- Kościół poczeka, nie ma nóg, to mi nie ucieknie. A co do mojego przesłuchania, nie sędzę, żebym mógł powiedzieć cokolwiek o denacie. Aha, dobrze, że przeszliśmy na „ty”. Nie lubię oficjałek – dodał uśmiechając się lekko. – Ale nie myśl sobie, że to coś więcej niż wygodna rozmowa, jasne?

Skinąłem głową, w której miałem co innego.

- Nie znasz Rakowieckiego? Przecież powiedziałeś, że zwierzył ci się ze swoich obaw!

- Tak powiedziałem - przyznał, a ja popatrzyłem na niego podejrzliwie. Miałem do niego coraz mniej zaufania.

- Musiałem wyciągnąć cię jakoś z aresztu. Tak naprawdę o Rakowieckim dowiedziałem się jakiś czas temu z informacji prasowych. Tak samo zresztą, jak i o tobie.

- W takim razie, dlaczego mi pomagasz?

- Dlatego, że wierzę w twoją niewinność. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Wydaje mi się, że śledczy Orlicki ma coś na sumieniu i szuka kozła ofiarnego. Gdy sobie przypomnisz, kim jest, zrozumiesz.

- Oskarżasz go o morderstwo?

- Oskarżę, jeśli znajdę dowody.

Minęliśmy „Real” i popędziliśmy wreszcie w moje strony.

\*

Młody mężczyzna uśmiechnął się lekko i potarł dłonią przyklejone sztuczne wąsy. Polubił tę grę. Tknięty niejasnym przecuciem włączył komputer i zalogował się na skrzynkę mailową. Bez zastanowienia otworzył maila z banku. Domyślił się, że to zawiadomienie o wpłynięciu pieniędzy. Nie pomylił się – poinformowano go o zasileniu konta pewną pokaźną kwotą. Nie miał odwagi wypowiedzieć jej na głos. Nadawca przelewu pozostawał ukryty. Mężczyzny nie obchodziło, w jaki sposób jego kontrahent anonimowo dokonał zapłaty. Rozliczenia między kontami i



kontrahentami były już tajemnicą banku. Nie chciał w to wnikać, bo i co go to obchodziło? Najważniejsze, że wszystko szło zgodnie z planem i otrzymał zapłatę. Jeszcze nigdy w życiu za jedno zlecenie, w czasie jednej nocy nie zarobił trzydziestu tysięcy złotych. Dodatkowo nieźle sobie popił z tym całym Rokickim. Uśmiechnął się na samo wspomnienie ostatniej przygody. Był zadowolony także z tego, że od razu po powrocie do domu zdjął mundur policjanta i bez sentymentu wrzucił go do pieca.

Wyjrzał przez okno swojej jednopiętrowej willi. Pojedyncze ciemniejsze chmury sunęły po niebie. Był pewny, że zanim dojdzie na przystanek i dotrze na uczelnię, znów spadnie śnieg. Spojrzał na grafik zajęć, leżący na biurku. Wprawdzie to była niedziela, ale dzisiaj miał fakultatywne warsztaty. Włożył płaszcz i dopił resztę kawy. W przedpokoju czekała przygotowana aktówka.

Kilka minut później wyszedł z domu i skierował się w stronę dworca. Na przystanku tramwajowym wsiadł do piątki i pojechał na zajęcia. Uwielbiał odgrywać czyjeś role, nie tylko w Filmówce, gdzie studiował. Ostatnia rola była nie byle jaką gratką. Miał szczęście, że bliźniaczo przypominał Hieronima Rakowieckiego. Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

\*

Orlicki trząśł się z wściekłości. Musiał się uspokoić. Znalazł w szufladzie jakieś tabletki i połknął je nie patrząc nawet na datę ważności. Pomyślał, że alkohol zawsze pomagał i zabijał wszelkie zarazki. Kilka razy w życiu zażył przeterminowane leki i zawsze, gdy je przepił, nic mu nie było. Wyjął z biurka szklaneczkę i wcześniej zaczęłą butelkę wódki. Miał gdzieś, że ktoś mógł wejść i zobaczyć go spożywającego alkohol.

Dopiero po kilku łykach przyszło odprężenie, uspokoił się i przestał drzeć. Wyjrzał przez okno. Słońce wolno zaczęło chować się za chmurami, a z nieba znów poleciały płatki śniegu. W wiadomościach zapowiadali przelotne opady aż do wieczora. Komisarz nie obraziłby się, gdyby Mierzejski i Rokicki mieli wypadek po drodze do Katowic. Żłudne nadzieje. W radio usłyszał, że tam nowe opady miały nastąpić dopiero wieczorem.

Chwycił słuchawkę i wystukał numer komendy wojewódzkiej w Katowicach. Niestety, policjant dyżurny potwierdził zeznania Rokickiego. Orlicki zaklął z wściekłości. Zastanawiał się przez chwilę, czy był sens organizować pogrzeb ciemnoskórego mężczyzny, ale postanowił nie zmieniać planów.

Następnie pomyślał o zdjęciach i szumie medialnym wokół morderstwa. Nie domyślał się, kto mógł je wykonać i miał na tyle odwagi, żeby go szantażować. Znow musiał się napić.

\*

Czekał na ten telefon długo i był już pewny, że jego tajemniczy zleceniodawca zakończył ich znajomość. Telefon komórkowy odezwał się jednak dopiero pomiędzy drugimi i trzecimi warsztatami.

- Słucham – odebrał rozmowę.

- Jaki ma pan humor? – głos jego rozmówcy był fachowo zniekształcony, tak samo, jak poprzednim razem.

- Jak po dobrze zrealizowanym zleceniu.

- Rozumiem, że przelew dotarł na pańskie konto – to było raczej stwierdzenie faktu, aniżeli pytanie.

- Tak. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

- Jest pan dobrym materiałem na aktora. Bardzo nam pan pomógł.

Dziękuję.

- Polecam się na przyszłość.

- Będę pamiętał. Miłego dnia.

- Wzajemnie.

Rozmowa została zakończona i młody mężczyzna wrócił na warsztaty sceniczne.

\*

Robert Orlicki bez namysłu chwycił ponownie słuchawkę telefoniczną. Wcześniej uchylił lekko drzwi i spojrzał przez szparę, aby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje. Kilku funkcjonariuszy widziało, jak wychodził wcześniej z gabinetu i starał się, żeby nikt nie zauważył, kiedy wrócił.

Szybko wybrał numer telefonu. Po drugiej stronie aparatu rozległy się irytujące trzaski i dopiero po dłuższej chwili ktoś odebrał połączenie.

- Ile mam czekać? – denerwował się Orlicki.

- Przepraszam – usłyszał w odpowiedzi. Ale było to puste słowo. Głos jego rozmówcy zdradzał butę.

- Macie teraz jakieś zadania?

- Nie.

- A jesteście w Katowicach?

- Tak.

- Dobrze. Macie obserwować dwóch ludzi: Dariusza Mierzejskiego i Krystiana Rokickiego. Podejrzewam, że przyjadą do mieszkania tego drugiego, do Katowic-Szopienic. Informujcie mnie o wszystkim, co tylko wyda się wam choć trochę podejrzane. Chcę wiedzieć, co robią. Uważajcie też na tego Mierzejskiego, to detektyw.

- Rozumiem. Ale od trzech lat nie jesteś już naszym szefem. Zostawiłeś nas.

- Wiesz, że to nieprawda, że przeniesiono mnie wbrew mojej woli. Teraz mamy okazję odegrać się na Mierzejskim. To przez niego nas rozłączono.

- Mam nadzieję. Pamiętaj jednak, że to tylko przysługa z dawnych czasów - ostatnia. Nie mam zamiaru narażać swojej dupy za ciebie.

Orlicki był wściekły. Rzucił telefonem o ścianę. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Nie dostrzegł cienia pod drzwiami.

\*

Landorf z początku myślał, że się przestyszał. Podeszedł do drzwi i przekonał się, że wizyta u laryngologa nie będzie potrzebna.

Pomyślał, że Robert otrzymał już raport patologa w sprawie śmierci Rakowieckiego. Podkomisarz chciał go zobaczyć. Był ciekawy wyników.

Poza tym zastanawiał go brak odcisków palców podejrzanego na broni znalezionej w lesie. Przecież, kimkolwiek był morderca czarnoskórego mężczyzny, musiał zostawić po sobie jakiekolwiek ślady. Na pewno na broni znajdowały się odciski palców. Tylko czyje? Dlaczego do tej pory ich nie zidentyfikowano? Na te pytania podkomisarz bardzo chciał poznać

odpowiedzi. Nie dawał mu spokoju także sposób, w jaki Rokicki znalazł się w lesie. Jego zdaniem najbardziej prawdopodobne było, że ktoś przywiózł go na miejsce zbrodni i zostawił, a potem wezwał policję. To sugerowało, że podejrzany został wrobiony w morderstwo. Co prawda funkcjonariusze, którzy go zatrzymali, nie wspominali o innych śladach, tylko swoich i Rokickiego, ale śnieg mógł je szybko zasypać.

Na razie jednak postanowił nie ujawniać swych wątpliwości Orlickiemu.

Z początku chciał zapukać do jego gabinetu, wejść i porozmawiać, ale rozmyślił się, gdy przypomniał sobie przebieg usłyszanej przed chwilą rozmowy. Robert wspomniał w niej o Dariuszu Mierzejskim, detektywie, i Landorf nie miał wątpliwości, że chodziło o tego samego człowieka, który widniał na dwóch dobrze mu znanych fotografiach. Jedną trzymał w domu. Zdjęcie, dla niego bardzo ważne, zostało oprawione w ramkę i postawione na komodzie w przedpokoju. Drugą fotografię podkomisarz miał w pracy na biurku. Obydwie przedstawiały go jako młodego chłopca przytulającego się do matki. Obok nich, trzymając ją po przyjacielsku za rękę, stał uśmiechnięty detektyw. To on uratował ich z płonącej kamienicy. Bezinteresownie. Przypadkiem znalazł się w pobliżu i usłyszał krzyki. Ryzykował dla nich życiem. Był bohaterem, który nie chciał zaistnieć w mediach i nie pragnął rozgłosu ani sławy. W takim razie dlaczego Orlicki postanowił go śledzić i co łączyło Mierzejskiego z Rokickim?

Landorf delikatnie zapukał do drzwi.

- Wejść.

- Cześć. Przed chwilą przyjechałem. Przechodziłem akurat korytarzem i usłyszałem jakieś uderzenie. Nic się nie stało?

Przerwał, widząc groźną minę komisarza. Udał, że nie dostrzegł roztrzaskanego telefonu.

- Ja też dopiero wszedłem. Wszystko w porządku - gładko skłamał Orlicki. - Martwiłem się o ciebie. Długo cię nie było.

Podkomisarz wyczuł unoszący się w pomieszczeniu zapach alkoholu, cofnął się i stanął w progu.

- Musiałem przespać się trochę we własnym łóżku. Nie spodziewałem się takiego widoku, jaki zobaczyłem z balkonu Rakowieckiego. W gazetach

i radio dziennikarze trąbią o zdjęciach.

- Wyobrażam sobie. Niedobrze, że straciliśmy kolejną osobę, którą moglibyśmy przesłuchać. Ta sprawa coraz bardziej nie daje mi spokoju.

- Dlatego pomyślałem, że moglibyśmy dzisiaj wypuścić tego Rokickiego i nieco go poobserwować. Niedługo minie czterdzieści osiem godzin, a my nic na niego nie mamy. Nie możemy go dłużej tak trzymać. To byłoby bezprawne.

Ku zaskoczeniu podkomisarza Orlicki nie zanegował jego stwierdzenia. Nie potwierdził też, że znalazł haka na podejrzanego.

- Sukinsyna już tu nie ma.

Komisarz dał wreszcie upust swojemu zdenerwowaniu.

- Dobrze, że go wypuściłeś.

- Nie miałem wyjścia. Ktoś zadzwonił i podał się za Stefańskiego z Warszawy. Z Komendy Głównej.

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska - zdziwił się Landorf.

- Ja też nie. Myślałem, że to ktoś nowy, ale teraz nie mam już co do tego pewności. Powiedział, że przyśle tu kogoś, żeby sprawdził, czy jestem godny awansu. Dzisiaj rano przyjechał niby jego człowiek, a tak naprawdę to Mierzejski. Nie wiem, czy go znasz. Ten człowiek już kiedyś namieszał mi w życiu. Teraz postanowił bronić Rokickiego. Świącie uwierzył w jego niewinność. Przejrzał nasze nagrania z przesłuchań i zabrał go.

- Musiałeś go wypuścić.

- Wiem.

- Co teraz zrobimy? Każesz ich śledzić?

- Nie - Orlicki po raz kolejny skłamał, ale tym razem prosto w oczy. - To nie ma sensu, i tak niczego nie znajdą. Poczekam, aż Mierzejski sam się znudzi i nam go odda.

- Pojadę jeszcze raz na miejsce zbrodni, może też coś znajdę. W okolicach Katowic śnieg nieco stopniał, może odnajdę narzędzie zbrodni.

- Jedź, tylko daj znać, jeśli coś znajdziesz. Ja w tym czasie zwołam konferencję prasową.

- Poczekaj, dopóki nie wrócę.

- Nie. Chcę mieć to już z głowy.

- Nie możesz jej poprowadzić. Oglądałeś się ostatnio w lustrze? Ile nie śpisz, dwie, trzy noce?

Orlicki nie odpowiedział.

- To nie będzie dobry PR dla policji. Tylko sobie zaszkodzimy. Zwołaj konferencję, jeśli musisz, ale niech ktoś inny ją poprowadzi.

- Kto?

- Nie wiem, choćby aspirant Łoboda, tylko powiedz mu dokładnie, co ma mówić. Tak będzie znacznie lepiej.

- Dobra, zastanowię się, a ty jedź już.

- Jasne - Landorf skierował się do wyjścia z gabinetu. Nagle jakby sobie o czymś przypomniał. Odwrócił się w stronę kolegi. - Zupełnie bym zapomniał. Dostałeś już może raport patologa? Chodzi mi o Rakowieckiego.

Orlicki przrzucił kilkanaście dokumentów na biurku, wyciągając w końcu podpisany przez kilka osób papier. Podał go koledze.

- Ja też o nim zapomniałem. Nie przeglądałem go jeszcze. Widocznie ktoś mi go położył, gdy wyszedłem na chwilę. Zapoznaj się z nim, tylko nie bierz ze sobą na miejsce zbrodni.

- Spokojnie, nie wezmę - Landorf wyszedł z pomieszczenia.

Oddam ci go – pomyślał, idąc do swojego gabinetu - tylko najpierw sobie skseruję.

Kilkanaście minut później Landorf oddał raport komisarzowi i wyszedł z komisariatu.

\*

Orlickiemu jeszcze jedna sprawa nie dawała spokoju. Tajemniczy Leon Stefański i jego telefon. Zasięgnął języka u innych funkcjonariuszy, ale żaden z nich nigdy nie słyszał o kimś takim. Domyślał się, co zaszło i w duchu przeklął sam siebie. Schował butelkę i szklaneczkę z powrotem do biurka, wyszedł z gabinetu. Kazał Łobodzie przynieść nowy aparat telefoniczny i jak najszybciej wydrukować wykaz ostatnich rozmów. Nie minęło pół minuty, a aspirant położył mu na biurku wydruk. Telefon podłączył do gniazdka.

- O której dzwonił ten komendant?

- Nie patrzyłem na godzinę, ale tuż po drugim przesłuchaniu podejrzanego.

- Dziękuję, możesz odejść - Orlicki udał kulturalnego.

Funkcjonariusz wyszedł, a komisarz przejrzał listę telefonów. Znalazł numer zaczynający się od kierunkowego 22. Godzina połączenia mniej więcej zgadzała się z zakończeniem przesłuchania. Orlicki wystukał numer na klawiaturze telefonu. Odczekał kilka sygnałów. Nastąpiło przekierowanie połączenia. Zastanowiło go to i zaniepokoiło. Ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

- Z Komendantem Głównym, Leonem Stefańskim proszę. Mówi zastępca Naczelnika sekcji dochodzeniowo-śledczej w Komisariacie Policji V w Krakowie, komisarz Robert Orlicki.

Po drugiej stronie aparatu zapadła długa cisza.

- Halo? - zapytał niepewnie Orlicki.

- Przykro mi, ale to pomyłka.

- Ktoś do mnie zadzwonił wczoraj, z tego numeru.

- Chłopie, dodzwoniłeś się do hotelu. To pomyłka.

Komisarz zaklął wściekle i rzucił słuchawką. Miał ochotę roztrzaskać i ten aparat, ale opamiętał się w ostatniej chwili.

Mierzejski, to wszystko jego wina - myślał Orlicki. Wszystko zaplanował. Musiał zmienić jakoś numer kierunkowy. Nieprzypadkowo właśnie teraz się zjawił, i to akurat w sprawie tego sukinsyna, Rokickiego. Dopadnę skurwiela, dorwę ich obu - zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że pobielały mu kostki. Tylko skąd Mierzejski wiedział, że akurat przesłuchuję Rokickiego? Skąd?!

Nagle przyszło mu coś do głowy. Zerwał się z krzesła jak oparzony i wybiegł z gabinetu. Nawet nie zamknął drzwi, tylko trzasnął nimi z wściekłości.

\*

Zrobiło się już popołudnie, a my dopiero teraz dotarliśmy do Katowic. Mierzejski zatrzymał mercedesa przed moim blokiem. Wsiadłem z samochodu i nie czekając na detektywa, pobiegłem do klatki schodowej.

Mierzejski zamknął samochód i włączył alarm antywłamaniowy. Wolno, spacerkiem podążył za mną.

Chciałem jak najszybciej dostać się do swojego mieszkania. Musiałem też natychmiast pobiec do najbliższego kiosku i kupić papierosy. Mogłem nie jeść, ale musiałem palić. Co prawda Mierzejski chciał mnie poczęstować cygarem, ale odmówiłem. Wiedziałem, że wymiotowałbym po nim jak kot.

Wbiegłem po schodach. Nagle drzwi jednego z mieszkań otworzyły się i zamknęły z hukiem. Naprzeciwko mnie stanął Wróbel, sadysta znęcający się nad swoją rodziną. Cały blok wiedział, że pił, bił swoją żonę i gwałcił córkę, gdy tylko zostawał z nią sam na sam. Ale co ja mogłem zrobić? Nigdy nie byłem tego świadkiem, chociaż prawie codziennie słyszałem krzyki, płacz, o każdej porze dnia i nocy. Sąsiedzi bali się donieść na niego na policję, rodzina także - podobno nieraz już im groził. Mnie też. Kilka razy siedział w areszcie, ale do więzienia nie poszedł, a w areszcie nie można go było trzymać w nieskończoność. Dostał kilka wyroków w zawieszeniu i tyle. Nic nie mogłem zrobić, żeby mieć Wróbla w garści. Bałem się go. Coraz częściej zdarzały się napaści na funkcjonariuszy po służbie i nie miałem pewności, czy gdyby wyszedł z aresztu, nie zemściłby się na mnie.

Stał naprzeciwko mnie i wpatrywał się groźnie swoimi małymi, opuchniętymi oczami. Znów czułem bijący od niego odór alkoholu. Drzwi do jego mieszkania otworzyły się ponownie i wyjrzała z nich głowa młodej, szczupłej blondynki. Miała tak zniszczoną twarz, że na pierwszy rzut oka nikt nie pomyślałby nawet, że niedawno skończyła dopiero trzydzieści lat.

Wróbel nawet nie odwrócił się do niej, tylko krzyknął swoim zachrypniętym głosem:

- Do domu, szmato, bo ci łeb ukręcę!

Drzwi zamknęły się tak samo szybko, jak się otworzyły. Żał mi było tej kobiety i jej córki. Jak można żyć z takim gnojem? Paraliżował mnie jednak strach. Marzyłem o tym, żeby udupić Wróbla i ukręcić mu łeb, ale nie miałem dwóch metrów wzrostu, nie chodziłem na siłownię i nie miałem przy sobie ani kajdanek, ani broni. Patrzyłem więc na niego spode łba, a on ryczał mi prosto w twarz:



- Masz coś do mnie?

Jego wytatuowana pięść uniosła się niebezpiecznie do góry.

- Nie - zaprzeczyłem. Starłem się nie okazać strachu, ale wiedziałem, że wypełzał ze mnie jak glizda z ziemi.

- To spier... - zaczął, ale nie skończył groźby. Ani ja, ani on nie zauważyliśmy detektywa, który spokojnie wszedł po schodach, wyjął Glocka z kabury i przyłożył mu lufę do pleców.

- Radzę panu nie ruszać się zbyt gwałtownie. Jestem na kacu i bardzo trzęsą mi się ręce.

Zadziałało. Wróbel uspokoił się i spokorniał.

- Przepraszam.

Mierzejski wysunął się zza jego pleców i podszedł do mnie. W tym samym czasie inni sąsiedzi wyszli ze swoich mieszkań.

- Spokojnie, proszę państwa. Nic się nie dzieje – mój towarzysz wyjął dokumenty i pokazał legitymację. - Jestem detektywem. A panu - zwrócił się do Wróbla - radzę zastanawiać się nad tym, co robi i nie pić tyle.

Mężczyzna schował się w swoim mieszkaniu i za drzwiami zapanowała kompletna cisza.

- Jeśli chcecie panowie wejść do mieszkania Krystiana, to nie macie w nim czego szukać. Przykro mi.

Karolina spojrzała na mnie smutno. Powiedzieć, że znałem ją dość dobrze, to mało. Miała dwadzieścia sześć lat i była sierotą. Często mi pomagała i czasem też dotrzymywała towarzystwa. Stanowiliśmy dość specyficzną parę „znajomych”.

- Nie rozumiem.

Szybko wszedłem, prawie wbiegłem na kolejne piętro. Detektyw podążał krok za mną. Nie odzywaliśmy się do siebie. Karolina także poszła za nami. Stałem przed swoim mieszkaniem, a raczej ruiną, która z niego została i nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Wyłamane drzwi leżały na korytarzu. W jednym z okien brakowało szyb. Nie było też żadnego mebla ani osobistej rzeczy. Niedawno przeprowadzałem remont i nie zdążyłem przenieść wszystkich rzeczy z piwnicy, ale to, co było w mieszkaniu, zniknęło. Straciłem resztkę siły, która trzymała mnie jeszcze na nogach i Mierzejski musiał mnie podtrzymać, żebym nie upadł.

- Co tu się stało? - detektyw spojrzał na Karolinę.

Brunetka odpowiedziała smutno:

- Przyjechała policja, jakichś trzech funkcjonariuszy. Powiedzieli, że chcą przeszukać mieszkanie.

Jej słowa docierały do mnie jakby z drugiego mieszkania, a przecież stała tuż koło mnie.

- To oni zostawili mieszkanie w takim stanie?

- Nie. Oni tylko wyważyli drzwi, weszli do środka i przetrząsnęli wszystko. Nie chcieli powiedzieć, co się stało. Potem zaczęli nas przesłuchiwać, ale niczego im nie powiedzieliśmy. Nic nie wiemy. Przepraszam cię - zwróciła się do mnie, ale mój umysł ledwo rejestrował to, co się działo wokół.

- Ktoś musiał nimi dowodzić, podali jakieś nazwiska?

- Nie.

- A mieli nakaz?

- Nie pytaliśmy, byliśmy zaskoczeni i nie wiedzieliśmy, co robić. Powiedzieli tylko, że przyjechali z Krakowa.

Wiedziałem, że to sprawka Orlickiego, ale nadal nie miałem pojęcia, dlaczego sukinsyn tak się na mnie wziął.

- Rozumiem, a co było potem?

Karolina spojrzała najpierw na Mierzejskiego, a potem na mnie.

- Zabezpieczyli mieszkanie. Niestety za słabo. Powiedzieli, że muszą jechać po jakiś sprzęt i ponownie wstawią drzwi. Czasowo założyli je tak, żeby się trzymały. Mieli je zaplombować. Potem odjechali i nie wrócili. Przyszłam do mieszkania i zabrałam kilka rzeczy, które dla Krystiana zawsze były bardzo cenne. Zaniósłam do siebie.

- Rozumiem, że wy... - Mierzejski teatralnie zawiesił głos.

- Tak, panie detektywie. Czasem - zawstydziała się i zarumieniła na twarzy.

- W porządku. W takim razie, dlaczego to mieszkanie jest całkowicie puste?

- Dzisiejszej nocy słyszałam podejrzane głosy. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że należały do mężczyzn i przewodził im Wróbel, wie pan, ten sąsiad, który zrobił awanturę, gdy tylko przyjechaliście.

Mierzejski kiwnął głową.

- Ponieważ mieszkanie było słabo zabezpieczone, zdjęli drzwi, wynieśli wszystko, co się dało i wywieźli gdzieś, pewnie po to, żeby potem sprzedać. Słyszałam odgłosy ładowania do ciężarówki. Potem samochód odjechał. Wie pan, my wszyscy boimy się Wróbla - próbowała się tłumaczyć.

- Rozumiem.

- Wiem o morderstwie.

- Jestem niewinny - tylko tyle zdołałem z siebie wydusić. - Uwierz mi - jęknąłem.

- Wierzę. Inaczej nie byłbyś w towarzystwie detektywa, tylko nadal siedział w areszcie.

- Masz gdzie spać?

- Nie - odpowiedziałem detektywowi.

- Możesz u mnie - zaoferowała Karolina. Spojrzałem na nią, ale szybko dodała: - Bezinteresownie.

Wiedziałem, że to nieprawda. Stanowiliśmy ładną, dobraną parę i oczywiście związek bez zobowiązań. Kochała mnie, a ja ją, ale nie byłem jeszcze gotowy na małżeństwo.

- Nie będę narzekała.

- Mam wrażenie, że nie ma innego wyjścia - poparł ją Mierzejski i zwrócił się do mnie. - Tym bardziej, że u pani są jakieś twoje rzeczy i powinienes być jej za to wdzięczny.

- Jestem, bardzo. Naprawdę.

Detektyw uśmiechnął się lekko.

- Poza tym, ostatnio zostawiłeś u mnie paczkę papierosów, zapalniczkę też znajdę.

Poddałem się i dałem sprowadzić wolno po schodach. Obejrzałem się za siebie.

- Idźcie. Jesteś w dobrych rękach - powiedział detektyw. - Ja rozejrzę się chwilę po mieszkaniu.

Usłyszałem jeszcze, jak odebrał rozmowę telefoniczną po drugim sygnale komórki. Był mocno zaaferowany. Zrozumiałem, że nie wiedział, kto do niego dzwonił, ale Karolina sprowadzała mnie już dwa piętra niżej.

## Rozdział 3

Usłyszałem pukanie do drzwi. Odstawiłem kubek z gorącą kawą i wstałem z krzesła.

- Ja otworzę - Karolina wyszła z kuchni, powiesiła fartuszek na haczyku w progu i podeszła do drzwi. - Kto tam?

- Mierzejski.

Otworzyła zasuwy i wpuściła detektywa do przedpokoju.

- Ładne mieszkanie - detektyw wszedł i z uznaniem pokiwał głową. - Naprawdę, nie to, co tam na górze.

Nie skomentowałem tego.

- Dziwię się, że jeszcze tu nie mieszkasz.

Spojrzał na mój talerzyk z niedojedzonymi kanapkami z wędliną i żółtym serem. Obok niego leżała przepelniona popielniczka z niedopałkami. Nie pytał, ile ja wypaliłem, a ile Karolina. Na kubek z kawą już nawet nie spojrzał.

- Napije się pan czegoś? - spytała Karolina.

- Proszę tylko o szklankę wody mineralnej, niegazowanej, jeśli pani ma.

- Zaraz przyniosę.

- Dziękuję.

Karolina poszła do kuchni i włączyła radio. Detektyw stanął koło mnie w małym, gustownie urządzonej pokoiku. Widziałem, że czujnie spogląda na okna i szyby. Sprawdzał, czy nikt nas nie śledzi.

- Coś się stało? - zapytałem niespokojnie.

- Kilkanaście minut temu miałem telefon.

- Słyszałem, dzwonił, gdy schodziliśmy z piętra. Myślałem, że prywatny, więc nie pytałem.

- Służbowy.

Ton jego głosu sprawił, że także rozejrzałem się czujnie dookoła.

- Nie wiem, kto do mnie dzwonił. Mogę się tylko domyślać, ale nie jestem pewien. Nie przedstawił się, a informacja, którą mi przekazał, była

bardzo lakoniczna. „Macie ogon”.

Spodziewałem się tego po Orlickim, ale nic nie powiedziałem.

Karolina z uśmiechem na ustach weszła do pokoiku i przyniosła szklankę z wodą. Podstawiła też Mierzejskiemu krzesło, ale sama wolała stać.

- Myślisz, że to Orlicki wysłał za nami kogoś?

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- I co robimy?

- Nic. Będziemy udawać, że go nie ma. Pewnie to tylko „gołębie”. Nie możemy dać im żadnej wiadomości do przesłania.

- Obyś miał rację. Chcesz kanapkę?

Detektyw ponownie spojrzał z niesmakiem na mój talerzyk.

- Zbierz siły, jeszcze dzisiaj pojedziemy i obejrzymy miejsce zbrodni.

Dreszcz zimna przebiegł mi po plecach. Przystaliśmy rozmawiać. W radio podawali wiadomości. Nie zwracaliśmy na nie uwagi. I tak się już kończyły. Nagle zdało mi się, że przy podsumowaniu najważniejszych informacji usłyszałem coś o jakiejś konferencji prasowej.

- Słyszeliście?

- Co? - zapytała Karolina.

- Chyba mówili o jakiejś konferencji, ale nie usłyszałem, kiedy będzie i w jakiej sprawie.

- Zrobić głośniejsze?

- Za późno. Skończyły się.

- Pewnie to nic ważnego, tylko zbieg okoliczności. Może powtórzą w następnym serwisie informacyjnym. Ale jeśli to Orlicki, nie próżnuje.

- Gra - podkreślił Mierzejski. - Pewnie myśli, że jeśli szybko przeprowadzi konferencję, to większość przedstawicieli mediów nie dotrze.

- Nie mamy jeszcze pewności, czy się nie przesłyszałem i czy to konferencja policji - powiedziałem.

- Tak, ale powinniśmy działać. Musimy powiadomić też krewnych Rakowieckiego, zanim dowiedzą się z mediów o jego śmierci.

- Nic nie wiem o jego krewnych. Znam tylko jego byłą żonę.

- Jak dobrze ją znasz? - Karolina zapytała podejrzliwie.

- Bardzo dobrze. Poinformuję ją przy okazji.

- A dlaczego nie od razu?

- Mam swoje powody.

Nie zamierzałem wracać w tej chwili do przeszłości ani przed nikim się tłumaczyć.

\*

Landorf zastanawiał się, co robić. Po wyjściu z gabinetu komisarza nie wiedział, czy jechać od razu na miejsce zbrodni, czy najpierw skontaktować się z Mierzejskim. Niewiele mógł dla niego zrobić, żeby się odwdziżyć za uratowanie życia z pożaru. Ksero raportu wykonał w swoim gabinecie. Wyjechał z komisariatu i zatrzymał się na Wiślniej. Postanowił nie jechać z pustym żołądkiem. Zajrzał do restauracji „Ratuszowej” w Rynku Głównym. Odkąd przeprowadził się z Katowic do Krakowa, już kilkanaście razy w niej był i przekonał się, że serwowano w niej najlepsze pierogi w mieście. Dopiero po posiłku i ponownym przeczytaniu kserokopii raportu zdecydował się wyjechać z Krakowa.

Miał nadzieję, że detektyw słuchał wiadomości i dowiedział się o zaplanowanej konferencji. Odetchnął z ulgą, że Orlicki wybrał Łobodę do jej przeprowadzenia. Podjechawszy do bramki zapłacił za przejazd i niedługo potem był już na terenie Katowic. Spojrzał na zegarek. Wskazówki na tarczy pokazywały godzinę osiemnastą. Teraz wystarczyło ominąć szerokim łukiem centrum miasta i skierować się w stronę Bielska-Białej. Minął w Tychach zjazd do centrum i zatrzymał się na poboczu, koło lasu, w którym według relacji funkcjonariuszy zatrzymano Rokickiego. Gdzieś w tym lesie dumnie skrywał swoje tajemnice Zameczek Myśliwski Książąt Pszczyńskich. Słońce już dawno znikło za horyzontem i z nieba znów posypały się płatki śniegu.

Wszedł w las i na ślepo próbował odnaleźć miejsce zbrodni. Między drzewami dojrzał zarysy budowli. Kiedyś, zupełnie przypadkiem wpadł mu w ręce przewodnik zabytków i dowiedział się z niego co nieco o zamczku i jego historii.

W każdej chwili mógłby dokładnie odtworzyć w pamięci tamte informacje. Landorf od dziecka miał bardzo dobrą pamięć do szczegółów. Między innymi to zadecydowało o jego wstąpieniu do policji.

Skierował się w drugą stronę i wszedł głębiej w las, strasząc grzechotem butów mieszkające w nim zwierzęta. Tutaj w ciągu dnia słońce nie zdążyło przebić się przez chmury i śnieg jeszcze nie topniał. Po kilkunastu minutach bezowocnej łazęgi podkomisarz wrócił do samochodu i wyjął latarkę. Wszedł ponownie w las i skierował się w stronę Bielska-Białej.

\*

Nie wiem, co robił Mierzejski, ale dał mi mało czasu na odpoczynek. Potrzebowałem co najmniej dwóch dni snu, a miałem tylko kilka godzin. Wiedziałem jednak, że czas pracuje na moją niekorzyść. Trzeba było jak najszybciej działać. Nie chciałem na stałe zamieszkać w więzieniu.

Przebrałem się w czyste ubranie. Karolina pozwoliła mi po raz kolejny wykapać się pod swoim prysznicem, chociaż tym razem mi nie towarzyszyła. Muszę się jej odwdzińczyć - pomyślałem.

Spojrzałem w lustro i przestraszyłem się własnego oblicza: miałem malutkie, podkrążone i opuchnięte oczy, przetłuszczone włosy. Byłem nieogolony. Bardziej wyglądałem na żebraka aniżeli na porządnego, szanującego się i szanowanego funkcjonariusza. Najbardziej jednak smuciło mnie to, że dostrzegłem u siebie więcej siwych włosów niż kilka dni temu i kolejną zmarszczkę na czole. W moim wieku to zły objaw.

- Nie powinieneś przebrać się w strój służbowy? - zapytał Mierzejski i obejrzał mnie krytycznym okiem. - Nie jesteś przecież na urlopie i oficjalnie nie postawiono ci zarzutów.

- Postawiono, ale...

- Nie mają dowodów - przerwał mi w pół zdania i zapytał Karolinę. - Ma pani jego uniform?

- Niestety nie. Przeszukujący mieszkanie policjanci zabrali go ze sobą.

- Aż tacy byli pewni tego, że złapali prawdziwego mordercę? - zdziwiłem się.

- Wyjaśnimy to później. Jedźmy - zdecydował Mierzejski.

Pocałowałem Karolinę, tyle mogłem na razie okazać jej wdzięczności.

Wyszliśmy z bloku i detektyw, pierwszy raz od dłuższego czasu, zapalił cygaro. Ja już wypaliłem całą paczkę papierosów. Mimo to, zanim włączył

silnik, musiałem kupić w kiosku kilka paczek. Myślami jeszcze wróciłem do Karoliny. Obiecałem sobie odwdziżyć się jej najbliższej nocy.

Wsiadłem do samochodu i ruszyliśmy z miejsca. Mój wybawca nie spoglądał w lusterko. Byliśmy pewni, że „gołębie” poleciały za nami.

\*

Dojazd do miejsca zbrodni zajął nam dobrych kilkanaście minut - jak nie remonty dróg, to uliczne korki. Niestety w Katowicach to codzienność.

Wreszcie dotarliśmy do lasu i zatrzymaliśmy się koło czerwonego forda. Stał zaparkowany na poboczu. Nie zastanawialiśmy się, kto jest jego właścicielem. Chyba obaj wyszliśmy z założenia, że ktoś przyjechał do restauracji w zameczku lub zatrzymał się przypadkowo.

- Trafisz na miejsce zbrodni?

- Nie. W nocy wszystko wygląda zupełnie inaczej. Nawet nie wiem, czy to było w tym lesie.

- Ale ja wiem, że to było tu. U Orlickiego przeglądałem dokumenty - twoje akta, nagrania z przesłuchań, raporty z miejsca zbrodni i inne. Przejrzałem wszystko, co jest z tobą związane. Spróbuj sobie coś przypomnieć. Poza tym niedługo znów nadejdzie noc.

Staralem się. Naprawdę. Próbowałem odtworzyć z pamięci wszystkie szczegóły snu: śnieg, polanę, ciało. Nie pamiętałem, żebym widział jakąkolwiek budowlę. Powiedziałem to Mierzejskiemu i weszliśmy w las.

Latarki na nic się nie przydały. Trochę pobłądziliśmy, zanim znaleźliśmy jakąś polanę. Może źle to określiłem, nie jakąś polanę - tę polanę. Pamiętałem ją co prawda jak przez mgłę i pewnie nie rozpoznałbym jej, gdyby nie otaczające ją taśma policyjna i tabliczka z informacją o zakazie wstępu na miejsce zbrodni. I gdyby nie człowiek, oglądający oznaczony kamieniami na śniegu kształt leżącego człowieka. Przeszliśmy pod taśmą. Śnieg zasypał już stare ślady i znów zaczął padać. Dostrzegłem tylko ślady stóp należące do nieznajomego.

Mężczyzna przykucnął odwrócony do nas plecami i albo tak był zaaferowany tym, co robił, że nie usłyszał naszych kroków, albo nie zwrócił na nie kompletnie uwagi. Albo też specjalnie udawał, że ich nie słyszał.



- Tu nie wolno przebywać osobom niepowołanym, to miejsce przestępstwa. Proszę jak najszybciej opuścić teren – ostro zaczął Mierzejski. Echo jego słów groźnie rozniosło się po lesie.

- W takim razie to wy musicie odejść - odpowiedział nieznajomy, nie odwracając się w naszą stronę. Niestety nie mogliśmy go zatrzymać ani w żaden sposób zmusić do opuszczenia tego miejsca. Ja, przynajmniej teoretycznie, mógłbym to zrobić, ale rozpoznałem głos tego mężczyzny.

- To policjant - powiedziałem cicho. Mierzejski odpowiedział również cicho:

- Wiem. Graj. Tu mogą być „gołębie”.

Podszedłem do mężczyzny. Stałem tuż za jego plecami i stanowczo położyłem mu rękę na ramieniu. Niespodziewanie chwycił mnie obiema rękami i przerzucił przez ramię. Twardo wylądowałem na ziemi. Jęknąłem z bólu i zaskoczenia. Zobaczyłem, jak mężczyzna wyjął pistolet z kabury. Zanim zdołałem podnieść się po upadku, stał już zwrócony do mnie bokiem i celował w Mierzejskiego. Detektyw także trzymał wyciągniętą broń, skierowaną w pierś napastnika.

Na moich oczach rozgrywała się scena, której nie rozumiałem. Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie, celowali sobie w piersi, ale w ich oczach zobaczyłem iskierki rozbawienia. Równocześnie zaczęli opuszczać broń.

W tej samej chwili wszyscy usłyszeliśmy chrzęst. Pojedynczy. Jakby ktoś wszedł na śnieg i stanął w miejscu, wiedząc, że go usłyszeliśmy. Zdawało mi się też, że usłyszałem szelest gałęzi. Policjant i Mierzejski ponownie wycelowali w siebie lufy broni i zrobili złowieszcze miny. Wszyscy zorientowaliśmy się, że przyleciał „gołębek”.

- Opuścić broń! - krzyknąłem stanowczo, stając pomiędzy nimi. Plecy nadal bolały mnie od uderzenia w ziemię.

- Co tu robicie? - zapytał mnie Landorf. - Pana nie powinno tu być.

- Nie macie dowodów przeciwko Rokickiemu - stanął w mojej obronie Mierzejski. - Wy zbieracie dowody przeciwko niemu, a on ma prawo skompletować je na swoją obronę. Tym bardziej że, jak rozumiem, tak samo jak pan, jest policjantem - dodał po chwili.

- A pan kim jest?

- To jest... - zacząłem, ale detektyw sam odpowiedział, przerywając moją wypowiedź.

- Jestem obrońcą pana Rokickiego, a pan? - wyjął dokumenty i licencję z kieszeni spodni.

- Policjantem i prowadzę śledztwo - machnął nam przed oczami legitymacją.

- Domyśliłem się.

- W takim razie to ja proszę panów o jak najszybsze opuszczenie tego miejsca. W tych okolicznościach obecność podejrzanego jest niewskazana. Jeśli pan jest adwokatem podejrzanego, to się skontaktujemy, gdy coś znajdziemy.

- Przyjedziemy tu, gdy pana nie będzie.

- Nie radzę - zagroził Landorf.

- Nie może nam pan tego zabronić. Nawet nie będzie pan o tym wiedział - stanowczo stwierdził Mierzejski. Do mnie odezwał się łagodniej.

- Jedziemy, teraz nic tu po nas.

\*

Odeszliśmy z miejsca popełnionego przestępstwa i wolnym krokiem wróciliśmy do mercedesa. Jeśli rzeczywiście ktoś nas śledził, to był tak dobrze ukryty w krzakach, że go nie dostrzegliśmy. Specjalnie też nie rozglądaliśmy się, żeby nie dać mu powodów do podejrzeń, że o nim wiemy.

Na poboczu nadal stały tylko dwa samochody, ale cały czas czułem na sobie czyjś wzrok.

Wsiedliśmy do auta i w milczeniu wyjechaliśmy z lasu. Do Katowic wracaliśmy tą samą drogą, którą przyjechaliśmy na Paprocany. Dopiero po kilku minutach odważyłem się spojrzeć w tylne lusterko.

- Ktoś za nami jedzie

- Wiem, od kiedy wyjechaliśmy z lasu.

- Znasz podkomisarza Landorfa?

- Tak - odpowiedział detektyw. - Ale to stara historia.

- Czy to on dał ci cynk w sprawie ciągnącego się za nami ogona?

- Nie jestem pewien, możliwe. Inaczej byłby to dziwny zbieg okoliczności, a ja nie wierzę w takie rzeczy.

- Przesłuchiwał mnie i nie był wcale lepszy od Orlickiego.

- Wiem, widziałem jego podpisy na dokumentach, ale byłem pewien, że to, jak to nazwałeś?

- Zbieg okoliczności?

- Właśnie.

- Ale w to nie wierzysz.

- To, że nie wierzę, wcale nie znaczy, że to niemożliwe.

- W takim razie skąd wiedziałeś, że mnie zatrzymano i przesłuchiowano?

W odpowiedzi kazał mi włączyć radio. Wcisnąłem odpowiedni przycisk.

- „Słuchają państwo Programu Pierwszego Polskiego Radia. Za moment nadamy prognozę pogody dla rybaków” - dobiegło z głośników. Spojrzałem na zegarek, który zwrócono mi, gdy wychodziłem z aresztu. Był dla mnie cenną pamiątką. Dostałem go jako prezent od swojego chrzestnego na komunię. Od tamtej pory nigdy się z nim nie rozstawałem. Spałem z nim założonym na ręce. Oddali mi także inną pamiątkę, złoty sygnet i portfel.

Przy wjeździe do Katowic ponownie utknęliśmy w korku. Pomyślałem, że musiał zdarzyć się jakiś wypadek.

- Naciśnij ten przycisk po prawej.

Nie wiedziałem, po co mam przełączać fale, ale zrobiłem to. I wtedy usłyszałem głos Orlickiego.

\*

Drzwi do pokoju przesłuchań były otwarte.

- Kurwa, tu musi coś być! - Orlicki wrzeszczał na całe gardło, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, że słyszy go połowa pracowników komisariatu. Ci, co go znali, wiedzieli, że bierze trzy razy dziennie tabletki uspokajające, ale nikt nie wiedział, że pierwszą w swoim życiu zażył tuż po tym, kiedy Mierzejski wyprowadził go z jego własnego gabinetu.

- Ale tu naprawdę niczego nie ma, proszę pana - młody kursant wyszedł spod stołu. Pot lał mu się z czoła ze strachu i zmęczenia. Orlicki sam nie przeszukiwał pokoju. Wydawał tylko polecenia.

- Odwróć krzesła i stół. Sprawdź nogi.

- Ale proszę pana...

- Rób, co każę - oficer znów niebezpiecznie podniósł głos. Chłopak posłusznie najpierw odwrócił krzesła i próbował odkręcić nogi, ale niczego nie odkrył. Potem zrobił to samo ze stołem. I w drugiej nodze coś znalazł.

- Panie komisarzu...

Orlicki nie czekał. Dopadł go i odepchnął od rozkręconego mebla. Młodzieniec upadł na podłogę, a komisarz przyjrzał się dokładnie małemu nadajnikowi.

- Skurwysyn, wiedziałem!

\*

- Znalazł pluskwę - stwierdził Mierzejski i jakby nigdy nic, uśmiechnął się do mnie. - Poświęcił nawet swój stół, który przywiózł z komendy w Katowicach.

- Nie wiedziałem, że podsłuch może działać na tak dużą odległość – stwierdziłem.

- Nie mogłeś. Został specjalnie stworzony przez wojsko.

- W takim razie skąd go masz?

- W moim zawodzie trzeba mieć odpowiednie znajomości.

Wyłączył radio i wysiedliśmy z samochodu. Zamknął drzwi i włączył autoalarm.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Trafię do mieszkania Karoliny - stwierdziłem ironicznie, gdy weszliśmy do klatki schodowej.

- Nie wątpię, ale chcę mieć pewność, że dotrzesz żywy pod jej prysznic. Pamiętaj, że twojego kolegę dopadli.

Tego argumentu niczym nie byłem w stanie obalić.

\*

Karolina przygotowała kolację i gdy tylko zobaczyła Mierzejskiego, uparła się, żeby chociaż zjadł kilka kanapek. Nie udało mu się przed tym wymigać. Czuję wzbierającą we mnie zazdrość, ale starałem się jej nie okazać. Mnie także zaburczało w brzuchu, więc sięgnąłem po kanapkę.

- Jutro pojedziemy na komendę i spróbujemy dowiedzieć się, co się dzieje w twojej sprawie - powiedział detektyw, pijąc gorzką herbatę.

- A dzisiaj?

- Spróbuj przespać się nieco - spojrzał znacząco na Karolinę. - Odpocząć i się zrelaksować. W pracy będziesz musiał stawić czoła swoim kolegom.

- Masz wystarczająco dużo dowodów przeciwko Orlickiemu?

- Znajomy prawnik to oceni i zajmie się procedurą. A teraz rozejrzę się nieco po okolicy. Może posłucham radia i też się trochę zrelaksuję. Bardzo dziękuję za pyszną kolację i herbatę - uśmiechnął się i wstał od stołu.

- A gdzie cię szukać?

- Jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam.

- Najlepiej w „Novotelu”, to niedaleko Spodka, pierwszy lepszy przechodzień wskaże ci drogę. A jak nie, to pytaj o „Orbis Casino”.

- Dobra, zapomniałem o nim.

Pożegnaliśmy się i wreszcie zostałem sam na sam ze swoją dziewczyną.

\*

Mierzejski bez problemu znalazł „Novotel”. Zaparkował na strzeżonym parkingu i wszedł do hotelu. Recepcjonistka zaproponowała mu pokój wyposażony w minibarek, telewizor i sejf. Taki standard mu odpowiadał. Powiedział dziewczynie, że lubi od czasu do czasu zapalić cygaro, ale ostrzegła go, że w pokoju zamontowany jest czujnik dymu i lepiej, żeby nie palił. Nie wiedział, ile czasu spędzi w Katowicach, więc na razie zapłacił tylko za jeden nocleg.

Wziął kartę-klucz i wrócił do samochodu. Wyjął z bagażnika aktówkę z płytami z nagraniami z podsłuchu, nagrywarce oraz pokrowiec z ubraniami, wrócił do hotelu i wszedł do pokoju. Teczke postawił przy biurku, nagrywarce i płyty zamknął w sejfie i wyszedł z budynku, kierując się do centrum. Dawno nie zwiedzał Katowic i postanowił obejrzeć okolicę.

Miasto kusilo spokojem i przedświątecznym nastrojem. Różnokolorowe neony i szyldy przywodziły na myśl Las Vegas. Spacerkiem doszedł do ronda nazwanego imieniem generała Ziętka. Słynny Spodek jeszcze nie odleciał – pomyślał żartobliwie - i stoi nadal na swoim miejscu. Obejrzał z

zewnątrz kopułę na rondzie, ale o tej porze była zamknięta i nie mógł zajrzeć do galerii w środku. Na zakończenie zajrzał na chwilę do rozświetlonego żółtymi lampami parku, którego wiernie strzegł Pomnik Powstańców Śląskich. Padające coraz gęściej płatki śniegu nie przeszkadzały zakochanym parom szukającym odosobnienia na ławkach. Mierzejski uśmiechnął się na ich widok i wrócił do hotelu.

Od razu po wejściu do pokoju nalał sobie wody mineralnej i włączył telewizor. Rzucił okiem na pomieszczenie. Było przyjemne, mogło pomieścić dwie dorosłe osoby z dziećmi. Mierzejski nie namyślając się długo pogłośnił telewizor i poszedł się wykapać. Żałował, że nie umiał pływać i nie mógł skorzystać z basenu. Na saunę i jacuzzi też nie miał ochoty.

Nagle wydało mu się, że usłyszał wzmiankę o konferencji prasowej. Szybko dokończył kąpiel, owinał się ręcznikiem i wyszedł z łazienki. Zobaczył na ekranie telewizora jedno ze zdjęć opublikowanych w gazetach. Obok niego pojawiło się zdjęcie łysego aspiranta Łobody, który w kilku słowach przypomniał okoliczności znalezienia ciała zamordowanego mężczyzny. Wspomniał też o Rakowieckim. Zasugerował, że starszy aspirant wyszedł w nocy na chwilę na balkon. Morderca zapewne stał na innym balkonie, znajdującym się na tej samej wysokości i użył broni z tłumikiem. Jego strzał okazał się śmiertelny. Łoboda wspomniał też o tym, że nadal zbierane są wszelkie informacje i dowody w obu sprawach, badane okoliczności śmierci i media będą informowane na bieżąco o postępach w prowadzonych śledztwach.

Mierzejski wyłączył telewizor i spojrzął na aparat telefoniczny. Na wyświetlaczu wybity był jakiś nieznanym mu numer. Spojrzął na godzinę próby połączenia – pierwsza zero trzy. Najwyraźniej ktoś wiedział, że zameldował się w tym hotelu. Próbował się z nim skontaktować, gdy on był na spacerze. Włożył nowy, niedawno kupiony smoking. Na wszelki wypadek takie ubranie woził w bagażniku. Zawsze dobrze czuł się w kolorze czarnym. Poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli i muszkę w kolorze smokingu. Nowe, skórzane buty były nieskazitelnie czyste i tak wypolerowane, że księżyc mógłby się w nich przejrzeć. Uczesał się. Przed wyjściem z pokoju wykonał pewien telefon. Ponieważ u odbiorcy włączyła

się tylko automatyczna sekretarka, zostawił krótką informację, że zatrzymał się w „Novotelu”. Zamknął drzwi i schodami zszedł do recepcji. Młoda recepcjonistka spojrzała na niego dużymi, czarnymi oczami. Długie, naturalne rzęsy dodawały urody jej twarzy. Wąskie usta i mały nieco zadarty nosek sprawiły, że minęło kilka sekund, zanim detektyw odezwał się do niej. Dziewczyna także nie pozostała nieczuła na jego urok. Uśmiechnęła się i zarumieniała.

- Przepraszam. Wczoraj zameldowałem się w tym hotelu. Musiałem wyjść na chwilę i po powrocie zobaczyłem na wyświetlaczu telefonu, że ktoś do mnie dzwonił. Czy mogłaby pani sprawdzić, czy nikt nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości?

- Zaraz - ognistowłosa schyliła się pod półkę biurka. - Pańska godność?  
- Dariusz Mierzejski.

Minęło kilka sekund i zapierająca dech w piersiach twarz pojawiła się ponownie. Podała mu jakąś karteczkę, muskając przy tym delikatnie jego dłoń. Nie poczuł na jej palcu obrączki. Detektyw zmarszczył brwi, a dziewczyna się zawstydziała. Zauważył to.

- To było bardzo przyjemne i miłe z pani strony - zapewnił ją. - Interesuje mnie tylko ten liścik. Nie wie pani, kto go zostawił? Czy to był mężczyzna, czy kobieta? Jak wyglądał?

- Przykro mi, ale ktoś go położył na blacie, gdy nie było mnie przez chwilę.

- Rozumiem. Na pewno wkrótce wszystko się wyjaśni - Mierzejski uśmiechnął się lekko i recepcjonistka zrobiła to samo. Spojrzał na karteczkę, na której widniały napisane jego imię i nazwisko. Rozłożył ją i przeczytał: „Czekam na ciebie w kasynie. Jestem przy stole do pokera. Przyjdź jak najszybciej”. Nadawca nie raczył się podpisać.

- Bardzo dziękuję.

- Gdybym mogła jeszcze w czymkolwiek panu pomóc, proszę dać znać - dziewczyna znów się zarumieniała.

- Dziękuję. Może pojawić się pewna wysoka, szczupła blondynka, trochę młodsza ode mnie. Gdyby o mnie pytała, proszę podać jej mój numer pokoju.

Dostrzegł niemile zaskoczenie, malujące się na twarzy recepcjonistki.

- Nie musi się pojawić, ale mówię na wszelki wypadek - próbował się wytłumaczyć, jednak niesmak i tak pozostał. Detektyw posmutniał na twarzy, odwrócił się i skierował w stronę ogniska rozpusty.

\*

Nie wiedziałem, jak długo spałem. Obudziłem się, gdy zapadła już głęboka noc. Byłem sam i nigdzie nie dostrzegłem swojej dziewczyny. Słyszałem tylko, że Karolina krzątała się w kuchni. Przyniosła do pokoju butelkę schłodzonego czerwonego wina, a ja wyszukałem w szafce kieliszki. Podała mi korkociąg i butelkę. Sama wyszła z powrotem do kuchni. Przedtem zapaliła czerwone, zapachowe świece. Otworzyłem butelkę i nalałem do kieliszków nieco jego zawartości, a Karolina przyniosła półmisek z owocami i pucharki z lodami. Nie zauważyłem nawet, kiedy się przebrała. Oczarowała mnie czarną, siatkową halką i ledwo spod niej widocznym koronkowym stanikiem. Halka była na tyle długa, że całkowicie zakrywała jej uda i nie byłem w stanie stwierdzić, czy ma na sobie coś jeszcze.

Rozpuściła włosy, które kaskadą opadły jej na ramiona. Czerwona szminka na ustach dodawała jej szczypty drapieżności, tak samo jak długie polakierowane paznokcie.

Usiadła na fotelu i rozchyliła nieco nogi, ale nadal nie na tyle, żebym mógł cokolwiek dostrzec. Podnieśliśmy kieliszki do toastu.

- Za co pijemy?

Dotknęła wargami brzegu kieliszka, a później kusząco przesunęła po nim językiem.

- Za twój powrót.

Stuknęliśmy się lekko z tej okazji. Piliśmy powoli, delektując się smakiem

\*

Mierzejski po powrocie z kasyna miał zamiar zaprosić recepcjonistkę na drinka, ale zrezygnował z niego. Była za młoda. Mogłaby być jego córką. Otworzył usta, żeby o coś zapytać. Uprzedziła go:



- Nikt na pana nie czeka.

Dziewczyna wyraźnie zaakcentowała pierwsze słowo i Mierzejskiemu pozostało jedynie podziękować grzecznie. Wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Na wszelki wypadek spojrzął na wyświetlacz telefonu. Gdy upewnił się, że nikt do niego nie dzwonił, obejrzał dokładnie pokój. Zajrzał pod i za meble. Sprawdził telewizor i przyjrzał się kontaktom. Wszedł na krzesło, obejrzał żyrandol i kinkiety. Na szczęście nigdzie nie dostrzegł zainstalowanego podsłuchu. Spojrzął na zegarek. Była czwarta dwadzieścia. Wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy i ponownie wbił dobrze sobie znany, ale rzadko używany numer.

- Obudziłem cię?

- Nie.

- Nie wiem, czy odsłuchiłaś sekretarkę. Jestem akurat w Katowicach, w „Novotelu”.

- Jeśli nie...

- Przyjadę.

Mierzejski uśmiechnął się i zakończył rozmowę. Od kiedy przeprowadził się do Krakowa, rzadko widywał się z siostrą.

\*

Budzik zaczął dzwonić o piątej trzydzieści. Po omacku szukałem go ręką, ale nie mogłem znaleźć. Otworzyłem oczy - Karolina spała odwrócona do mnie plecami. Miałem wielką ochotę powtórzyć niedawną, bardzo upojną noc i przetestować inne pozycje Kamasutry, ale przekłety dzwonek nie dawał mi spokoju. Zwlokłem się z łóżka i rozejrzałem po pokoju. Nigdzie nie dostrzegłem źródła dźwięku. Nie chciało mi się nawet ubierać i postanowiłem jak najdłużej tego dnia chodzić zupełnie nago.

I nagle uprzytomniłem sobie, że to nie budzik mnie obudził, tylko dźwięk telefonu. Zapomniałem, że dałem Mierzejskiemu numer drugiej komórki Karoliny, gdy wracaliśmy z miejsca przestępstwa. Komórkę znalazłem pod łóżkiem. Nie pamiętałem, jak tam trafiła. Na wyświetlaczu widniał zastrzeżony numer. Poszedłem do łazienki, żeby nie obudzić swojej dziewczyny i zaryzykowałem odbiór rozmowy.

- Rokicki, słucham.

- Wreszcie. Naprawdę zaczynałem już się o ciebie martwić - usłyszałem głos Mierzejskiego.

- Żyję.

- Właśnie słyszę - zaśmiał się lekko. - Dała ci w kość, ale to dobrze. Dla niej warto było się poświęcić.

Boże - pomyślałem - czy naprawdę ze mną jest już tak źle? Mam taką chrypę, że kaszlę co jakiś czas. Oddycham tak ciężko i mocno, jakby ta cudowna noc jeszcze się nie skończyła.

- O której zaczynasz pracę?

- O siódmej.

- Dobrze. Bez munduru, ale stawisz się dzisiaj na stanowisku. Będę u ciebie za godzinę. Bądź gotowy.

Chciałem zapytać go, jak spędził noc, ale Mierzejski zakończył rozmowę. Odłożyłem telefon i wszedłem pod prysznic. Strumień chłodnej wody obudził mnie do reszty. Wyszedłem z łazienki. Karolina także się już obudziła i przygotowywała w kuchni śniadanie.

- Dzisiaj coś szybkiego. Mam zaraz wykłady.

Studiowała na trzecim roku prawa.

- Dobrze - tylko tyle zdołałem z siebie wykrztusić. Znów zapomniałem o Bożym świecie i patrzyłem, jakbym pierwszy raz w życiu widział jej aksamitne, kształtne uda i pupę. Celowo nie odwróciła się do mnie przodem.

- W szafie znajdziesz jakieś czyste ubranie. Niewiele udało mi się uratować z twojego mieszkania – przypomniała.

Przebrałem się w świeżą, pachnącą bieliznę, flanelową koszulę i jeansy. Usiedliśmy w pokoiku jadalnym i zjedliśmy kilka kanapek z szynką i pomidorem. Popielniczka znów napełniała się petami z naszych papierosów. Aromat kawy unosił się kusząco w całym pomieszczeniu.

- Będę musiał prosić o urlop.

Karolina nic na to nie powiedziała.

- Załatwię go dzisiaj, a na komendę wrócę, gdy złapią prawdziwego mordercę lub umorzą dochodzenie – dodałem.

Wtedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Już schodzę - uspokoiłem Mierzejskiego.

Dziękowałem Bogu, że Karolina miała zapasowy telefon, dzięki temu nie byłem odcięty od świata. Rozłączyłem się.

- Będiesz już z powrotem, kiedy wrócę?

- Mam tylko wykłady, ale nie wiem, czy będę - odparła. - Jak coś, to zadzwonię. Koleżanka poprosiła mnie, żebym zastąpiła ją dzisiaj w pracy. Mam nockę.

- Wiesz, że to mi się nie podoba.

- Wiem.

Ze względu na czyhające na młode, chodzące samotnie kobiety i wciąż wzrastające niebezpieczeństwo nie lubiłem nocnych restauracji, może jedynie z wyjątkiem tej, w której pracowała, ale wiedziałem, że z moją pensją nie byłbym w stanie zagwarantować jej odpowiedniej stopy życiowej.

- Nie martw się o mnie. Twoi koledzy...

- Właśnie - przerwałem jej w pół zdania i wyszedłem.

\*

- Panie komisarzu, mamy już odciski palców.

Aspirant Łoboda bez pukania wszedł do gabinetu Orlickiego. Komisarz wyrwał mu raport z ręki. Położył dokument na biurku i, siadając ponownie na krześle, dokładnie przeczytał jego treść.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Zatrzymać go.

\*

Lewandowski zastanawiał się, czy nie zniknąć na jakiś czas. Trzymał w rękach dzisiejsze wydanie gazety i czytał artykuł o morderstwie starszego aspiranta Rakowieckiego. Kupił ją z samego rana. Wczoraj usłyszał przypadkowo w szkole, że policyjne śledztwo zatacza coraz większe kręgi. Dzisiaj przeczytał w gazecie skróconą relację z konferencji prasowej. Dziennikarze nie omieszkali zamieścić zdjęcia denata, którego autor nie był podpisany. Lewandowski zastanawiał się też, czy nie zadzwonić do brata. Rozmyślił się jednak. W artykule nie było żadnego słowa, które

wskazywało na niego. Co prawda z braku dowodów wypuszczono podejrzanego, ale śledztwo wcale nie utknęło w miejscu. Nie martwił się tym, że zamieszczono zdjęcie ofiary. Przecież tylu sobowtórów żyło na świecie. A nie było żadnych świadków jego pracy. Poza tym wiedział, że jego zleceniodawca nie jest głupi i nadal będzie chronił samego siebie. Do tej pory go nie wydał i młodzieniec miał nadzieję, że tak pozostanie. Zastanawiał się tylko, czy powinien jechać na zajęcia. Tej nocy śniło mu się, że na warsztatach scenicznych odgrywano scenę tego morderstwa i jemu przypadła rola denata.

\*

Wsiadłem do czarnego mercedesa.

- Wypałeś się?

Mierzejski włączył silnik.

- Nie bardzo, a ty?

- Też nie. Przejrzyj dzisiejszą gazetę, leży na tylnym siedzeniu.

Wykręciłem się, chociaż pasy bezpieczeństwa mocno ograniczały mi ruchy, i chwyciłem z ciekawością „Rzeczpospolitą”. Już na pierwszej stronie zobaczyłem nagłówek, który mną wstrząsnął. „Morderca starszego aspiranta Hieronima Rakowieckiego nadal na wolności”. Serce podeszło mi do gardła. Nie czekając ani sekundy, przeczytałem pierwszą część artykułu. Druga znajdowała się kilka stron dalej. Była w nią włożona jakaś kartka. Z początku myślałem, że to tylko zakładka.

- Nie szukaj tego, czego nie ma. We wszystkich dzisiejszych gazetach walcą ten sam temat, tylko w różnych postaciach. Policja nie ma ani dowodów, ani podejrzanego. Wspominają też o wczorajszej konferencji prasowej. Funkcjonariusze kłamią, a dziennikarze z satysfakcją pokazują ich nieudolność.

- Mają przecież pistolet z odciskami palców, znaleziony na ciele zamordowanego. To nie musi być broń mordercy, ale kto inny mógłby ją tam położyć, żeby wprowadzić w błąd policję?

- Właśnie - zgodził się ze mną Mierzejski. - Chyba ktoś nie chce, żeby znaleziono prawdziwego mordercę.

- Znowu podejrzewasz Orlickiego?

- A kto inny powinien szukać właściciela tych odcisków? I kto do tej pory tego nie zrobił? - dodał po chwili. Nie byłem w stanie obalić jego toku logicznego myślenia. - Spójrz raczej na ten raport i powiedz mi, co o nim sądzisz.

Wzięłem „zakładkę” do ręki. Była nią kopia raportu patologa ze śmierci Rakowieckiego. Nie potrafiłem ukryć swojego zdziwienia.

- Skąd to masz?

- Wczoraj w kasynie czekał na mnie Landorf. Dał mi ten dokument.

- Zaczynam się gubić. Ta cała sprawa staje się dla mnie jakąś chorą grą. Ty i Orlicki jesteście łowcami, a ja ofiarą? Taka jest prawda?

Nie odpowiedział. Nie miałem innego wyjścia, ja także musiałem zagrać.

- Albo powiesz mi prawdę, albo przyznam się do popełnienia morderstwa.

Rzucił na mnie okiem, żeby upewnić się, czy mówię poważnie. Niestety, nie żartowałem. Nie zastanawiałem się nad niczym. Chciałem jednak za wszelką cenę poznać prawdę.

- A co z Karoliną?

- Nie igraj ze mną - zagroziłem. - I tak prędzej czy później będziesz musiał mi powiedzieć.

Zapadła chwila milczenia.

- W czasie przesłuchania wspomniałeś o jakichś dokumentach sprzed trzech lat, które przeglądałeś kilka godzin przed swoim zatrzymaniem. Pamiętasz?

- Tak.

- Naprawdę nie pamiętasz, kogo one dotyczyły?

- Nie. Pamiętam tylko, że ktoś do mnie zadzwonił z tak zwanego „ARCHIWUM X” w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krakowie i był zainteresowany kilkoma nierozwiązanymi sprawami sprzed lat.

- To może być bardzo ważne. Chciałbym zobaczyć papiery, które ostatnio przeglądałeś. Wspominałeś o nich komuś?

- Nie pamiętam, może Rakowieckiemu. Myślisz, że to może mieć cokolwiek wspólnego z moją sprawą?

- Tak. W czasie przesłuchania powiedziałaś, że to były dokumenty jakiegoś komisarza.

- Ty masz już chyba obsesję na punkcie Orlickiego! - zdenerwowałem się. I nagle przypomniałem sobie. Uderzyłem się dłonią w czoło. - Kurwa, to były jego dokumenty.

Mierzejski tylko się uśmiechnął.

- Myśl, jak chcesz. Czy możesz przysiąc, że Rakowiecki był Rakowieckim?

- Nie rozumiem.

- Spójrz jeszcze raz na raport.

Posłuchałem i dopiero teraz zorientowałem się, o co mu chodzi.

- To niemożliwe. Podrzucił mnie do domu i pił ze mną.

- Nie sądzę - tajemniczo rzucił Mierzejski.

Staliśmy na czerwonym świetle. Znów spojrzałem na detektywa jak na wariata.

- Co ty, kurwa, insynuujesz?

- Według mojej hipotezy ktoś zamordował Rakowieckiego, a tobie podstawił sobowtóra.

- Musiałby być świetnym aktorem.

- Właśnie - zgodził się detektyw.

- A po której stronie jest ten Landorf?

- Chyba stara się być obiektywny.

Spojrzałem na Mierzejskiego sceptycznie.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Mam ku temu solidne podstawy.

- Obyś się nie mylił.

Obaj zamilkliśmy. Zatrzymaliśmy się na parkingu, tuż przed komendą.

\*

Karolina weszła na pierwsze piętro i chciała przywitać się z kilkoma znajomymi z roku. Nie odpowiedzieli na jej powitanie, nawet nie odwrócili się w jej stronę.

Wiedziała, że niedługo po wypuszczeniu Krystiana z aresztu mogło być ciężko, ale nie przypuszczała, że aż tak bardzo. A to dopiero początek.

Część znajomych z roku niestety знаła jej chłopaka osobiście, gdyż często po nią przyjeżdżał.

Drzwi do auli były na wół zamknięte. Słyszała różne głosy i śmiechy, ale zajęcia jeszcze się nie rozpoczęły.

Gdy weszła, gwar natychmiast umilkł. Wszyscy patrzyli na nią i czekali na jej reakcję. Wyjątkowo tego dnia aula była prawie pełna i wydawało jej się, że nikogo nie brakuje. Karolina dobrze wiedziała, dlaczego.

Chciała sięść w takim miejscu, żeby nie być widoczną, ale w sali wolnych było tylko kilka rzędów. Na jednym z krzeseł leżał otwarty, bieżący numer „Rzeczpospolitej”. Karolina nie musiała czytać artykułu. Domyślała się jego treści. Obok gazety siedziała szmaciana lalka, na jej twarzy przyklejona była wycięta z gazety twarz Krystiana.

Kiepski żart - pomyślała, ale nie odezwała się ani słowem.

- No, proszę państwa, to nie jest szkoła podstawowa, tylko wyższa i panują w niej pewne zasady. Zaczniście wreszcie zachowywać się, jak na dorosłych ludzi przystało - Karolina usłyszała głos wykładowcy. Wszedł dolnymi drzwiami.

- Niechże pani już siada, zdjęcia nie gryzą.

W auli rozległ się głośny śmiech. Doktor zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. Karolina w milczeniu usiadła koło kukły. Śmiechy i komentarze były już nieco cichsze, ale nadal nie ustawały.

- Ale, proszę państwa, proszę o ciszę. Różne sytuacje zdarzają się na świecie. Sam mam brata, bardzo utalentowanego ucznia Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, bliźniaczo podobnego do zamordowanego funkcjonariusza Rakowieckiego. Gdy pierwszy raz zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie, z wrażenia musiałem się napić. Więc teraz zakończmy już ten temat i przejdźmy wreszcie do wykładu.

Brak odpowiedzi. W auli znów zrobiło się głośniejsze.

- Dobrze. Szanowni państwo, nie zostawiacie mi wyboru – wykładowca zrobił krótką przerwę. - Usłyszę jeszcze jedno słowo z sali, a materiał będziecie opracowywać we własnym zakresie.

Momentalnie w auli zapadła całkowita cisza. Reszta wykładu upłynęła w spokoju. Karolina była wdzięczna doktorowi za to, że stanął w jej obronie. Niestety, gdy wyszedł, znów usłyszała nieprzyjemne komentarze

pod swoim adresem. Pakowała się i wychodziła na korytarz, gdy padło stwierdzenie jakiejś dziewczyny:

- Nie zapomnij chłopaka.

Znów szyderczy śmiech. Karolinie łzy stanęły w oczach. W progu auli zatrzymał ją Sławek Bednarski.

- Zostaw go. Ja nie jestem mordercą, nawet w łóżku. Sprawdź mnie.

Reakcja Karoliny była natychmiastowa. Uderzyła go otwartą dłonią. Spodziewał się po niej wszystkiego, ale nie spoliczkowania.

Karolina odwróciła się na pięcie i wyszła na korytarz. Miała ochotę zapalić papierosa, ale postanowiła zrobić to po zakończeniu kolejnego wykładu. Zastanawiała się, jak Krystianowi minął poranek. Miała nadzieję, że spokojniej.

\*

Landorf wszedł do swojego gabinetu. Nie zdążył nawet otworzyć biurka, gdy usłyszał pukanie. Odetchnął głęboko.

- Proszę.

Drzwi otworzyły się i Orlicki wszedł różnym krokiem. Z niemałą satysfakcją przyglądał się minie kolegi. Zamknął drzwi i stał przez chwilę w milczeniu.

- Co robisz? – spytał wreszcie.

- Chcę dokończyć robotę, którą zacząłem przed wyjazdem.

- Znalazłeś coś?

- Nic. Świeży śnieg przykrył wszystkie ślady. Narzędzia zbrodni też nie było.

- Czyli nadal nie ma żadnych dowodów, które przemawiałyby za tym, że Rokicki jest niewinny - podsumował Orlicki.

- Nie ma - potwierdził podkomisarz.

- Każę go ponownie zatrzymać.

- A co z Mierzejskim?

- O niego nie musimy się już martwić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Spokojnie, nic mu się nie stało. Nie musisz się o niego martwić - powtórzył dobitniej Orlicki. Te słowa jeszcze bardziej zaniepokoiły



Landorfa.

- Dlaczego miałbym się o niego martwić?

- Bo wydaje mi się, że go znasz.

- Dlaczego tak myślisz?

- Widziałem przypadkiem wasze wspólne zdjęcie, chociaż odwróciłeś je tyłem. Wiem, że chciałeś je ukryć.

- A jeśli nawet, to co?

- Nic, tylko zastanawia mnie wasza znajomość. Bo widzisz, wysłałem do komendy wojewódzkiej w Katowicach nakaz jego zatrzymania i nie chciałem, żeby ktoś go uprzedził.

- Oskarżasz mnie o coś? - syknął Landorf. Oczy zwięzły mu się niebezpiecznie.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Chciałem tylko, żebyś był obecny w trakcie jego przesłuchania i żeby na jego wynik nie miała wpływu wasza znajomość.

- Masz to jak w banku – z ciężkim sercem obiecał Landorf.

Komisarz uśmiechnął się tryumfalnie.

- O co go oskarżasz?

- W pokoju przesłuchań znaleziono podsłuch. Był włożony w nogę stołu. Porównano zdjęte z niego odciski palców z odciskami na dokumentach, które przeglądał Mierzejski. Pasują. Oskarżam go o nielegalny podsłuch policji i współpracę z podejrzanym o popełnienie morderstwa. Wiem, że jutro jest wtorek i pogrzeb tego pieprzonego – Orlicki ugryzł się w język – ... człowieka, ale i tak przeprowadzimy to przesłuchanie.

Landorf nie wiedział, co odpowiedzieć, a Orlicki - zadowolony z własnego działania - zostawił go samego ze swoimi myślami i wyszedł z gabinetu. W swoim od razu chwycił słuchawkę dzwoniącego telefonu. Był już w lepszym nastroju.

- Słucham. Przy telefonie. Tak, dobrze panią poinformowano.

Dzwoniła jakaś kobieta z ITAKI. Przedstawiła się, ale Orlicki nie zapamiętał jej imienia i nazwiska. W tej chwili to było dla niego najmniej ważne. Liczyło się tylko to, co powiedziała. Z wrażenia o mało nie upał na podłogę. Oparł się o ścianę.

- Jest pani pewna? Rozumiem. Nie, dziękuję. Sam się z wami skontaktuję.

Odłożył słuchawkę. Znów był wściekły. Podobno ktoś zadzwonił do ich biura i powiedział, że widział w gazetach zdjęcie zamordowanego. Rozpoznał go. Dla własnego bezpieczeństwa nie podał swoich danych i nie zostawił na sobie namiarów, ale podał imię i nazwisko denata. Przekazał też informację o wykonywanym przez niego zawodzie.

\*

Weszliśmy na komendę i od razu skierowaliśmy się do jednego z zastępców komendanta wojewódzkiego. Wszyscy, których mijaliśmy, ze zdziwieniem patrzyli na mnie, nie wiedząc, co myśleć o pojawieniu się w pracy.

Drzwi do gabinetu Karwasa były zamknięte, ale słyszałem ruch po ich drugiej stronie. Zapukałem.

- Proszę.

Weszliśmy do środka.

- Dzień dobry.

Karwas podniósł głowę znad biurka.

- Co ty tu robisz? - rzucił złowrogo na mój widok.

- Przyjechałem uporządkować swoje papiery i prosić o urlop.

- Co? - Karwas zatrzęsł się ze złości. - Jakim prawem? Dostyc, że zostałeś zatrzymany i postawiono ci zarzuty, to ty jeszcze chcesz urlop? Wyjdź albo każę cię wyprowadzić.

- Zarzuty wobec pana Rokickiego nie zostały poparte rzeczowymi dowodami i nie widzę powodu, dla którego nie mógłby wrócić do pracy - wtrącił się Mierzejski.

- A pan to kto? - Karwas poczerwieniał ze złości.

Detektyw wyjął wizytownik i podał mu karteczkę.

- Dariusz Mierzejski. Prywatny detektyw, tak?

Karwas wyjął z biurka jakiś dokument i podał mojemu „advokatowi”.

- Ten Dariusz Mierzejski?

Detektyw był całkowicie zaskoczony tym, co przeczytał. Spodziewał się oskarżenia o prowadzenie nielegalnego podsłuchu, ale nie o współpracę

z zabójcą. Karwas podniósł słuchawkę telefoniczną i wybrał na klawiaturze jakiś numer wewnętrzny.

- Przyślij mi tu dwóch ludzi.

Odłożył słuchawkę. Nie minęła minuta, nim funkcjonariusze weszli do gabinetu. Nie miałem pojęcia, co to miało znaczyć.

- Przykro mi, ale nie mam innego wyjścia. Na podstawie przedstawionych w tym piśmie zarzutów, jest pan zatrzymany. Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko niemu - przy tych słowach Karwas wskazał ręką Mierzejskiego.

Mimo ostrzeżenia, gdy mu odbierali broń i zakładali kajdanki na ręce, Mierzejski powiedział mi:

- Znajdź i przejrzyj jeszcze raz te dokumenty sprzed trzech lat, a potem inne akta Orlickiego.

Ogłupiały patrzyłem, jak wyprowadzali go z pomieszczenia. Zamknęli drzwi, a ja zostałem sam na sam z zastępcą komendanta.

- A ty na co czekasz? - spytał, przywracając mnie brutalnie do rzeczywistości. - Zrób, co masz zrobić i jutro widzę cię normalnie w pracy. Słyszałem, co powiedział ci ten detektyw. Nie ruszaj sprawy Orlickiego. To może się dla ciebie źle skończyć.

Gównu z urlopu - pomyślałem. Nie chciałem się jednak kłócić ze swoim przełożonym. W milczeniu wyszedłem i udałem się do archiwum. Po drodze potwierdziłem swoją obecność w pracy. Na drzwiach wisiała klepsydra informująca o tragicznej śmierci starszego aspiranta Hieronima Rakowieckiego i jego pogrzebie, który miał się odbyć w najbliższy piątek.

Policjantka czasowo zastępująca archiwistę przywitała mnie bardzo oziębło. Była zupełnie zaskoczona moją obecnością.

- Przykro mi z powodu Hirka - zacząłem niepewnie.

- Kłamiesz! Jak w ogóle masz czelność tu przychodzić i rozmawiać ze mną? Nawet nie raczyłeś poinformować mnie o jego śmierci. Wiesz, że jestem, byłam - poprawiła się po chwili - jego jedyną rodziną.

- Chciałem to zrobić dzisiaj.

- Nie pieprz. Musiałam dowiedzieć się z gazet?

- Uspokój się - powiedziałem, ale bez większej nadziei. - Nie ja go zamordowałem.

- Ale przez ciebie zginął!

- Tak ci na nim zależało? Ciekawe. A będziesz chociaż na jego pogrzebie? - nie potrafiłem nie być złośliwy po tym, co przed chwilą powiedziała. Wiedziałem, że od bardzo dawna im się nie układało. Inaczej by się nie rozwiedli.

Zacisnęła zęby z wściekłości i nie odpowiedziała. Widziałem, jak łzy stają jej w oczach. Podeszedłem do niej i przytuliłem, jak tuli się młodszą siostrę.

- Wiesz, że rozwiodłam się z nim dla ciebie - szlochała. - Kocham cię. A ty, zamiast ze mną, związałeś się z tą kur...

- Jestem tu służbowo - powiedziałem pierwsze, co przyszło mi do głowy, żeby tylko nie dokończyła tego zdania. Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety, ale nie byłem pewny, czy gdyby dokończyła zaczęta myśl, potrafiłbym się powstrzymać.

- Wiedziałaś!

Wyrwała się z mojego uścisku.

- Czego chcesz?

Musiałem przypomnieć sobie jak najszybciej oznaczenie tych akt i wyjść z archiwum. Jak na złość nie miałem ich w głowie.

- Potrzebuję tych akt, które ostatnio wypożyczałem.

- Numer - warknęła.

- Mariola, nie pamiętam. Sprawdź w danych w komputerze.

Wbiła na klawiaturze kod wejścia do systemu i wystukała w bazie danych moje imię i nazwisko.

- Te, co ostatnio?

- Tak.

- Przykro mi, ale jeszcze ich nie oddano.

- Jak to? Sprawdź jeszcze raz. Oddawałem je.

Nagle poczułem na sobie gęsią skórę. Mariola spojrzała na mnie wściekle.

- Nie ma - powtórzyła. - Ty je oddałeś, ale Hirek wypożyczył ponownie i nie zdążył zwrócić. Teraz pewnie są już dowodem w jego sprawie.

- Kurwa - zakląłem. - Nie masz jakiejś kopii? To ważne.

- Nie - odpowiedziała szczerze.

- Tu może teraz chodzić o moje życie. Jeżeli naprawdę ci na nim zależy, to sprawdź jeszcze raz. Postaraj się.

Ten argument przemówił jej do rozumu. Mariola ponownie wystukała moje dane.

- Nie ma.

- Spróbuj wpisać Hirka.

Odczekałem kilka sekund.

- System nie znalazł.

- A numer sprawy?

- Też nic.

Zacząła się już denerwować, a ja pomału traciłem nadzieję.

- Ostatnia próba.

- Nie wkurwiał mnie!

- Naprawdę. Sprawdź tylko to i jeśli niczego nie znajdziemy, to sobie pójdę. Wpisz „Robert Orlicki”.

Dzięki Bogu posłuchała.

- Dziwne. Skąd wiedziałaś? Są to te same akta, a dokładniej – ich kopia.

- To był strzał, na chybił trafił.

Mariola spojrzała na mnie spode łba.

- Na jak długo je potrzebujesz?

- Tylko na dzisiaj. Jeśli mi nie wierzysz, to mogę je przeglądać przy tobie.

- Nie chcę cię widzieć.

Wstała od komputera i poszła do drugiego pomieszczenia. Po kilku minutach wróciła z białą, opisaną teczką. Zanim mi ją dała, wyjęła skoroszyt, otworzyła na aktualnej dacie i kazała się podpisać. Wziąłem z jej dłoni długopis i z oddechem niewyobrażalnej ulgi, złożyłem zamaszysty podpis.

- Odwdzięczę się - obiecałem, kierując się do drzwi.

- Codziennie modlę się, żeby ta suka zdechła - rzuciła, gdy byłem już w progu. Nie odwróciłem się. Nerwy i tak miałem już w strzępach.

- Poczekaj! - krzyknęła za mną, gdy wchodziłem na schody. Zatrzymałem się. To musiało być coś ważnego, skoro wybiegła za mną aż na korytarz.

- Co się stało?

- Znalazłam coś dziwnego - mówiła zdyszczanym głosem. - Kim jest ten Orlicki?

- Był komisarzem w naszym wydziale kryminalnym, a teraz jest zastępcą Naczelnika sekcji dochodzeniowo-śledczej w Komisariacie Policji V w Krakowie.

- Z ciekawości jeszcze raz wpisałam go w bazie i wyświetliło mi akta, które wypożyczał. Wygląda na to, że bardzo interesował się tobą i moim byłym.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Bardzo często przeglądał wasze akta - wszystko, co było z wami związane, nawet wycinki prasowe.

- Gazety - powiedziałem. - Sprawdź, z których lat wypożyczał i wyjmij je z archiwum. Przyjdę do ciebie, jak przejrzę jego teczkę. Obejrzę wtedy te gazety.

Chciała zaprotestować, ale ja, żeby nie stracić żadnej minuty, pobiegłem już po schodach na piętro.

\*

Nie liczyłem, ile papierosów wypaliłem. Niedobrze zrobiło mi się od nadmiaru kawy i głodu. Gdybym nie otworzył okna i nie pooddychał w nim przez kilka minut, to nie trzeba byłoby mnie już ratować. Spojrzałem na zegarek. Dawno minęło południe. Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy i wybrałem numer domowy Karoliny. Odczekałem kilka sygnałów, ale nie podniosła słuchawki. Wystukałem numer jej komórki. Odebrała.

- Coś się stało? Stoję w korku i nie bardzo mogę teraz rozmawiać. Jadę już do domu.

- Dobra, ja jestem jeszcze na komendzie. Nie wiem, za ile wrócę.

- Dobrze. Zostawię ci obiad. Odgrzejesz sobie. Pamiętaj, że cię kocham.

- A co z twoją pracą?

- Mam wieczorne zastępstwo - przypomniała. Miała jakiś inny, jakby smutny głos. - Zdążę wszystko zrobić.

- Stało się coś? - tym razem ja zapytałem niespokojnie.

- Nie, nic. Jestem po prostu troszkę zmęczona.

Zakończyła rozmowę. Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie Orlickiego zamieszczone w aktach. Wyglądał jak jakiś amant filmowy, wycięty z pierwszego lepszego brukowca. Przeczytałem jego akta. Wynikało z nich, że Robert Orlicki był całkiem normalnym, wzorowym funkcjonariuszem i praworządnym obywatelem. Znalazłem jednak notatkę o tym, że został przeniesiony, ponieważ nie rozwiązał sprawy podpalenia żydowskiej kamienicy. W pożarze zginęła jedna osoba.

Nagle przypomniałem sobie sprawę tego podpalenia. Chwyciłem akta i wybiegłem z gabinetu. O mało nie zabiłem się, zbiegając po schodach.

- Masz te gazety?

Wpadłem do archiwum jak burza.

## Rozdział 4

Kolejny raz przeglądaliśmy wszystkie artykuły prasowe. Podzieliliśmy się wycinkami. Kupka dotycząca Hieronima leżała przed Mariolą, a ja spoglądałem co chwilę na swoją.

- Faktycznie zbierał wszystko. Popatrz na daty wydań. Najwięcej pochodzi sprzed trzech lat. Ostatni wycinek jest z czwartego sierpnia dwa tysiące siódmego roku. To była sobota, weekendowe wydanie - zamyśliłem się na chwilę. - Ponad trzy lata temu. Według tego, co tu mamy, Orlicki został przeniesiony siódmego sierpnia, we wtorek. Założę się, że od tamtej pory zbiera informacje o nas w Krakowie.

- Ale dlaczego o was?

- Bo to my kilka lat temu opisaliśmy w gazecie sprawę podpalenia żydowskiego domu sprzed trzydziestu sześciu laty. Mieliśmy wtedy umowy-zlecenia na pisanie artykułów o sprawach kryminalnych, w których nie odnaleziono sprawcy. To była wspólna akcja policji i prasy, której celem było zwiększenie wykrywalności przestępstw na Śląsku.

- Chcesz powiedzieć, że już wtedy sami przygotowaliście sobie stryczek na szyje?

- Tak.

Zacząłem szukać w dokumentach najdłuższego artykułu podpisanego moim imieniem i nazwiskiem. Gdy go znalazłem, chciałem podać Marioli, ale wyrwała mi z ręki. Przeczytała go bardzo dokładnie.

- Jak mogłeś to robić? Podkopywałeś kolegę po fachu? - sama nie mogła uwierzyć w to, co mówiła. Teraz, po latach, mnie także wydało się to nieprzemyślane.

- Ale on nigdy nie był moim kolegą.

- To twoja wina! On się mści! Sukinsynu, ty zabiłeś Hirka! - nie pozwoliła mi się wytłumaczyć.

- Zanim wydasz na mnie wyrok, przeczytaj to! - straciłem cierpliwość i rzuciłem w nią kolejną gazetą.



Zostawiłem ją samą i wyszedłem z archiwum. Odetchnąłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się na świeżym powietrzu. Znow musiałem wypalić kilka papierosów, żeby się uspokoić.

Wyjąłem z kieszeni telefon i zadzwoniłem do znajomej restauracji. Co prawda Karolina obiecała, że zostawi mi obiad, ale byłem taki głodny, że szybko musiałem coś zjeść. Zamówiłem dwie porcje i wróciłem do archiwum. Mariola także zdążyła otrząsnąć się z wrażenia. Spojrzała na mnie nieco łagodniej. Domyśliłem się, że przeczytała wszystkie artykuły. Usiadłem obok niej.

- Dlaczego opisałeś sprawę tego podpalenia?

- Potrzebowałem dobrego tematu. Jak rasowy dziennikarz chciałem sensacji. Czegoś niewyjaśnionego, jakiejś tajemnicy. Mariola, to podpalenie zdarzyło się prawie czterdzieści lat temu.

Odetchnęła głęboko.

- Znalazłam coś jeszcze.

Spojrzałem na nią z ciekawością.

- Na rewersie jednego z artykułów Hirek zanotował pewną informację. Napisał ołówkiem i dlatego wcześniej jej nie zauważyliśmy. Zobaczyłam ją dopiero pod światło, gdy odkładałam kartkę.

- Jaką informację.

W odpowiedzi Mariola podała mi jeden z jego artykułów. Odwróciłem kartkę i rozpoznałem charakter pisma Hirka.

„Robert Orlicki jest właścicielem działki, na której znajdowała się spalona kamienica. Kilka lat po pożarze kupił ją funkcjonariusz SB – Włodzimierz Orlicki, jego ojciec. Prawdopodobnie Robert Orlicki otrzymał działkę w spadku”.

Ręka mi zadrżała, gdy uświadomiłem sobie, co właśnie przeczytałem.

- Sprawdziłam. Jego ojciec nie żyje.

Karta wypadła mi z ręki.

- Wyglądasz okropnie. Powinieneś się czegoś napić - w głosie Marioli zabrzmiała autentyczna troska.

- Raczej coś zjeść. Przed chwilą zamówiłem nam jakiś obiad. Pewnie niedługo go przywiozą.

Zaskoczyłem ją tym.

- Nie musiałeś.

- Chciałem ci jakoś podziękować za pomoc.

Uśmiech zniknął z jej ust tak samo szybko, jak się na nich pojawił.

- I co o tym myślisz?

- Nie musiałeś - powtórzyła ostrzejszym, hardym tonem.

- Pytałem o sprawę Orlickiego.

- Nie wiem. Przeczytałam twoje artykuły, a potem pobieżnie przejrzałam jego akta personalne i nic z tego nie rozumiem. Idealny policjant, miał wszelkie szanse na awans, ale trzy lata temu w ogóle nie podjął się prowadzenia śledztwa.

- Właśnie - przerwałem. - Rozumiem, gdyby przeprowadził śledztwo i niczego nie znalazł. Tylko że on nic nie zrobił w tej sprawie.

- Wolał zrezygnować z awansu. Jakby się czegoś bał.

- Też o tym myślałem.

- A co z tym wspólnego miał mój mąż?

- Przeprowadzał wywiad środowiskowy wśród ludzi mieszkających w pobliżu miejsca pożaru.

- A detektyw, któremu poświęciłeś tyle miejsca w artykule?

- Mierzejski? Dowiedziałem się o nim od Hirka. Jestem pewien, że znalazł się tam zupełnie przypadkowo. Mnie natomiast zastanawia coś innego.

- Co? - Mariola spojrzała na mnie zaintrygowana.

Minęło kilkanaście sekund, zanim odpowiedziałem. Mariola nie wiedziała chyba, o czym myślałem, ale w skupieniu przyglądała się mojej twarzy. Zastanawiało mnie, dlaczego Karwas nie zareagował odpowiednio na nakaz zatrzymania Mierzejskiego i go nie anulował? To był jego rewir, nie Orlickiego. Czyżby w tym piśmie było coś jeszcze, o czym nie wiedziałem? A może komisarz skontaktował się telefonicznie z Karwasem i go przekonał? Nie potrafiłem tego zrozumieć. Karwas był starszy rangą od komisarza - był młodszym inspektorem i pierwszym zastępcą komendanta, a nawet nie próbował wyjaśnić sprawy, tylko od razu kazał zatrzymać detektywa.

- Zadałam ci pytanie - Mariola przywróciła mnie do rzeczywistości.

- Dziwny zbieg okoliczności. Podpalenie tych Żydów, moim zdaniem, miało podłoże rasowe. Teraz morderstwo, o które zostałem oskarżony, popełniono prawdopodobnie na tym samym tle. I znowu w pobliżu kręci się Orlicki – odpowiedziałem. - A co z Hirkiem? - postanowiłem chociaż na chwilę zmienić temat.

- Nic.

- Nie rozumiem.

- Nie żyje.

- To wiem, ale jakiś czas nie było mnie w pracy. Karwas działał, żeby wyjaśnić sprawę jego zabójstwa?

- Niby tak, niby nie. Wymienił się informacjami, nie wiem jak - czy telefonicznie, czy elektronicznie - z Orlickim, przeprowadził wizję lokalną i wywiad środowiskowy. Nienawidzą się, ale muszą współpracować. Jednak nic to nie dało i nie dowiedzieliśmy się niczego nowego.

Zamilkła, ja także. Teraz zrozumiałem postępowanie Karwasa. Pewnie w zamian za współpracę Orlicki zażądał od niego wydania Mierzejskiego, a Karwas zawsze starał się dotrzymać słowa.

\*

Zrobiło się późno. Nie patrzyłem na zegarek i nie widziałem nawet, kiedy minęła północ. Mariola uparła się, żeby odwieźć mnie do domu. W ten sposób chciała podziękować za obiad, ale chyba to był tylko pretekst do czegoś innego. Skorzystałem, ale tylko dlatego, że Karwas nie dał mi wcześniej samochodu służbowego i byłem pewny, że teraz, po ostatnich wydarzeniach, tym bardziej nikt mnie nie odwiezie.

- Może dotrzymać ci towarzystwa? – zatrzymała samochód przed blokiem. Spojrzała na okna mieszkania Karoliny. Światła były pogaszone. – Obiecuję, że miło spędzimy czas. Zostaw ją.

Znów zaczęła swoje. Nie zaskoczyła mnie swoją propozycją. Wbrew sobie pozwoliłem jej się wygadać.

- Widzę, że będziesz dzisiaj samotny. Pewnie znowu się puszcza. Wiesz, widziałam ją kiedyś...

Tego już nie wytrzymałem. Pierwszy raz uderzyłem kobietę.

- Jest lepsza od ciebie.

Krzyknęła z bólu i zaskoczenia, a ja z wściekłością odpiąłem pas bezpieczeństwa i wysiadłem z samochodu. Trzasnąłem drzwiami i metalowa klamra uderzyła w szybę. Nie obejrzałem się za siebie, nawet wtedy, kiedy trzasnęła. Nie żałowałem tego, co zrobiłem. Usłyszałem pisk opon i Mariola odjechała.

Drzwi na klatkę schodową były tylko przymknięte. Nie musiałem do nikogo dzwonić domofonem i prosić o ich otwarcie. Wszedłem i zapaliłem światło. Na klatce panowała względna cisza. Krzyki dochodziły tylko z jednego mieszkania. No tak, pewnie Wróbel znowu pieprzy córkę, a jego żona jest w pracy. Od czasu do czasu dolatywały do moich uszu krzyki i płacz nastoletniej dziewczyny.

Nacisnąłem klamkę. Drzwi do mieszkania Karoliny były zamknięte. Zadzwoiłem i odczekałem kilka sekund, ale nie usłyszałem żadnego ruchu w mieszkaniu. Wiedziałem - znowu zapomniała do mnie zadzwonić i powiedzieć, gdzie schowała klucze. Obiecałem sobie, że do niej zadzwonię, tylko najpierw musiałem odwiedzić sąsiada.

\*

- Orlicki dzwoni.

Krótko obcięty brunet o mało nie zakrztusił się piwem, usłyszawszy nazwisko swojego byłego przełożonego. Odstawił kufel na stół.

- Kurwa. Czego ta menda znowu chce? Przecież powiedziałem mu, że śledzenie tego skurwysyna Mierzejskiego to była nasza ostatnia przysługa.

- Odebrać?

- Sam z nim porozmawiam. Przez ten telefon zaraz wyrzucą nas z baru. Zobacz, już patrzą na nas spode łba.

Mężczyzna o włosach i brodzie w kolorze marchewki rozejrzał się po twarzach klientów lokalu. Jego kolega miał rację. Mimo tego, że klienci korzystali właśnie z tego, że właściciel był ich znajomym i wyjątkowo nie zamknął baru przed północą, niektórzy z nich, bardziej pijani, obudzili się i patrzyli na nich, jakby mieli zamiar ich zabić. Ponieważ telefon nadal dzwonił, rudzielec podał go koledze.

- Czego?

- Mam dla was zadanie – powiedział Orlicki.

Odpowiedź jego rozmówcy była krótka:

- Spierdalaj!

- Dobrze płatną. I lepiej posłuchaj, co mam ci do powiedzenia: albo nastraszyć Rokickiego, albo wszyscy polecimy.

Romanow wiedział, że Orlicki nigdy nie żartował w tak poważnych sprawach.

- Daj mi na niego jakieś namiary.

\*

Załomotałem do drzwi Wróbla. Gdy do nich podchodziłem, zdawało mi się, że słyszałem dwa kobiece głosy. Z początku miałem wrażenie, że krzyczały Ania, córka Wróbla i Natalia – jego żona. Ucieszyłem się w duchu, bo miałem wreszcie okazję przyłapania tego gnoja na gorącym uczynku. Nie wiedziałem dlaczego, ale im bardziej zbliżałem się do jego mieszkania i słyszałem dochodzące z niego głosy, tym szedłem wolniej. Stałem przed jego drzwiami i upewniłem się co do swoich podejrzeń. Krzyki i błagania wzrosły na sile.

- Nie tak się umawialiśmy. Proszę, tylko nie to. Nie!

Wróbel krzyknął:

- Stul pysk i do roboty!

Kobieta poddała się swojemu oprawcy.

- Ale zapłacisz mi dzisiaj podwójną stawkę.

Krzyki przemieniły się w jęki rozkoszy.

- Ni...! - to był zduszony krzyk jego córki. Załomotałem do drzwi.

- Otwierać, policja.

Ze zdenerwowania zacząłem ponownie walić pięściami w drzwi. Momentalnie zapadła cisza. Nagle drzwi się otworzyły, stanął w nich Wróbel, a za nim dostrzegłem nagą i spoconą Karolinę. Podtrzymywała ręcznik naprędce narzucony na ciało. Nie wiedziałem, czy powinienem odwrócić się na pięcie i wyjść, czy tak ją uderzyć, żeby zapamiętała mnie do końca życia.

Wróbel taksował mnie spojrzeniem, ale nic nie mówiłem, a on... milczał. Za to odezwała się Karolina:

- To nie tak, jak myślisz, kochanie.

Usłyszałem szybkie kroki na schodach, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Nie było najmniejszych wątpliwości. Mariola miała rację, a ja byłem skończonym idiotą.

- Wy tłumaczę ci to, wszystko – błagała.

- Kurewstwa nie da się wytłumaczyć.

- Robiłam to dla nas.

- Zejdź mi z drogi, szmato.

Nic więcej już nie powiedziała. Uniosła dumnie głowę.

Kroki na schodach nagle ustały. Ktoś stanął za nami. Odwróciłem się i zobaczyłem bruneta sięgającego pod kurtkę. Nie namyślając się ani sekundy, rzuciłem się w jego stronę. Zobaczyłem lufę wyjmowanego pistoletu. Karolina jej nie dostrzegła. Myślała zapewne, że chciałem ją zatrzymać - i nie spodziewając się niczego, stanęła między mną a napastnikiem. Usłyszałem strzał i dziewczyna upadła. Nie zdążyłem jej nawet ostrzec. Lufa pistoletu wycelowana była w moją głowę, a zamachowiec nie był amatorem. Karolina osunęła się na podłogę.

Napastnik był w szoku. Sam chyba do końca nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. W okamgnieniu znalazłem się przy nim, wykręciłem mu rękę tak mocno, że zawył z bólu i upadł na kolana. Teraz wystarczyło jedno uderzenie kolanem w szczękę. Usłyszałem chrupnięcie i brunet stracił przytomność. Obejrzałem się za siebie. Wróbel nadal stał w progu swojego mieszkania, z szeroko otwartymi oczami i ustami ze zdziwienia.

- Mnie też pobijesz? - zapytał.

Wiedziałem, że tego dnia zyskałem u niego szacunek.

- Nie - odpowiedziałem, pochylając się nad ciałem dziewczyny. Nie żyła! - Ale mogę oskarżyć cię o znęcanie się nad rodziną, molestowanie i uprawianie seksu z nieletnią, gwałty, kazirodztwo i zatrzymać. I obiecuję ci, że tym razem posiedzisz. To już jest w moim prywatnym interesie, po tym, co dzisiaj zobaczyłem i słyszałem.

Spojrzałem na niego groźnie, a on tylko spuścił wzrok i wpatrywał się w podłogę. Nie miał już odwagi patrzeć mi prosto w oczy.

- Chyba że... - zawiesiłem tajemniczo głos, podniosłem się z klęczek i wyjąłem komórkę z kieszeni.

- Będę twoim najlepszym przyjacielem, obrońcą, będę pilnował twojego mieszkania, będę...

- Będziesz moim świadkiem - przerwałem mu, gdy tylko przypomniałem sobie, co zrobił z moim mieszkaniem.

- Ale...

- Albo będziesz w pierdłu schylać się po mydło.

Ten argument ostatecznie przemówił mu do rozsądku.

- Zgoda.

- Powiedz córce, żeby nie pokazywała się na klatce i popilnuj tego skunksa. Ja dzwonię po kolegów - powiedziałem, a w duchu obiecałem sobie najpierw zająć się sprawą zabójstwa ciemnoskórego mężczyzny i Karoliny, a w drugiej kolejności wsadzić Wróbla do pierdła. Wystukałem na klawiaturze telefonu numer dyżurki w Komendzie Wojewódzkiej, ale nikt nie odebrał rozmowy. Po chwili spróbowałem ponownie i wbiłem 997, też nic, 112 i cierpliwie czekałem.

\*

Wezwałem także pogotowie, ale radiowóz przyjechał wcześniej, kilka minut po moim telefonie. Migająca sygnalizacja świetlna odbijała się od szyb w całym bloku, a dźwięk syreny usłyszałem, zanim jeszcze pojazd się zatrzymał. Oprócz mnie, Wróbla, mordercy i Karoliny na klatce schodowej nikogo nie było. Podejrzywałem, że sąsiedzi, dbając o własne bezpieczeństwo, woleli nie wtykać nosów w nieswoje sprawy.

Do moich uszu doleciały nagły pisk opon, krzyki i strzały. Potem głośny trzask, jakby zderzenie samochodu z innym pojazdem - i na ulicy nastąpiła przerażająca cisza. Na wszelki wypadek nie podszedłem do okna. Jeśli napastników było więcej, to któryś mógł czekać na ulicy, z bronią wycelowaną prosto w moją głowę.

Nagle rozległ się odgłos szybkich kroków po schodach i krzyki wydawanych poleceń. Przygotowałem się do obrony – nie chciałem zostać zaskoczony kolejnym atakiem.

Po schodach, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, wszedł zdyszany Karwas. Nie sądziłem, że osobiście przyjedzie sprawdzić, co się stało.

- Mogłem się tego spodziewać. Byłem pewien, że jeśli coś się dzieje, to musi być związane jakoś z tobą - spojrzał na mnie groźnie, po czym odezwał się do Wróbla: – Proszę odsunąć się od ciała. Widział pan, co się tu stało?

- Tak.

- Proszę opowiadać.

- Ten mężczyzna – Wróbel wskazał ręką leżącego bruneta – próbował zabić pana Krystiana.

- Raczej nastraszyć – nie byłem tego do końca pewien, ale łagodniej to zabrzmiało. – Ale zginęła Karolina.

- Nie ciebie pytam – warknął na mnie Karwas. – Z tobą porozmawiam na komendzie.

W tym czasie przyjechała na sygnale karetka pogotowia i po schodach wbiegli sanitariusze.

- Proszę się odsunąć! – krzyknął jeden z nich, a ja posłuchałem, chociaż wiedziałem, że niepotrzebnie chcieli badać Karolinę. Pochylili się nad jej klatką piersiową – nie podnosiła się i nie opadała. Serce nie biło, ale sanitariusze robili swoje. Sprawdzili puls. W końcu, z udawanym żalem potwierdzili to, o czym wiedziałem już od dawna.

- Przykro mi – powiedział starszy z nich. – Nie żyje.

- A ten?

Podeszli do obezwładnionego bruneta i pochyłili się nad nim.

- Ten tak.

Karwas odetchnął z ulgą i odwrócił się do dwóch funkcjonariuszy. Widziałem ich kilka razy na korytarzu w komendzie wojewódzkiej, ale nie poznałem osobiście.

- Skujcie go i wyprowadźcie.

Zadzwoił do patologa, a jeden z policjantów ocucił kilkoma klepnięciami w twarz i wyprowadził mojego niedoszłego mordercę.

- Jedziemy na komendę. Pan także – Karwas spojrzał poważnie na Wróbla.

- Muszę się przebrać.

- Ma pan na to dziesięć minut.

Wróbel wrócił do mieszkania i zamknął drzwi.



- Chcę zobaczyć mieszkanie ofiary.

- Ja także.

- Nie - Karwas spojrzał na mnie groźnie. - Sami tam wejdziemy. A ty pogoń tego faceta.

Chciałem się sprzeciwić, ale Karwas wraz z drugim funkcjonariuszem podeszli już pod drzwi z tabliczką „Karolina Bieńkowska”.

Zapukałem do mieszkania sąsiada. Modliłem się, żeby to on otworzył drzwi i żeby Karwas nie zobaczył jego córki. Na szczęście moje prośby zostały wysłuchane. Wróbel po kryjomu podał mi klucz do mieszkania Karoliny.

- Już wychodzę – powiedział tak, żeby policjanci go usłyszeli i ponownie zamknął się w mieszkaniu. Obrócili się, ale zdążyłem schować klucz do kieszeni. Podeszedłem do nich wolno.

- Zaraz wyjdzie.

- Jeśli zamknięte, wyważyć drzwi – zdecydował Karwas.

Nie mogłem dopuścić do dewastacji mieszkania. Wtedy już w ogóle nie miałbym gdzie żyć. Póki co, nie miałem innego.

- Poczekajcie.

Sięgnąłem do kieszeni spodni, a funkcjonariusz powstrzymał się od ataku. Nie wiedział, co robić.

- Wyważaj! – krzyknął Karwas.

- Mam zapasowe klucze.

Karwas spojrzał na mnie groźnie.

- A skąd je masz?

Wróbel, już ubrany, wyszedł ze swojego mieszkania i czujnie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań.

- Bo była moją dziewczyną.

- Kim?

- Dziewczyną – powtórzyłem głośniej.

- Zamordowałaś ją?

- Nie.

- Może odkryłeś, że cię zdradza?

Zaskoczył mnie i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Porozmawiamy sobie o tym. Klucze.

Stojący obok niego policjant bez pardonu wyrwał mi je z dłoni i otworzył drzwi. Ja także chciałem wejść, ale Karwas zamknął mi je przez nosem i przekręcił zamek od wewnątrz. Funkcjonariusz, który wyrwał mi klucz, miał teraz za zadanie pilnowanie mnie. Nie miałem zamiaru uciekać. Nie miałem ku temu żadnego powodu, ale i tak nie spuszczał mnie z oka.

Chodziłem po korytarzu tam i z powrotem. Adrenalina zrobiła swoje i przestałem odczuwać jakiegokolwiek zmęczenie. Nadal nie wiedziałem, co myśleć ani co robić. Musiałem biernie czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Wróbel wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Otworzył paczkę i podał mi kilka. Mojego strażnika nie poczęstował. Podziękowałem i zapaliłem. Podeszedłem do okna i otworzyłem je, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza na klatkę schodową.

I wtedy zobaczyłem, co się stało na zewnątrz. Światło z reflektorów radiowozu padało wprost na czerwonego poloneza z rozbitą przednią szybą i wgniecioną maską. Domyśliłem się, że jego kierowca próbował uciec przed policją. Na skutek strzałów funkcjonariuszy w opony, uderzył w ścianę sąsiedniego bloku. Nie miałem wątpliwości, że kierowca nie przeżył.

Czyli jednak zamachowców było dwóch.

Nie spojrzałem na zegarek, ale musiało minąć kilka minut, które zdawały mi się wiecznością, zanim usłyszałem zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otworzyły. Karwas wyszedł i podał mi jakąś kartkę papieru.

- To chyba dla ciebie.

Pilnujący mnie funkcjonariusz zamknął drzwi i oddał mi klucz.

- Zdjęcia w mieszkaniu sugerują, że stanowiliście dobrze dobraną parę. Poza tym zostawiła ci chyba obiad do odgrzania. Niestety będziesz musiał zjeść później – powiedział Karwas a po chwili dodał: - Tym bardziej podejrzana wydaje mi się jej śmierć.

Nie skomentowałem tego. Rozłożyłem kartkę i przeczytałem. Bez wątpienia została napisana przez Karolinę i skierowana była do mnie.

- Czytałeś? – spytałem Karwasa, gdy wyszliśmy z bloku i wsiedliśmy do radiowozu. Karwas kazał mi jechać ze sobą, a Wróblowi i mojemu niedoszłemu mordercy z moim „strażnikiem”.

- Tylko początek, „Kochanie, muszę powiedzieć ci coś ważnego, ale pójdę do pracy, a ty pewnie nie zdążysz wrócić. Piszę więc na kartce...”.

Dalej nie czytałem. Uważam, że to zbyt osobisty list. Swoją drogą, twoja dziewczyna miała ciekawą pracę.

Puściłem jego uwagę mimo uszu. Nie miałem zamiaru iść do więzienia za pobicie starszego rangą funkcjonariusza, w dodatku zastępcy komendanta.

- Gdzie to znalazłeś?

- Na półce, pod waszym wspólnym zdjęciem.

- Przeczytam ci najważniejsze. Posłuchaj: „...Dzisiaj na uczelni dowiedziałam się przypadkiem czegoś, co może cię bardzo zainteresować i być związane z zabójstwem Rakowieckiego”.

Przerwałem na chwilę, żeby złapać oddech.

- Dalej – ponaglił mnie Karwas.

- „Jeden z doktorów, z którymi mam wykłady, wspomniał, że ma brata. Wykładowca nazywa się Rafał Lewandowski, a jego brat jest ponoć bliźniaczo podobny do zamordowanego starszego aspiranta. Mówił, że ma talent i zapowiada się na świetnego aktora. Podobno uczy się zawodu w Łodzi...”.

Złożyłem list i schowałem do kieszeni spodni.

- Ciekawe - przyznał Karwas.

Zatrzymaliśmy się przed komendą.

\*

Zapukałem do drzwi gabinetu Karwasa. Wezwał mnie kilka minut po przyjeździe. Zdażyłem zaparzyć sobie tylko mocną kawę, ale jej nie wypilem. Zadzwonił telefon. Wiedziałem, że czekała mnie długa rozmowa, ale nie miałem wątpliwości, po co kazał mi przynieść list od Karoliny.

- Wejść.

Śmiało otworzyłem drzwi i wszedłem do pomieszczenia.

- Zamknij drzwi i siadaj.

Posłuchałem i usiadłem na krześle naprzeciwko niego, przed biurkiem. Na blacie leżała kserokopia jakiegoś dokumentu.

- Masz list?

- Mam – wyjąłem z kieszeni złożoną kartkę i podałem mu w milczeniu.

Zapalił dodatkową lampę na biurku i założył okulary. Rozłożył kartkę i przeczytał na głos jej treść. Potem położył liścik na blacie i potarł w zamyśleniu dłonią czoło.

- Musimy być wobec siebie szczerzy.

Spojrzał na mnie poważnie.

- Rozumiem, że to nie jest przesłuchanie?

- Nie.

- I nie jestem o nic oskarżony?

- Nie, przeze mnie nie jesteś.

- Dobrze wiedzieć.

Przynajmniej co do tego miałem pewność i byłem już nieco spokojniejszy.

- Czeka nas trochę pracy. Musimy ustalić pewne fakty. Po pierwsze, nie podejrzewam cię o zamordowanie własnej dziewczyny. Z broni pobrano już odciski palców. Dzisiaj będą wyniki. Podejrzewam, że będą jego.

Karwas wskazał ręką kserokopię dowodu osobistego zatrzymanego bruneta.

- Nazywa się...

- Bruno Romanow – do gabinetu weszła Mariola. Ledwo na mnie spojrzała. – Tu są akta, o które pan prosił. Wynotowałam też najważniejsze rzeczy – podała dokumenty Karwasowi. Zrobiła krótką przerwę, żeby wywołać lepsze wrażenie. – Wiecie, że jest policjantem i był podwładnym Roberta Orlickiego?

Mariola zaskoczyła mnie, ale nie wiedziałem, czy bardziej swoim pojawieniem się, czy podaną właśnie wiadomością. Powinienem co prawda spodziewać się, że Karwas wezwie ją na komendę, ale nie myślałem, że zrobi to w środku nocy. Nie wiedziałem, jak powinienem się wobec niej zachowywać. Może ją przeprosić? Uważałem, że nie mam za co, ale miałem wrażenie, że na to czekała. Może za moje nocne zachowanie? Przecież to ja rozbiłem szybę w samochodzie. Mariola wyglądała nieciekawie: twarz miała zmęczoną i podrapaną, czego nie udało się całkowicie zamaskować. Nie wiedziałem, jak wytłumaczyła swój wygląd Karwasowi, ale o nic nie pytał, przynajmniej w mojej obecności.

Zastępca komendanta zacisnął zęby z wściekłości, usłyszawszy znienawidzone przez siebie nazwisko.

- Nie wiedziałem, że jest policjantem. Komu teraz podlega?

- W aktach nie ma informacji.

- Ciekawe - Karwas zamilkł na chwilę, po czym zapytał. - A ten drugi?

- Też. Nazywał się Lambert. A jak tam Karolina? – Mariola zapytała mnie złośliwie, ale nadal nie patrzyła w moją stronę.

- Dzisiaj będzie autopsja. Sprawdzimy też, dlaczego była naga – odpowiedział za mnie Karwas.

- A nie łatwiej ją o to po prostu zapytać?

Chyba nie zrozumiała, co powiedział zastępca komendanta.

- Ona nie żyje, idiotko! – nie wytrzymałem i rzuciłem jej prosto w twarz.

Marioli nogi ugięły się z wrażenia i upadły na podłogę, gdybym w ostatniej chwili nie poderwał się z krzesła i jej nie podtrzymał.

- Przyniosę ci coś do picia.

W gabinecie byliśmy tylko we trójkę. To mnie wypadło się nią zająć.

Wyszedłem z pomieszczenia i w korytarzu nalałem zimnej wody z dystrybutora. Gdy wracałem, usłyszałem, jak Karwas tłumaczył Marioli, co się stało. Nie wiedziała chyba nawet, dlaczego dzwonił do niej do domu i kazał przyjechać w nocy z powrotem na komendę.

Podąłem jej kubek z pićm.

- Przepraszam, nie wiedziałam - w oczach policjantki ujrzałem prawdziwy smutek. – Czy Orlicki ma z tym coś wspólnego? - Tym razem odwróciła się w moją stronę i patrzyła mi prosto w oczy. Ledwo powstrzymywała się od płaczu. Byłem pewien, iż czuła się winna, że źle życzyła Karolinie.

- Jestem tego pewien. Chce się mnie pozbyć. Najpierw pozbył się Hirka, potem zatrzymał Mierzejskiego, a teraz znowu poluje na mnie. Karolina zginęła przez przypadek.

- To poważne oskarżenia. Ja też go nie lubię. Pracowałem z nim jakiś czas i nie była to najlepsza współpraca, ale na twoim miejscu powstrzymałbym się przed mówieniem głośno takich rzeczy – ostrzegł

mnie Karwas. – On ma tu jeszcze popleczników. Poza tym ściany mogą mieć uszy. Chyba że masz mocne dowody?

- Tak - odpowiedziałem poważnie. Nie zauważyłem nawet, kiedy przeszedłem na stałe na „ty”. – A jak ty to wytłumaczysz? Dlaczego zatrzymał mnie i oskarżył o dokonanie zabójstwa na tle rasistowskim, mimo że nie ma żadnych świadków? Na znalezionej broni nie ma moich odcisków palców, facet nie zginął od kuli, a właściwego narzędzia zbrodni chyba jeszcze nie znaleziono.

- Nie wiem – przyznał Karwas. – Mów dalej.

- W takim razie, skoro wie, że to nie moje odciski palców, to dlaczego nie kazał odszukać, zatrzymać i nie przesłuchał ich właściciela?

- Dobre pytanie. Też się nad tym zastanawiam. Może nie ma nikogo takiego w bazie danych. Ten ktoś mógł być do tej pory czysty – więc nie ma jego odcisków palców.

Karwas wysunął szufladę z biurka, wyjął notes, długopis i podał Marioli.

- Niech pani notuje nasze uwagi – polecił, a Mariola zapisała moje ostatnie zdanie.

Zacząłem chodzić po gabinecie w tę i z powrotem.

- Zastanawiało mnie, dlaczego tak się na mnie zawzięł. Z początku myślałem, że po prostu znalazłem się w nieodpowiednim miejscu i czasie, ale ciągle nie wiem, jak to się stało, że to właśnie krakowska policja zatrzymała mnie w lesie. Teraz jestem pewien, że wszystko co się dzieje wokół mnie, to nie jest przypadek. Od kiedy dowiedziałem się o śmierci Hirka, nie daje mi spokoju przeświadczenie, że powinienem wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Powiedział mi to Orlicki.

- Zanotować? – Mariola przerwała naszą rozmowę.

- Oczywiście – odparł Karwas. – A skąd on o tym wiedział?

- Nie mam pojęcia – wzruszyłem bezradnie ramionami. – Nie było żadnego zgłoszenia o śmierci Hirka. Wiem tylko, że Orlicki wysłał swoich ludzi do jego mieszkania.

- Co?! – Karwas znów zrobił się czerwony na twarzy i zaczął trząść się z wściekłości. – Wszedł na mój rewir, nie pytając nawet o zgodę?

- Nie wiedziałeś? To pewnie też nie wiesz, że kazał przeszukać także moje mieszkanie.

- Nie miałem pojęcia – przyznał Karwas.

- Czy to nie dziwne, że tak bardzo interesuje się morderstwem dokonanym poza swoim rewirem? – spytałem retorycznie.

- Masz pewność, że Rakowieckiego zamordowano?

- Tak.

Spojrzałem na Mariolę. Notowała.

- Może chce naprawić swój błąd sprzed trzech lat. Wtedy, pomimo nagłośnienia sprawy i nacisku mediów nie podjął śledztwa.

- I wtedy to też było na tle rasowym. Razem z Rakowieckim napisaliśmy o tym w gazecie.

- Pamiętam. Starszy aspirant Rakowiecki zbierał ci artykuły i zdjęcia, a potem opisywaliście to na zmianę, każdy w swoich artykułach, ale we współpracy – powiedział Karwas. – Nieźle go wtedy wkur... - ugryzł się w język, gdy przypomniał sobie o notującej policjantce.

- Mści się na mnie za to. Trzy lata temu też czekał na awans, i dzięki nam się go nie doczekał.

- Faktycznie, ale to nie ty wyprowadziłeś go z gabinetu. Na pewno tego nie zapomniał Wyprowadził go...

- Mierzejski – dokończyłem za Karwasa. – Ale to ja insynuowałem, że śledczy Orlicki może coś ukrywać, skoro w ogóle nie podjął się śledztwa.

- Tak. Sprawa-zagadka do tej pory nie została rozwiązana. Śledztwo utknęło w miejscu – dodała Mariola, przerywając na chwilę notowanie.

- Właśnie.

- Nadal go podejrzewasz?

- Tak. Mam wrażenie, że teraz jest jeszcze bardziej zdesperowany. Bez nakazu przeszukał mieszkania moje i Hirka. Pozbył się Mierzejskiego pod zarzutem nielegalnego podsłuchu. To dzięki detektywowi nie zostałem niewinnie wsadzony do pudła i mam wobec niego duży dług wdzięczności.

- A skąd Mierzejski wiedział, że cię zatrzymano?

- Założył podsłuch i nagrywał rozmowy z pokoju przesłuchań.

- Chcę mieć te nagrania.
- Są w jego samochodzie.
- Każę je przywieść z policyjnego parkingu.
- On także ma pewność co do tego, że Orlicki coś ukrywa – dokończyłem przerwane zdanie.

- To Mierzejski trzy lata temu wyprowadził go z gabinetu – znów wtrącała się Mariola, potwierdzając to, co przed chwilą powiedział nasz przełożony. – I on uratował podkomisarza Landorfa. Może Orlicki podszedł do tego ambicjonalnie – zasugerowała – i pomyślał, że nie będzie jakiś prywatny detektyw znów wtrącał się w jego śledztwo.

- A mamy na to jakieś dowody? – zapytałem, kontynuując myśl przełożonego. Woląłem, żeby Mariola sama powiedziała to Karwasowi.

- Tak, wycinki prasowe. Orlicki zbierał informacje również o nim.

- Co jeszcze pani znalazła?

- To on uratował Żydów z płonącej kamienicy. Ocalił życie Landorfowi i jego matce. Ojca niestety już nie zdążył uratować.

- Landorf pracuje teraz z Orlickim. Przesłuchiwał mnie. Prawdopodobnie to on ostrzegł nas, że jesteśmy śledzeni.

- Możesz skontaktować się jakoś z tym Mierzejskim?

- Obawiam się, że nie pozwolą mi z nim rozmawiać.

Karwas zamyślił się chwilę.

- Dobra. Niech twój świadek, jak on się nazywa?

- Robert Wróbel.

- Właśnie, niech podpisze zeznanie, że nie ty zamordowałaś swoją dziewczynę, a zrobił to Bruno Romanow, i go wypuścimy. Potem pojedziesz do Łodzi i znajdziesz Lewandowskiego. Czy mamy jeszcze coś na niego, czy tylko to, co napisała pani Bienkowska?

- Niczego więcej nie mamy. Chyba że...

Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Zaraz wracam.

Wybiegłem z gabinetu i wpadłem jak burza do swojego biura. Wyjąłem z szuflady biurka złożoną kartkę papieru i pędem wróciłem do Karwasa. Mariola siedziała zupełnie zaskoczona moim zachowaniem. Zastępca komendanta także nie wiedział, co powiedzieć. Podałem mu kartkę.



- Co to jest?

- Kserokopia raportu patologa z sekcji Rakowieckiego. Mam go od Mierzejskiego, a on dostał od Landorfa.

- To też zrobił? Kurwa, wystarczyło, że kilka godzin nie było mnie w pracy, a ten... już to wykorzystał – Karwasowi puściły nerwy. Przeczytał dokument.

- Bierz kilku ludzi. A pani sierżant – skierował swój wzrok na Mariolę – niech napisze pismo do komendanta w Łodzi, nakaz zatrzymania tego Lewandowskiego i da mi do podpisu.

- Ale ja...

- To polecenie służbowe. Wyjeżdżacie o ósmej – warknął Karwas. – Chcę mieć tutaj tego gnoja.

Mariola wyszła z gabinetu, a ja zostałem jeszcze chwilę. Karwas uniósł brwi w zaskoczeniu.

- Ty także masz mi coś do powiedzenia?

- Nie, pomyślałem tylko, że mógłbym zrobić niespodziankę Orlickiemu i pojawić się dzisiaj na pogrzebie.

- To ryzykowne.

- Wiem, ale...

- Moja obecność sprawi mu większą niespodziankę.

- Rozumiem.

Nie powiedziałem już nic więcej. Wyszedłem z gabinetu.

\*

- Co było w tym raporcie? – zapytała Mariola. Czekala na mnie na korytarzu. Zanim jej odpowiedziałem, musiałem wypalić papierosa. Wiedziałem, że Karwas nie palił i nie chciałem go zatruwać.

- Na ubraniu Hirka znaleziono kilka kropel krwi. Pobrano i zbadano próbki. Potem wyniki przesłano do szpitali i stacji krwiodawstwa. Pasowały do niejakiego Henryka Lewandowskiego. Często w Łodzi oddaje krew.

- Ale jak się tam znalazły?

- Nie mam pojęcia. Może Hirek wypadł z balkonu i morderca musiał wciągnąć go w krzaki. Z tego, co pamiętam z konferencji, wystawała tylko ręka. Lewandowski mógł się przy tym zadrapać o chaszczę.

- Może to nie ten Lewandowski.
- Może, ale musimy to sprawdzić.
- Zaraz dostaniesz nakaz – Mariola powiedziała i pobięła do archiwum.

## Rozdział 5

Kilka minut później Karwas podpisał list i nakaz zatrzymania. Mariola zeskanowała oryginał listu do komendanta w Łodzi i wysłała mu mailem. Karwas podał mi dokumenty z widocznym oddechem ulgi.

- Powodzenia – uścisnął mocno moją dłoń, jakbym sam jeden wybierał się na krucjatę przeciwko złu całego świata.

- Poradzę sobie. Kilku ludzi czeka na mnie na zewnątrz. Mamy dwa samochody. Są przed komendą.

Rzuciłem okiem na treść nakazu. Uśmiechnąłem się. Mariola okazała się profesjonalistką.

- Masz broń?

- Nie, jeszcze mi jej nie oddali.

- Ale ja mam.

Nieoczekiwanie weszła Mariola.

- Nie zostawię cię. Hirek nie żyje, Karolina też nie – powiedziałem zdecydowanie.

- Dlatego pani sierżant jedzie z tobą.

Spojrzałem na Karwasa jak na wariata. Do tej chwili nie myślałem, że wcześniej mówił poważnie.

- W terenie bardziej się przydam.

- Szefie, nie pozwól jej.

- Weźcie ze sobą akta, żebyście wiedzieli, z kim macie do czynienia.

Karwas podał mi teczkę, a Marioli rzucił kluczyki do swojego samochodu.

- Przyda się wam. Dokumenty są w wozie.

Kiwnąłem mu głową w podziękowaniu i wyszliśmy z gabinetu.

W milczeniu doszliśmy na parking. Czekają tu na nas kilku funkcjonariuszy. Siedzieli w osobowym volkswagenie. Obok stał fiat przystosowany do przewożenia podejrzanych. Kierowca patrzył na mnie i uśmiechał się lekko. Odpowiedziałem mu tym samym. Nam było do

śmiechu, ale wiedziałem, że nie będzie temu aktorzyńie, po którego jechaliśmy. Wsiadliśmy z Mariolą do trzeciego samochodu. Mimo tego, że nie miał policyjnych oznaczeń, to i tak rzucał się w oczy. To był prywatny samochód zastępcy komendanta, na którego kupno odkładał pieniądze przez kilka lat. Gdy go zobaczyłem, ucieszyłem się w duchu, że go nam zaproponował. Wiedziałem, że Karwas będzie czekał, dopóki nie wrócimy.

Podąłem akta Marioli. Dałem jej też list do komendanta w Łodzi, nakaz zatrzymania Lewandowskiego i zeznanie Wróbla - podpisał je bez mrugnięcia okiem. Potem wolny i zadowolony wrócił do żony i córki, ale ponownie obiecałem sobie, że go wkrótce dopadnę.

- Ja prowadzę.

Nie czekając na odpowiedź Marioli, usiadłem za kierownicą i zamknąłem drzwi. W milczeniu usiadła na miejscu pilota. Spojrzałem do tyłu przez ramię i uśmiechnąłem się lekko.

- Znajome twarze?

- Kilka – odpowiedziałem, zapinając pasy bezpieczeństwa. Znow zaczął padać śnieg i zrobiło się bardzo zimowo. Z każdym dniem było chłodniej. Włączyłem silnik, ogrzewanie i lekko uchyliłem szybę – tylko tyle, żebym mógł wyrzucać pety. Zanim ruszyliśmy z miejsca, musiałem nakarmić swojego raka. Zakaszlałem kilka razy, ale i tak wypaliłem papierosa do końca. Wyrzuciłem peta, wdepnąłem sprzęgło i wrzuciłem jedynkę.

- Ruszamy – powiedziałem bardziej do siebie niż do Marioli. Oddałem jej papierosy i zapalniczkę, a ona schowała je do skrytki. Nie bardzo mi się to podobało. Nie chciałem od niej niczego pożyczać, ale musiałem, zanim nie kupiłem swoich. Co prawda o tej porze niektóre sklepy i kioski były już otwarte, a nie chciałem niepotrzebnie tracić czasu na postój.

- Spokojnie. Kupiłam kilka paczek.

Czekała nas prawie czterogodzinna jazda. Postanowiłem kierować się na Częstochowę. Gdy wyjechałem z Lompy, musiałem włączyć wycieraczki. Spojrzałem w lusterko – radiowozy jechały tuż za nami. Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Pięknie musieliśmy wyglądać. Czarne audi, a za nim dwa samochody policyjne. Gdyby włączyły sygnalizację, każdy mógłby wziąć nas za ściganych. Jak Bonnie i Clyde'a. Słońce jeszcze nie wyłoniło się zza chmur.

- Adres na pewno jest jeszcze aktualny?

- Nie znalazłam żadnej wzmianki o zmianie – odpowiedziała Mariola z uśmiechem. Nie chciałem zastanawiać się, o czym myślała w tej chwili. Wkrótce jednak miałem okazję się przekonać. Poczułem jej ciepłe, zwinne palce rozpinające rozporek moich jeansów.

- Co ty robisz? Przestań.

Moje protesty nie poskutkowały. Poczułem dłoń Marioli na swoim podbrzuszu.

- Jesteśmy w pracy.

Miałem nadzieję, że ten argument skutecznie ostudzi jej zapał. Niestety, byłem w błędzie.

- Tutaj na pewno nie ma żadnych nadajników ani monitoringu, kochanie. Szef nie pozwoliłby na to.

Mogłem się tego domyślać. Tacy ludzie jak on niczego nie ukrywali - niczego, co nie byłoby związane z prowadzonym w danej chwili śledztwem i nie mieli się czego, ani kogo obawiać.

- Lubię grzebać w różnych miejscach – Mariola skończyła swoje zdanie i poszukiwania. Jej dłoń spoczęła na mojej męskości. Z każdym jej ruchem ciemniało mi przed oczami. Zacząłem szybciej oddychać. Machinalnie dociskałem pedał gazu. Traciłem powietrze w płucach. Ledwo powstrzymałem swoje żądze. Pomyślałem, że jeśli szybko czegoś nie zrobię, to zaraz ją przelecę. Wbrew sobie, z całej siły wdepnąłem pedał hamulca. Głowa Marioli niespodziewanie poleciała do przodu, ale na szczęście w nic nie uderzyła. Jeszcze nigdy nie widziałem jej takiej wścieklej. Wyprostowała się. Widziałem szaleństwo w jej oczach.

- Co ty, kurwa, robisz?

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem w lusterko. Ucieszyłem się, że radiowozy jechały wolniej od nas i dopiero nas doganiały. Wyłączyłem silnik, odpiąłem pas bezpieczeństwa i wysiadłem z auta. W tej chwili nie przeszkadzały mi ani zimno, ani padające na mnie płatki śniegu. Podeszedłem do drzwi pasażera. Otworzyłem je, chwyciłem brutalnie Mariolę i wyciągnąłem na zewnątrz. Nie protestowała.

- Wreszcie – uśmiechnęła się do mnie. – Wiedziałam, że długo nie wytrzymasz.

- Ja też – odpowiedziałem chłodnym głosem. – Przesiadamy się. Ty prowadzisz.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, siedziałem już na miejscu pilota. Zamknąłem jej drzwi przed nosem i zablokowałem od środka. Nie odważyłaby się wybić szyby w samochodzie Karwasa. Wściekła, usiadła za kierownicą. Radiowozy były tuż za nami, ale nie musiały hamować, bo Mariola zdążyła ruszyć z piskiem opon. Doprowadziłem swoje ubranie do porządku.

\*

Orlicki nie chciał widzieć Mierzejskiego, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Stał w oknie i przyglądał się okolicy. Cisza i spokój, jak nigdy. Widział tylko od czasu do czasu jakiegoś człowieka idącego ulicą Krzemionki lub skręcającego w Zamoyskiego. W gabinecie wiało nudą.

Podszedł do powieszonego na ścianie planu Krakowa. Czerwonymi okręgami zaznaczył miejsca, które chciał zwiedzić. Sukiennice odwiedził już nie raz, Wawelu miał dość, ale tyle czasu mieszkał i pracował w Krakowie, a jeszcze nigdy nie był w kościele redemptorystów ani na znajdującym się w pobliżu Kopcu Krakusa. Z zamyślenia wyrwał go Landorf, który głośno odchrząknął. Siedział u niego w gabinecie od kilku minut. Poinformował komisarza, że detektywa przywieziono już na komisariat. Orlicki z satysfakcją w głosie kazał umieścić go w celi tymczasowej. Nie zamierzał podarować mu luksusu samotności. Teraz Landorf czekał na to, co miało nastąpić. Przesłuchanie Mierzejskiego chciał mieć jak najszybciej za sobą.

- Ty go przesłuchasz – zdecydował Orlicki. Podkomisarz uniósł tylko lekko brwi, na dowód zaskoczenia. W rzeczywistości jednak nie spodziewał się niczego innego. Przypuszczał, że jego kolega domyślił się, że współpracuje z detektywem. Teraz musiał to odpowiednio rozegrać.

- Okay – odpowiedział. – W razie potrzeby, jeśli przyjdzie ci coś na myśl, zadawaj dodatkowe pytania.

- Nie omieszkać – obiecał Orlicki. Spojrzał na zegarek.

- Idziemy?

W odpowiedzi Landorf skinął głową i wstał.

Gdy mijali cele, witały ich krzyki, przekleństwa i obietnice zemsty po wyjściu na wolność. Więźniowie, ledwo usłyszeli odgłos butów funkcjonariuszy, już wiedzieli, kto idzie. Landorf miał poważne wątpliwości co do swojego bezpieczeństwa w przyszłości, ale Orlicki jak zawsze był butny i znów pewny siebie.

Cele nie były małe - przeznaczone na pięć do dziesięciu osób, ale Orlicki wypełniał je po brzegi.

Podkomisarza zaskoczyła całkowita cisza dochodząca z końca korytarza. Ostatnia cela była przeznaczona dla najgorszych zbrodniarzy – dewiantów seksualnych. W niej Orlicki z premedytacją umieścił Mierzejskiego.

Podeszli do kraty i stanęli, zupełnie zaskoczeni niecodziennym widokiem. Na środku pomieszczenia, na betonie siedział Mierzejski. Był odwrócony do nich plecami. Naprzeciwko niego siedział wytatuowany na twarzy trzydziestoparoletni mężczyzna. Znał go cały Kraków i nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Anzelm Rokosz znany był ze swojego upodobania do dorosłych mężczyzn. Policja, w trakcie przeszukania jego domu, znalazła w piwnicy całkiem dobrze wyposażoną siłownię, kilkadziesiąt czasopism pornograficznych, prezentujących tylko mężczyzn, i sadomasochistycznych zabawek erotycznych. Orlicki bez skrupułów oskarżył go o zamordowanie kochanka. Rokosz pracował w firmie ochroniarskiej. Szybko stał się jedynym zaufanym człowiekiem szefa. Z dnia na dzień był coraz bliżej swojego pracodawcy, aż pewnego dnia coś między nimi zaiskrzyło. Ciągnęli swój nieformalny związek przez kilka lat. Oskarżony zawarł w tym czasie bardzo intratne znajomości i kontakty z różnymi biznesmenami. Jednak ciągle było mu mało pieniędzy i wrażeń. Poza tym miał dość wygórowane ambicje.

Pewnego dnia uprowadził swojego kochanka. Chciał, żeby ten przepisał na niego swoją firmę, ale „Ramzes” nie był aż taki głupi. To doprowadziło Rokosza do szału. Uprowadził „Ramzesa” z własnej firmy i uwięził w swoim domu. Torturował go, przypalał genitalia, zgniatał je rozgrzаныmi kombinerkami, aż wreszcie osiągnął swój cel. Niestety nie było już żadnych szans na uratowanie torturowanego. Policja otrzymała zgłoszenie o jego zaginięciu od jednego z pracowników firmy. Ostatnią osobą, która widziała

„Ramzesa” żywego, był Rokosz. Funkcjonariusze udali się wprost do jego domu. Zgubiło go to, że gdy zapukali i chcieli wejść pod pretekstem zwykłej, niezobowiązującej rozmowy, zamknął im drzwi przed nosem. Niewiele mu to pomogło. Policjanci wyważyli je i wtargnęli do środka. W piwnicy znaleźli martwe ciało „Ramzesa”.

Z powodu nieustannego przepelnienia więzień, Anzelm Rokosz został umieszczony w celi tymczasowej. Zarzutów wobec niego przybywało z każdym dniem, ponieważ znalazł przyjemność w najwymyślniejszym dręczeniu współwięźniów. Tymczasowa cela stała się jego nowym domem.

Teraz siedział po turecku i grał z Mierzejskim w karty, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Pozostali współlokatorzy w milczeniu stali po bokach i, z zaciętymi minami, przyglądali się pojedynekowi. Landorf nie miał wątpliwości, że robią zakłady i nieustannie podbijają stawki. Anzelm na chwilę podniósł głowę znad trzymany w dłoni kart i powiedział:

- Czas na przedstawienie.

Mierzejski nie śpieszył się na spotkanie z funkcjonariuszami. Chciał pobawić się z nimi w kotka i myszkę.

\*

„Dariusz Mierzejski, urodzony w Krakowie dnia pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Syn Lubomira Mierzejskiego i Arletty Pankiewicz. Prywatny detektyw. Zgadza się?” – dobiegło z głośników.

- Tak. – Mierzejski odpowiedział spokojnie. Siedział na krześle i oglądał sobie paznokcie u dłoni. Nogi miał założone jedną na drugą.

- Nie za wygodnie panu? – zapytał złośliwie Orlicki.

- Nie. Widzę, że zmienił pan stolik od czasu mojej ostatniej wizyty w tym pomieszczeniu. Niestety krzesło pozostało bardzo niewygodnie – odgryzł mu się detektyw. Zresztą - pomyślał - wkrótce sam się o tym przekonasz. Będiesz siedział na moim miejscu.

- Wie pan, dlaczego pana tu przywieźliśmy? – zapytał Landorf, od razu przechodząc do sedna sprawy. Pytanie zabrzmiało bardzo oficjalnie. Mierzejski zorientował się, co jest grane. Rozejrzał się dokładnie po pomieszczeniu. Orlicki postarał się o to, żeby przedstawienie przebiegało w



przyjemnej atmosferze. Nie wysłał nawet strażnika, osobiście przyszedł po niego do celi.

Na podłodze nie było żadnego śladu, ani jednej drzazgi z połamanych mebli. Detektyw nie patrzył na funkcjonariuszy, żeby uwiarygodnić nieco to przesłuchanie.

- Wiem tylko to, co odczytano mi w trakcie zatrzymania.

Orlicki chciał coś powiedzieć, ale Landorf go ubiegł:

- Udzielając odpowiedzi na pytania, proszę patrzeć nam prosto w oczy.

Detektyw zastosował się do jego polecenia. Orlicki wyjął z kieszeni i położył na blacie foliowy woreczek, z dobrze znaną mu zawartością.

- Wie pan, co to jest?

- Oczywiście panie komisarzu, to pluskwa – przyznał Mierzejski z rozbrajającą szczerością w głosie.

- Ma pan rację, to jest podsłuch – uściślił Landorf. – Znaleźliśmy go w tym pomieszczeniu. Zdjęliśmy z niego odciski palców. Wie pan, do kogo należą?

- Skoro mnie panowie zatrzymali i mówią mi to wszystko, to zapewne do mnie. Przecież nie trzymalibyście mnie nie posiadając niezbitych dowodów, prawda?

Mierzejski skierował szydercze spojrzenie na Roberta Orlickiego. Ten udał, że nie zrozumiał aluzji.

- Czyli przyznaje się pan do założenia podsłuchu? – spytał Landorf.

- Tak.

Swoją odpowiedzią Mierzejski zbił przesłuchujących z tropu. Zapadła niezręczna cisza. Podejrzenia zawarte w nakazie zatrzymania zostały potwierdzone. Landorf nie wiedział, o co jeszcze mógłby zapytać Mierzejskiego. Wyręczył go Orlicki.

- Czy pan wie, że podsłuchiwanie policji jest prawnie zabronione?

- Tak, ale uważam, że cel uświęca środki.

- A jakież to cel panu przyświecał?

- Odnalezienie prawdziwego mordercy znalezionego w lesie mężczyzny i uwolnienie moim zdaniem niesłusznie podejrzanego Krystiana Rokickiego. A może przy okazji udałoby mi się także rozwiązać zagadkę podpalenia pewnej żydowskiej kamienicy.

- To ciekawe, że wspomniał pan akurat pana Rokickiego. Zdaje mi się, że jest pańskim znajomym. Skąd się panowie znają?

- Znam go od niedawna. Dowiedziałem się o nim z gazet, tak samo jak o starszym aspirancie Rakowieckim.

- To co skłoniło pana do tego, że nagle postanowił pan podać się telefonicznie za nieistniejącego Leona Stefańskiego z Komendy Głównej Policji w Warszawie, okłamać nas i bronić zupełnie sobie nieznanego człowieka?

- A czy inaczej zostałbym wpuszczony na komisariat? – detektyw odpowiedział tylko na pierwszą część pytania. Spoglądał Orlickiemu prosto w oczy. Ten nie odpowiedział.

- A jeśli Rokicki jest winny zarzucanego mu czynu i dzięki panu chodzi teraz wolno po ulicy?

- A jeśli mam dowody świadczące o jego niewinności?

- A jeśli jest pan w zмовie z panem Rokickim?

- A jeśli to pan zabił starszego aspiranta Rakowieckiego? - Mierzejski odbił piłeczkę.

- Może to pan zlecił zabójstwo ciemnoskórego w lesie, a funkcjonariusz Rakowiecki dowiedział się o tym i także musiał zostać zlikwidowany? Może to pana powinniśmy zamknąć, a nie pana Rokickiego? Może był tylko narzędziem? Za dużo zbiegów okoliczności, nie sądzi pan? Zna pan Rokickiego, wie o morderstwie Rakowieckiego, i ni stąd, ni zowąd postanawia uwolnić z aresztu swojego współnika?

- Piękna teoria, panie Orlicki - odpowiedział Mierzejski i zaśmiał się na cały pokój. – Cieszę się, że wszystko, co tu mówimy, jest rejestrowane.

Detektyw niespodziewanie wstał z krzesła i podszedł do stolika, za którym siedzieli policjanci. Oparł dłonie na blacie i pochylił się groźnie nad Orlickim. Spojrzał mu prosto w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie. Czy myślisz, że zatrzymalibyście mnie, gdybym tego nie chciał?

- Czyli specjalnie zostawił pan swoje odciski palców na nadajniku i dokumentach? – wtrącił się Landorf.

- Tak – odpowiedział detektyw, po czym ponownie zwrócił się do Orlickiego. - Mam dowody świadczące o niewinności Rokickiego. Wiem

też, kto zlecił zabójstwo Hieronima Rakowieckiego i nieudane zastraszenie Krystiana. Notabene, wiesz, że plan się nie powiódł i zginęła jego dziewczyna?

Komisarzowi nie drgnął ani jeden mięsień twarzy.

- Dowody – odparł, chwytając detektywa za kołnierz koszuli. – Gównu masz, i jeszcze grozisz funkcjonariuszom na służbie. To będzie cię dużo kosztować.

Nie zrobiło to na Mierzejskim żadnego wrażenia. Ponownie zaśmiał się na całe gardło.

- Może i mam gówno, ale ono ma swoją nazwę – nagrania z tego pomieszczenia. Jak myślicie, panowie koledzy, po co założyłem podsłuch? Wiem, kto wrobił Krystiana Rokickiego. Na tych nagraniach jest wyraźny głos zleceniodawcy, ponieważ nie zawsze zleceniodawca dzwonił ze swojego gabinetu, imię i nazwisko zleceniobiorcy i wzmianka o jakimś Adamie, który może być zamieszany w podpalenie żydowskiej kamienicy. I co panowie na to?

Tego ani komisarz ani podkomisarz się nie spodziewali. Landorf ze zdumienia unióśł brwi i wyglądał jak ryba z otwartymi ustami. Orlicki zatrzęsł się z wściekłości. Wstał z krzesła i bez słowa wyszedł z pokoju przesłuchań. Musiał napić się i połknąć kilka tabletek uspokajających.

\*

Tego dnia Lewandowski nie spodziewał się żadnych odwiedzin. Wczoraj, po powrocie z uczelni od razu położył się spać i dzisiaj postanowił zabawić się na całego. W końcu nie zawsze przytrafiają się człowiekowi tak intratne zlecenia. Ledwo wrócił z uczelni i odświeżył się chłodną wodą, otworzył barek. Uśmiechnął się na widok jego zawartości – na szczęście prezentowała się lepiej, niż oczekiwał. Nie w smak mu była kolejna samotna noc. Chwycił za telefon i wstukał na klawiaturze dobrze znany sobie numer. Zadzwoził do najsłynniejszego domu publicznego w Łodzi. Ostatnio miał wyjątkowe szczęście i nic nie zapowiadało jego rychłego końca. Telefon odebrała burdelmama. Od razu poznał ją po głosie.

- Cześć, mamuśka, tu twój ukochany syneczek, Henryk.

- Dawno nie dzwoniłeś.

- To prawda – urwał na chwilę. Starał się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz skorzystał z wdzięków prostytutki. – Kręcę nowy film i potrzebuję kilku świeżych aktorek.

- Jak świeżych? – zapytała podejrzliwie „mamuśka”.

- Najlepiej od razu po szkole.

- W tym roku był duży nieurodzaj.

- Wiem, dlatego zapłacę potrójną stawkę – Lewandowski znał zasady prowadzenia tego biznesu.

Po drugiej stronie telefonu zapadła długa cisza. Henryk odchrząknął znacząco.

- Jestem – powiedziała kobieta. Jej głos stał się słodki jak miód. Wiedziała, ile może zarobić. – Przeglądałam najodpowiedniejsze kandydatury. A czy masz już jakąś upatrzoną aktorkę? Z kilkoma grałeś.

- Liczę na amatorki.

- Doprowadzisz nasz dom do bankructwa. Ile chcesz i na kiedy?

- Pięć, na dzisiejszą noc. Wybierz najlepsze.

Nie czekał na odpowiedź. Odłożył słuchawkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Rzucił jeszcze okiem na dom – był idealnie wysprzątny. Jedyne, co miał teraz do zrobienia, to kupić jedzenie, przygotować sobie ubranie i rekwizyty. I czekać. Miał na to kilka godzin, ale po jedzeniu poszedł od razu.

\*

Niezły domek - pomyślałem, gdy zbliżyliśmy się do willi Lewandowskiego. Od naszej wymiany zdań i mojej reakcji na jej zaczepki, Mariola odnosiła się do mnie z dużo większą rezerwą i niechęcią niż wcześniej. Rzadko się też odzywała. Nie narzekałem z tego powodu. Mogłem w spokoju jeszcze raz przeanalizować i dopracować swój plan działania. Mieliśmy zatrzymać się w pewnej odległości, tak, żeby samochód wzbudzał jak najmniej podejrzeń i odczekać kilka minut, póki funkcjonariusze nie przygotowują się do wejścia tylnymi drzwiami. Minęło południe i promienie słoneczne raziły w oczy, odbijając się od śniegu. Willa z wybrukowanym podjazdem, prowadzącym do dobudowanego z boku garażu i ścieżką do drzwi wejściowych pięknie wyglądała na tle tego

pejzażu. Musiała wzbudzać podziw i zazdrość okolicznych mieszkańców. Śnieżnobiałe kolumny dodawały uroku hebanowym drzwiom.

Miodowo-śnieżna willa zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Nie mogłem uwierzyć, że w tej posiadłości mieszkała tylko jedna osoba, zwykły aktorzyzna, a tak wynikało ze zgromadzonych przez Mariolę danych.

Rozmyślania przerwała mi Mariola. Przez radiotelefon potwierdziła, że możemy wchodzić. Chłopcy czekają już na nasz sygnał.

Zerknąłem na środkowe okno na piętrze. Zdawało mi się, że poruszyła się w nim firanka. Nie miałem jednak pewności, bo nie dostrzegłem drugi raz żadnego ruchu.

- Dobra, to jazda – zdecydowałem. Mariola chwyciła za radiostację i... już miała się połączyć, gdy z komórki usłyszeliśmy znajomą melodyjkę z serialu „Stawka większa niż życie”. To oznaczało, że Karwas chciał z nami rozmawiać. Mariola odebrała rozmowę.

- Tak, jesteśmy gotowi. Chłopcy też – słyszałem jej odpowiedzi. – Siedzi koło mnie. Okay, już mu daję.

Podala mi telefon.

- Słucham, szefie.

- Pamiętasz? Powiedziałeś mi, że w samochodzie Mierzejskiego są nagrania z pokoju przesłuchań.

- Tak – potwierdziłem.

- Wyślę po nie kogoś. Powiedz mi, jaki to samochód.

- Czarny mercedes. Nie pamiętam jego numeru rejestracyjnego. Myślę, że jest zarejestrowany na niego.

- Znajdę. A wy kiedy wchodzić?

- Możemy wejść w każdej chwili, ale myślę, że lepiej poczekać jeszcze kilka godzin. Nie zbawi nas to, a poobserwujemy nieco okolicę i jeśli będzie taka okazja, przyjrzymy się Lewandowskiemu.

Karwas chyba chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Życzył nam powodzenia i przerwał połączenie. Mariola patrzyła na mnie zaskoczona.

- Posiedzimy i poobserwujemy. Daj znać chłopakom, żeby się nie stresowali.

Wściekła, wykonała moje polecenie. Do wieczora nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. W samochodzie słysać było tylko nasze głodne

żołądki. Koło godziny dwudziestej znów usłyszałem dzwonek telefonu. Odebrałem połączenie.

- I co?

- Nic, szefie. Za chwilę wchodzimy. Dziwne, ale od naszego przyjazdu nie ruszył się z domu. W budynku ktoś jest – pytanie tylko, czy to on.

- Dowiedcie się.

- Mamy zaryzykować?

- Tak. Sprawdziliśmy samochód Mierzejskiego i nie ma w nim nagrań.

- Nie ma? - spytałem ogłupiały, ale przyszło mi coś do głowy. Mierzejski nie był głupi i nie ryzykowałby straty tak cennych dowodów. - Może zostawił je w „Novotelu”, w jakimś sejfie?

- Sprawdzimy. Wchodźcie już.

- Okay - zakończyłem rozmowę i powiedziałem Marioli, że nadszedł już czas zabawy w bohaterów.

W tej samej chwili pod willę Lewandowskiego podjechały dwa samochody. Nie zdziwiły mnie ich marki. Ktoś mieszkający w takim domu musiał otaczać się ludźmi o wysokim statusie finansowym.

Z początku myślałem, że mamy do czynienia z mafią. Jak bardzo byłem w błędzie, okazało się, gdy otworzyły się drzwi zielonego dodge'a i wysiadła z niego wysoka blondynka, ubrana w długi płaszcz. Nie przeszkadzał jej coraz gęściej padający śnieg. W oknie pojawił się jakiś mężczyzna. Kuta, żelazna brama otworzyła się i blondynka wróciła do samochodu. Wsiadając, spojrzała w naszą stronę. Nie wiem, ile mogła mieć lat i, mimo że uprawianej profesji nie miała wypisanej na twarzy, domyśliłem się, że jest to najstarszy zawód świata. Nie miałem już wątpliwości co do proveniencji gości Lewandowskiego. Na plac najpierw wjechał dodge, a za nim błękitny chevrolet. Brama się już zamykała, ale zdążyłem zauważyć, że z samochodów wysiadły same dziewczyny.

- Co robimy? – zapytała Mariola.

- Wchodzimy za kilka minut. Wykorzystamy zamieszanie i zaskoczenie, zatrzymamy gnoja, zanim zorientuje się, co się dzieje.

- Poczekaj. A jeśli nam się wymknie? Lepiej poczekajmy. Zatrzymamy go za godzinę. Niech się zabawi – może będziemy mieli dzięki temu jakieś

dodatkowe dowody. Możemy zatrzymać go także na zajęciach – jej głos stał się jakiś inny. Był zimny i wyrachowany. Nie spodobało mi się to.

- Nie – sprzeciwiłem się. – Wejdziemy tam teraz.

- Chcesz go zatrzymać, czy zerznąć kurwę?

Była wściekła. Zaczęła krzyczeć na całe gardło. Bałem się, że właściciel willi mógłby nas usłyszeć. Próbowałem uspokoić ją jakoś, ale nie słuchała moich argumentów. Wyrывała się z moich rąk i okładała mnie pięściami jak szalona. Nie miałem innego wyjścia. Chwyciłem jej ręce tak mocno, że w ogóle nie mogła nimi poruszać. Drugą ręką złapałem jej głowę, pochyliłem się i ją pocałowałem. W zamierzeniu miał to być pocałunek tylko na uspokojenie, ale gdy nasze oddechy połączyły się w jeden, gdy poczułem anielską słodycz jej ust, zapomnieliśmy o całym świecie. Nie powiadomiliśmy nawet funkcjonariuszy czekających na nasz sygnał, że wejdziemy do willi dopiero dwie godziny później.

\*

Wszystkie płyty znalezione w sejfie w „Novotelu” były dokładnie opisane. Wysłany po nie jeden z funkcjonariuszy przyniósł ich kilkanaście w kartonie. Karwas miał teraz na biurku dokumentację prawie z całych trzech lat. Domyślił się, że Mierzejski przesłuchał i zachował tylko płyty z najważniejszymi informacjami. Pierwsza była oznaczona datą objęcia przez Orlickiego stanowiska na komisariacie w Krakowie. Ostatnia z nich została datowana na krótko przed zatrzymaniem detektywa. Karwas powołał zespół, składający się z kilku policjantów, i gdy weszli do jego gabinetu, wskazał nośniki danych.

- Weźcie ten karton z płytami. Wrzućcie je na komputery – możliwe, że będą musiały łączyć się z jakimiś zewnętrznymi serwerami - i dokładnie przejrzyjcie. Wszystkie – powiedział z naciskiem na ostatni wyraz. – Wyłapujcie wszystkie znane wam nazwiska, a w szczególności: Rokicki, Rakowiecki, Mierzejski, Landorf, Orlicki i Lewandowski. Jeśli usłyszycie coś o mnie, to też gdzieś to zanotujcie. Chcę dokładnie wiedzieć, co znaleźliście i na czym. Podzielcie się tak, żebym miał to jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dzisiaj. Macie jakieś pytania?

Nikt nie odpowiedział.

- To do pracy.

Funkcjonariusze wynieśli karton z gabinetu i zamknęli drzwi.

\*

Karwas był nieco rozczarowany rozmową z Krystianem, ale nie dał tego po sobie poznać. Miał nadzieję, że razem z Mariolą zatrzymali już Lewandowskiego i wiozą go do Katowic. Mieli przecież jego audi, więc powinni szybko przyjechać. Martwił się o samochód. Chodziło mu też o jak najszybsze przesłuchanie Bruno Romanowa i zakończenie sprawy zabójstwa znalezionej w lesie denata. Mimo, że jako zastępca komendanta był o wiele wyższy rangą, Karwas lubił Rokickiego i cenił go jako funkcjonariusza. Musiał tylko udawać twardego i surowego przełożonego. Czasem grał lepiej, a czasem gorzej. Poza tym był zadowolony, że Mariola pojechała razem z nim. Pasowali do siebie i stanowili ładną parę.

Niestety, Krystian i Mariola jeszcze nie wrócili, a z rozmowy telefonicznej wynikało, że spędzą w Łodzi jeszcze trochę czasu. Karwas nie chcąc siedzieć bezczynnie, postanowił sam przesłuchać aresztowanego.

Zabrał ze sobą dyktafon i schował go do kieszeni. Wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi na klucz. Po drodze do piwnicy wstąpił do dużego pomieszczenia, w którym zgromadzono najprzeróżniejszy sprzęt audio-video. Nawet nie wiedział, do czego służą niektóre urządzenia. W tej sali powołany przez niego zespół pracował w nadgodzinach i przesłuchiwał nagrania. Karwas uchylił tylko drzwi i wsadził głowę do środka. W nozdrza uderzył go intensywny zapach kawy.

- Macie już coś istotnego?

Jeden z funkcjonariuszy uniósł lekko głowę znad notatek. Wcisnął pauzę w odtwarzaczu i zdjął słuchawki. Położył je koło kilku kubków po kawie.

- Pojawiają się wszystkie wymienione przez pana nazwiska. Notujemy na bieżąco.

- A czy jest coś, co mogłoby mnie zainteresować?

- Nie wiem. Sam pan oceni, gdy przesłuchamy wszystkie nagrania i połączymy notatki.



- Będę na dole. Przesłucham niejakiego Bruno Romanowa. Jeśli będziecie coś mieli, to przyjdźcie i dajcie mi znać.

Nie czekał na odpowiedź. Zamknął drzwi i ruszył korytarzem w kierunku schodów.

- Panie komendancie!

Karwas odwrócił się. Był już na schodach. Z pomieszczenia wybiegł ten sam funkcjonariusz, z którym przed chwilą rozmawiał.

- Coś się stało?

- Wspomniał pan nazwisko Romanow?

- Tak, Bruno Romanow.

Policjant podszedł i podał mu jakąś zapisaną kartkę. Karwas odebrał ją i spojrzał pytająco na funkcjonariusza.

- Nie wiem, czy to ważne, ale komisarz Orlicki rozmawiał z nim kilkakrotnie. Jakby dawał mu jakieś wskazówki. W każdym razie tak to wygląda. Chyba znają się dość dobrze.

Dopiero teraz Karwas przyjrzał się notatkom dokładniej. Z każdym przeczytanym słowem uśmiechał się coraz szerzej.

- Dobra robota. Oby tak dalej.

- Dziękuję.

- Od tej chwili szukajcie także wszystkiego, co jego dotyczy.

Funkcjonariusz uśmiechnął się i wrócił do pomieszczenia z nagraniami, a Karwas zszedł do pokoju przesłuchań. Po drodze polecił strażnikowi przyprowadzić aresztowanego.

Kilka minut później siedzieli w małym pomieszczeniu bez okien i z jednymi drzwiami. Protokolant postawił na stoliku dyktafon i usiadł przed notatnikiem. Karwas uważał, że nie ma idealnej technologii. Dlatego na wszelki wypadek miał w kieszeni podręczny dyktafon. Poza tym nic nie było w stanie fizycznie zastąpić człowieka.

Karwas usiadł naprzeciwko bruneta i włączył nagrywanie. Protokolant zrobił to samo, po czym odczytał personalia przesłuchiwanego:

- Bruno Romanow, syn Emilii Schmidt. Urodzony dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku w Poznaniu. Z zawodu policjant. Ojciec nieznany. Usynowiony przez Pawła Romanowa. Czy wszystko się zgadza?

Mężczyzna twierdząco kiwnął głową.

- Proszę odpowiedzieć.

- Tak.

Odpowiedź była tak cicha, że ledwo słyszalna. Bruno skrzywił się z bólu. Karwas podsunął dyktafon bliżej jego twarzy.

- Wiem, jak skończyło się pańskie spotkanie z Rokickim.

W oczach przesłuchiwanego pojawiły się niebezpieczne błyski. Karwas udał, że ich nie dostrzegł. Splótł dłonie i położył na blacie.

- Wysłałem pana na badania do szpitala. Miał pan szczęście, że spotkanie skończyło się tylko na lekkich obrażeniach. Kolega, czekający w samochodzie, niestety nie miał tyle szczęścia. Nikt nie zaprzeczy ani nie potwierdzi pańskiej wersji wydarzeń. Będziemy opierać się tylko na potwierdzonych faktach. Dlatego, żeby oszczędzić panu niepotrzebnego cierpienia ja będę mówił i zostawię panu dwa warianty odpowiedzi: „Tak” i „Nie”. Zgadza się pan na takie warunki?

- Tak.

- Jest pan funkcjonariuszem policji, pracuje w tutejszej komendzie wojewódzkiej.

- Tak – Romanow odpowiedział cicho.

- Nie będę wnikał w to, dlaczego przeniósł się pan akurat na Śląsk, ale faktem jest, że pracuje pan tu już prawie dziesięć lat. Zgadza się?

- Tak.

Romanow nie patrzył na Karwasa.

- Pańskim poprzednim przełożonym był komisarz Robert Orlicki. Zdążyłem się zorientować, że podlegał pan pod niego kilka lat. Wnioskuje z tego, że relacje między wami były dobre. Nigdzie nie znalazłem żadnej skargi, ani z jednej, ani z drugiej strony. Prawda?

Przesłuchiwany pokiwał energicznie głową. Karwas nie wiedział, czy tylko testował ustalony sposób komunikacji, czy naprawdę chciał coś powiedzieć.

- Czy chce pan mi coś wyjaśnić? – przyjrzał się dokładnie twarzy mężczyzny. Ten odchrząknął kilka razy, zanim wydobył z siebie urywany głos:

- Nasza współpraca – Romanow musiał nabrać powietrza w płuca – układała się zawsze bardzo dobrze – kolejna przerwa. - I nigdy nie miałem do pana Orlickiego żadnych zastrzeżeń.

- Rozumiem. Nigdy nie miał pan mu niczego za złe i zapewne nadal pan nie ma. Nawet tego, że musi teraz odpowiadać na te pytania.

Zanim mężczyzna zdążył zareagować, Karwas kontynuował.

- Zapewne zdziwiła pana decyzja o przeniesieniu przełożonego z Katowic na placówkę w Krakowie.

- Tak.

- A nie zastanowił pana fakt niepodjęcia przez niego w przeszłości śledztwa w sprawie podpalenia żydowskiej kamienicy i śmierci jednego z jej mieszkańców?

- Nie.

- Ale wiedział pan o tym?

- Nie.

Karwas wstał zza stołu, podszedł i otworzył drzwi na korytarz.

- Strażnik! – zawołał.

Przesłuchiwanemu pot wystąpił na czoło, a w oczach pojawiło się przerażenie. Mimo tego, że sam pracował w policji, nie wierzył do końca w zmiany sposobu przesłuchiwania. Miał w pamięci opowieści o jej metodach stosowanych, gdy nazywała się Milicją Obywatelską. Przecież to nie było tak bardzo dawno temu.

- Strażnik! – Karwas krzyknął dużo groźniejszym tonem. Na korytarzu dały się słyszeć szybkie, głośnie kroki.

- Przepraszam – wysapał strażnik.

- Przynieś plastikowe kubki i butelkę wody mineralnej. Gazowanej – dodał po chwili. Nastąpiła cisza i Romanow nie bardzo wiedział, czego powinien spodziewać się za chwilę.

- Na co czekasz?

- Już, panie komendancie.

Znow dały się słyszeć szybkie kroki. Tym razem jednak się oddalały. Karwas wrócił do pokoju przesłuchań.

- Powiedział pan, że nie wiedział, że Orlicki nie podjął się śledztwa – kontynuował Karwas. Przyjrzał się dokładnie wystraszonej twarzy

mężczyzny.

- Tak – potwierdził drżącym głosem przesłuchiwany.

- To ciekawe. Nawet gazety co pewien czas przypominały o tej sprawie i pisały że komisarz Orlicki po latach wolał zrezygnować z zasłużonego awansu, niż podjąć się próby złapania podpalacza i mordercy. Nie wydaje się to panu dziwne?

- Nie.

- Kłamie pan – powtórzył Karwas. – Ale wrócimy do tego za chwilę.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

- Wejść.

W progu stanął strażnik. W rękach trzymał kubki i butelkę wody.

- Postaw to na stoliku i zamknij drzwi. Nie wychodź. Możesz mi się przydać.

Strażnik posłuchał i stanął przy wyjściu, jak żołnierz na warcie. Karwas spojrzał na zrobione przez protokolanta notatki. Po chwili kontynuował:

- Zatrzymano pana w dość nietypowej sytuacji. Czy zamierzał pan zabić Krystiana Rokickiego?

- Nie.

Romanow spoglądał co chwilę na strażnika, który posągowo stał przy drzwiach.

- W takim razie zamierzał pan zabić panią Karolinę Bieńkowską?

- Nie – w oczach mężczyzny znów pojawiło się przerażenie.

- Kobieta była naga. Czy zgwałcił ją pan? Była dziewczyną pana Rokickiego. Może dowiedział się o tym, pokłóciliście się i stała się przypadkową ofiarą? – drążył dalej Karwas.

- Nie.

Tym razem Romanow zatrzęsł się tak bardzo, jakby nagle dostał ataku padaczki.

- Dobrze. Akurat w tym przypadku panu wierzę.

Karwas wstał i wyłączył dyktafon. Protokolant zrobił to samo. Karwas zabrał urządzenie i razem z funkcjonariuszem wyszli z pokoju przesłuchań.

Karwas spojrział na zegarek i wyszedł z komendy. Musiał jechać jeszcze do domu, odświeżyć się i przebrać w odświętny mundur. Wziął służbowy samochód. Po przeanalizowaniu otrzymanych informacji zmienił plany. Postanowił nie jechać na pogrzeb, tylko udać się na komisariat w Krakowie i na miejscu dowiedzieć szczegółów.

Przyjechał w nocy i na miejscu nie natknął się na szczęście na Orlickiego. Dyżurnego wypytał o szczegóły i dowiedział się, że pogrzeb był kameralny. Zgromadził zaledwie kilka osób, w większości mężczyzn. Karwas domyślił się, że byli to funkcjonariusze wysłani przez Orlickiego.

Pogrzeb nie trwał długo, tylko kilkanaście minut. Ksiądz odbębnił swoją rolę. Podziękował jakiemuś lekarzowi, który informacje o terminie pogrzebu znalazł w prasie i skontaktował się z ITAKĄ. Powiedział, że razem z denatem studiowali medycynę i podał jego dane osobowe. Dzięki temu policja wiedziała, kogo chowa. Jedyne, co Karwas zyskał na tym wyjeździe, to nieco więcej informacji o denacie.

Młodszy inspektor wrócił na komendę.

## Rozdział 6

- Ktoś stoi pod twoim domem.

- Pewnie jakiś pijak.

- Nie. Dwie osoby. Siedzą w czarnym audi. Gdy wjeżdżałyśmy, miałam wrażenie, że nas obserwują.

- Jesteś przewrażliwiona.

- Lepiej to sprawdź – upierała się blondynka. Obcięty krótko, prawie na tyso blondyn z niechęcią odwrócił wzrok od jej ud.

- Przestań – odezwała się ruda i rzuciła koleżance wściekłe spojrzenie. – Bawmy się wreszcie.

- Wyjrzę. Inaczej będzie gadała przez cały czas i niczego nie nagramy.

Blondynka poczuła się urażona i postanowiła nie odzywać więcej do reżysera. Przynajmniej nie tej nocy. Rzuciła Henrykowi spojrzenie modliszki, ale on go nie zauważył. Stał w oknie i odchylił nieco zasłony. Zobaczył zaparkowane audi i przyjrzał się mu dokładnie. Nie miał zmysłów nietoperza, ale za to trochę fartu. Księżyc wyłonił się na chwilę zza chmur i mężczyzna zdążył zaobserwować wyraźny ruch w samochodzie. Wybuchnął rubasznym śmiechem. Odwrócił się do dziewczyn, które wszyscy traktowali jak tani towar, a dla niego na chwilę stawały się aktorkami, i w jego oczach zapłonął ogień pożądania.

- Gramy – powiedział.

Podał im leżące na biurku kartki. Każda z dziewczyn miała napisaną specjalnie dla siebie rolę. Ściszył muzykę tak, żeby stała się tylko romantycznym tłem i zasłonił żaluzje w oknach. Zapalił też świece zapachowe. Ruda, ubrana w strój studentki, kupiony w jakimś sex-shopie, lekko umalowana, opadła na czworaka i poczołgała się w stronę reżysera. Pozostałe kobiety także zaczęły odgrywać swoje role.

Dawno nie byłem tak wyluzowany i odstresowany. Boże, mógłbym przespać całą tę cholerną zimę. Zapomniałem nawet o Karolinie – może i w porównaniu z Mariolą była aniołem, ale Rakowiecka była w pełni kobietą. Przeciągała się jak kotka, moja kotka.

Odpląnąłem w niebyt. Nie myślałem o tym, co będzie dalej.

- Nie powiadomiliśmy wsparcia o przesunięciu terminu operacji.

Psiakrew, miała rację. Popełniłem błąd. Przekląłem sam siebie za to, że omal jej całkiem nie uległem. Znowu okazałem się kompletnym idiotą.

Stary, znowu masz szczęście – pomyślałem.

Doprowadziłem ubranie do porządku. Mariola wyczytała chyba z mojej twarzy wszystkie myśli. Nie odezwała się ani słowem, tylko uśmiechnęła złośliwie i ubrała. Dopiero teraz dostrzegłem, że potłuczona przez mnie szyba zostawiła zadrapania nie tylko na jej twarzy. Sierżant miała rany na rękach i nogach.

- Przepraszam - mruknąłem ledwo słyszalnie.

Nie odpowiedziała. Po chwili, gdy się ubrała, równocześnie wysiedliśmy z samochodu. Sierżant puściła sygnał pozostałym funkcjonariuszom. Spojrzałem na zegarek. Zmarnowaliśmy kolejną godzinę.

- Mogliśmy wejść już pół godziny temu – rzuciłem wściekle.

- Albo jutro rano – odparła.

Wzruszyłem ramionami. To nie jest pora na wdawanie się w kłótnię.

Bezszelestnie podkradliśmy się do ogrodzenia od strony żywopłotu i przycupnęliśmy w krzakach na kilka sekund, dając pozostałym członkom operacji czas na podejście do willi od tyłu.

Mariola pierwsza wyskoczyła z kryjówki. Z przyzwyczajenia rozejrzała się na boki. Podświetliła latarką ogrodzenie i nie czekając na mnie, zaczęła się na nie wdrapywać. W wąskim snopie światła zobaczyłem przytwierdzoną do siatki tabliczkę z nazwą firmy ochroniarskiej.

Nie chciałem być gorszy od mojej partnerki. Uczepiłem się palcami ogrodzenia. Nie poruszałem się tak szybko, jak ona. Mimo ran, była zwinna ja kocica. Spojrzałem w górę. Księżyc spoglądał na nas od czasu do czasu i mógł nas wydać. Czym prędzej zacząłem wdrapywać się po siatce. Gdy byłem już na wysokości przekraczającej wzrost przeciętnego człowieka,

moje palce natrafiły na owinięty wokół siatki drut kolczasty, ukryty między gałęziami zasłaniającego ogrodzenie świerka. Zakląłem, gdy pierwszy kolec wbił mi się w mały palec.

Niezła niespodzianka - pomyślałem. Co ja tu robię? Powinienem leżeć teraz w ciepłej pościeli, a nie wciągać dupsko na jakieś pieprzone ogrodzenie. Koło mnie powinna leżeć i jęczeć albo sapać Karolina.

Im wyżej się wspinałem, tym ból stawał się silniejszy. Siatka zamieniła się w pręty i szczeble. Zacząłem się modlić, żeby stanąć wreszcie po drugiej stronie ogrodzenia.

Noga ześlizgnęła mi się po oblodzonym pręcie. Spróbowałem chwycić się bocznego, mając nadzieję, że jest mniej oblodzony. Był, ale zanim go złapałem, zjechałem w dół. Musiałem zahaczyć rękawem o kolejny kolec, bo coś rozcięło mi ubranie i rozharatało rękę. Zacisnąłem zęby i w milczeniu wspinałem się dalej. Pomyślałem, że Mariola pewnie czeka na mnie po drugiej stronie. Gdybyśmy byli sami, nie przejmowałbym się zbyt nieoczekiwanym opóźnieniem operacji, ale mieliśmy na karku także pozostałych funkcjonariuszy.

Kurwa, leżeć koło Karoliny. Też masz pomysły, debilu. Jesteś policjantem, a nie jakimś nekrofilem.

Co cię tak gna? Obowiązek zawodowy? A może chęć zemsty? Na kim?

Tak, zemszczę się. Na Orlickim, na Mierzejskim, Karwasie... Nie, na Karwasie? Chyba już całkiem walnęło mi w dekiel. Przecież Karwas jest niewinny.

Ręka zaczęła mi drętwieć, jakby zamarzała. Nie czułem już wypływającej krwi. Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. Uczepiłem się jej, co jeszcze bardziej pogorszyło mój humor. Gdyby kolce były nasączone jakąś trucizną i bym umarł, to moja niewinność nie zostałaby udowodniona, a prawdziwy morderca śmiałyby się do końca życia.

Zemszczę się, obiecuję. I pierwszą osobą, która to odczuje, będzie Rakowiecka.

Zatrzymałem się na chwilę. Może nie byłem jeszcze na górze i nie mogłem przekroczyć ogrodzenia, ale dogoniłem swoją nową dziewczynę. Dziwne, jak szybko zacząłem myśleć w ten sposób o Rakowieckiej.

Oparłem się głową o jej uda. Poruszyłem nią nieco.



- Przestań – syknęła. Była wyraźnie niezadowolona. Jej głos był wściekły i rozmarzony jednocześnie. – Majtki zostawiłam w samochodzie i mnie łaskoczesz.

- Myślałem, że to lubisz. Mam ochotę zdjąć z ciebie spodnie i połaskotać cię bardzo dokładnie. Jak tylko zejdziemy z tego przekłętego ogrodzenia...

- W takim razie, mam nadzieję, że będziesz jeszcze sobą.

- Co masz na myśli?

- Zatrzymałam się, bo tutaj jest jeszcze jeden drut - odpowiedziała.

- Też kolczasty? – zdziwiłem się.

- Nie sędzę. Przyjrzałam mu się bardzo dokładnie. Gładki.

- Myślisz, że górna część ogrodzenia jest pod napięciem?

- Możliwe, że nie, ale lepiej go nie dotykajmy. Wolę, żebyś ty mnie popieścił, a nie prąd.

Ostrożnie przekroczyła ogrodzenie. Ja także. Z tą tylko różnicą, że Rakowiecka bezpiecznie zsunęła się na ziemię, a ja zahaczyłem nogawką o kolec i spadłem z połowy wysokości ogrodzenia, uderzając ręką w coś metalowego. Nie poczułem nawet bólu zranionej ręki. Całkiem mi zdrętwiała. Jakby tego mało, chyba zaczynałem mieć stan podgorączkowy. Mariola, widząc, że upadłem, chciała pomóc mi wstać. Chwyliła mnie za zdrętwiałą rękę.

- Nie dotykaj – syknąłem wściekle. – Sam wstanę.

Księżyc ponownie wychynął zza chmur i na moment oświetlił moją ranę. Rakowiecka wydała z siebie okrzyk zaskoczenia. Przyjrzała się dokładnie mojej ręce.

- Cicho – warknąłem. – Usłyszają nas.

- Nie wygląda to najlepiej

Poświeciła lekko latarką i dopiero teraz przyjrzałem się swojej ręce. Mariola miała rację - gdybym powiedział, że jest ładna, to bardzo minąłbym się z prawdą. Moja ręka wyglądała naprawdę okropnie. Rana szarpana ciągnęła się od przegubu dłoni aż do łokcia. Była brudna i zakrwawiona. Dodatkowo w przegub wbiła mi się jakaś puszcza psiego żarcia. Cała ręka zsiniała i ukazała się na niej fioletowa siatka naczyń krwionośnych. Ze złością wyrwałem puszkę i odrzuciłem na bok.

Zrobiło mi się niedobrze. Może żarcie było zatrute? Z trudem opanowałem nudności. Podniosłem się z ziemi.

- Idziemy – warknąłem. – Chcę jak najszybciej przymknąć tego skurwiela.

Mariola posłuchała i w milczeniu ruszyła w kierunku krużganku. Co jakiś czas oglądała się tylko, żeby sprawdzić, czy jeszcze za nią idę.

Kiedyś nienawidziłem jej za to, że wyszła za Hirka, tym bardziej, że nawet w trakcie ich małżeństwa kokietowała mnie przy każdej okazji. Ale czułem, że bardzo skutecznie, jak trucizna cały czas wkradała się w moje serce i powoli zastępowała Karolinę.

Zatrzymaliśmy się pod ścianą. Zakradliśmy się pod drzwi wejściowe.

Zawsze myślałem, że takie szychy, na jaką chciał wyglądać właściciel tej willi, miały psy obronne i specjalne zabezpieczenia, ale on uznał najwyraźniej, że ogrodzenie wystarcza. Nie wiedziałem, czy będąc na jego miejscu, byłbym mniej zadufany w sobie. Domyśliłem się, że tabliczka firmy ochroniarskiej była tylko fikcją.

Byliśmy pewni, że nasze wsparcie operacyjne także przedostało się już przez ogrodzenie. Mariola puściła kolejny sygnał. Dla funkcjonariuszy, czekających na tyłach willi, miał to być to znak, że staliśmy już przed frontonem i za trzy minuty mieliśmy wejść do środka.

Schowała telefon komórkowy do kieszeni i nacisnęła dzwonek. Po chwili drzwi otworzyła nam młoda blondynka. Nasze oczy spotkały się ponownie.

- Czego?! – warknęła.

Poszarpany, jakby pocięty nożem strój z sex-shopu, tylko odkrywał jej wdzięki. Opamiętałem się w ostatniej chwili i wsunąłem stopę między drzwi a futrynę.

- Szukamy Henryka Lewandowskiego. Otwiera pani.

- Pomyłka – syknęła niezadowolona. Nacisnęła mocniej na drzwi i poczułem ból zgniatanej stopy. Mimo to nie ustąpiłem. Mariola była bardziej stanowcza. Szybkim ruchem wyjęła legitymację służbową, drugą ręką chwyciła broń i bez ostrzeżenia naparła na drzwi. Jednym uderzeniem otworzyła je na oścież, z takim impetem, że blondynka uderzyła plecami o ścianę.

- Policja! – krzyknęła.

Usłyszeliśmy nagły ruch gdzieś wewnątrz willi. Nie potrafiłem jednak zlokalizować jego źródła. Zresztą, ledwo wtoczyłem się do środka.

- Gdzie Lewandowski? – zapytałem. Język zaczął mi się już plątać.

- Powiedziałam, że go tu nie ma.

Prostytutka ledwo mogła złapać powietrze, była mocno poturbowana. Mimo to stanęła prosto i dumnie. Nie patrzyła na mnie. Swój nienawistny wzrok skierowała na moją partnerkę i wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

- Nieprawda – powiedziałem.

Zbliżyłem się do niej. Ledwo potrafiłem utrzymać się na nogach. Oprócz objawów nudności miałem zawroty głowy i trudności w oddychaniu. Gorączka opanowywała całe moje ciało. Jednocześnie pragnąłem posiąść dziewczynę.

- Nie ruszać się!

Mariola wycelowwała broń w lewo. Machinalnie odwróciłem się w tym kierunku i dostrzegłem mężczyznę bardzo podobnego do Hirka. Miałem wrażenie, że widzę ducha. Wzrostem, blond włosami i twarzą bliźniaczo przypominał Rakowieckiego. Był dużo młodszy, ale gdyby się odpowiednio ucharakteryzował, śmiało mógłby go udawać. Nie zauważyłbym różnicy, tym bardziej, gdybym był pod wpływem alkoholu. Szpeciły go tylko sumiaste wąsy i strój Adama.

- Hirek? - wymamrotałem. Pomału chyba traciłem już kontakt z rzeczywistością. Znów zrobiło mi się niedobrze i nie wiedziałem, czy naprawdę widzę Rakowieckiego, czy już wariuję.

Jego mina zdradzała całkowite zaskoczenie zaistniałą sytuacją. Na domiar złego, w jednej ręce trzymał kamerę, a w drugiej nóż. Sierżant zobaczyła chyba to samo. Chciał uciekać, ale była szybsza. Rzuciła się na niego, jak wygłodzona hiena na padlinę.

Dziwne, ale w tym momencie, na chwilę, zrobiłem się zazdrosny. Mężczyzna, zaskoczony jej atakiem, leżał bezwładnie na plecach, z Glockiem przyłożonym do skroni, a policjantka siedziała okrakiem na jego klatce piersiowej. Kolanami przygniatała mu przeguby dłoni. Zataczając się dotarłem do mężczyzny. Przykucnąłem przy nim tak, żeby dokładnie widział moją zranioną rękę.

Był niewiele niższy ode mnie. Spojrzałem mu w czarne oczy, przyjrzałem się wąskim, zaciśniętym zębom. Wydatne kości policzkowe, głęboko osadzone oczy i orli nos. Nawet szrama na lewym policzku, ciągnąca się od oka aż do żuchwy – to wszystko sprawiło, że nie miałem wątpliwości, że to on udawał Rakowieckiego.

- Henryk Lewandowski? – zapytałem tak uprzejmie, jak tylko potrafiłem.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko nienawistnym wzrokiem. Jego usta uśmiechały się złośliwie. Mnie natomiast wcale nie było śmiechu. Podsunąłem mu pod brodę sztywną rękę.

- Co ty, kurwa, robisz, człowieku?

Odpowiedzią na jego pytanie była szybka reakcja Marioli. Zeszła ze swojej ofiary i wymierzyła mocne kopnięcie. Celowała prosto w zębra i trafiła idealnie. Zawył z bólu. Zadowolona z siebie, ponownie siadła mu na piersiach.

A nasze posiłki i tak przybyły za późno. Z okrzykiem „Policja!” funkcjonariusze wpadli do willi. Spojrzałem na ich głupkowate miny. Nagle poczułem się jak bohater jednego z tych idiotycznych seriali sensacyjnych puszcanych w telewizji. W nich także posiłki przybywają często za późno.

Policjanci stali wpatrzeni w Rakowiecką. Wiedziałem, że w tej chwili każdy z nich chciałby znaleźć się na miejscu zatrzymanego, mimo że niedawno skończyła czterdzieści lat i była starsza od nich. Mariola nie patrzyła w ich stronę. Przynajmniej tak myślałem.

- Mój partner zadał panu pytanie. Nazywa się pan Henryk Lewandowski?

- Nie,

- A jak?

- Hieronim Rakowiecki.

- Tak?

Mariola odbezpieczyła broń.

- Nie warto - wydusiłem z siebie.

Mężczyzna ledwo łapał oddech.

Mariola tylko na to czekała. Błyskawicznie zeszła ze swojej ofiary. Na jej ustach zagościł kuszący uśmiech. Obdarzyła nim wpatrzonych w nią

funkcjonariuszy.

- Załóżcie mu kajdanki i odczytajcie jego prawa.

Gdy jeden z policjantów nadgorliwie wykonywał jej polecenie, Mariola wyjęła z kieszeni spodni nakaz. Z trudnością podniosłem się z podłogi i stanąłem obok oparty o jej ramię. Rozłożyła dokument i otworzyła usta do pierwszego słowa, gdy usłyszeliśmy dźwięk telefonu. Zdawało mi się, że były to dwa różne sygnały. Sprawdziłem swoją komórkę. Znow dzwonił Karwas. Odebrałem połączenie. Słychać było także drugi telefon. Mariola sprawdziła swoją komórkę. To nie był jej sygnał. Podałem jej moją komórkę.

- Tak, szefie?

- Zatrzymaliście go już?

- Właśnie to robimy.

- Aha. Jest nakaz przeszukania jego domu. Może coś jeszcze znajdziemy.

- To dobrze. Zajmie się tym miejscowa policja?

- Tak. Wracajcie. Czekam na was na komendzie - Karwas zakończył rozmowę.

Drugi telefon dzwonił nadal. Jeden z funkcjonariuszy poszedł go poszukać. Po chwili wrócił z telefonem w dłoni i wręczył mi go.

- Odbiorę – oświadczyłem. Nie pytałem Lewandowskiego o pozwolenie. Mężczyzna próbował protestować, ale nie zwracałem na to uwagi. Nacisnąłem przycisk z namalowaną zieloną słuchawką i rzuciłem:

- Słucham.

- To pan?

- Tak.

- Ma pan jakiś inny głos.

- Kręcę film. Może troszkę za bardzo wczułem się w rolę - odpowiedziałem.

- Właśnie słyszę.

Spojrzałem w stronę kneblowanego w tej chwili Lewandowskiego. Szarpał się i próbował coś krzyczeć. Z powodzeniem mogło to imitować odgłosy z planu filmowego. prostytutka nadal stała pod ścianą i w milczeniu obserwowała, co się dzieje.

Spojrzałem na Mariolę. Zaskoczona uniosła nieco brwi.

- Rozumiem. Mam dla pana zlecenie. Oczywiście płatne tak, jak poprzednio.

- Czy mam kogoś zabić? – zaśmiałem się lekko, bowiem głos mojego rozmówcy, mimo że zniekształcony, wydał mi się dość znajomy. Im dłużej go słuchałem, tym mniejsze miałem wątpliwości. Znałem ten skrzeczący głos bardzo dobrze. Aż za dobrze. Tego głosu tak łatwo nie mógłbym zapomnieć.

- To nie będzie konieczne. Na razie jedna śmierć nam wystarczy. Mam dla pana inne zadanie.

- Jakie?

- Pamięta pan? Wspominałem panu kiedyś o Krystianie Rokickim.

- Tak – potwierdziłem. – Współpracował chyba z Rakowieckim, tym, którego zlecił mi pan zabić.

Zagrałem, ale musiałem mieć pewność.

- Zgadza się.

O mało nie krzyknąłem z radości. Ledwo się powstrzymałem.

- Co mam zrobić?

- Podejrzewam, że Rokicki może posiadać pewne nagrania. Chciałbym, żeby pan przeszukał jego mieszkanie i jeśli coś znajdzie, przesłał mnie.

- Jakie to są nagrania i na jaki adres mam je panu przesłać? – nie musiałem już udawać zainteresowania. – I co z zapłatą?

- Szczegóły wyślę panu w SMS-ach, a pieniądze przeleję na konto bankowe, tak jak ostatnio.

- W takim razie będę czekał na szczegóły.

- Dobrej zabawy.

- Dziękuję – odpowiedziałem.

Mój rozmówca zakończył połączenie. Schowałem telefon do kieszeni.

- Zachowam go jako dowód. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? – Zwróciłem się do Lewandowskiego. – Zdejmijcie mu knebel.

Mężczyzna mógł wreszcie wykrzyknąć się do woli.

Nagle poczułem chwilowy przyływ energii. Wiedziałem jednak, że moje siły były już na wyczerpaniu. W tej chwili nic się dla mnie nie liczyło.

Chciałem przydusić Lewandowskiego. Zbliżyłem się do niego, ale straciłem czucie w nogach i upadłem na podłogę.

- Dlaczego nie powiedział pan, że zna i pracuje dla komisarza Orlickiego?

Nie odpowiedział.

Czułem się tak, jakby trucizna opanowywała cały mój organizm. I nagle miałem pewność. Tak, to była trucizna. Prawdopodobnie znajdowała się na puszcze, którą się zraniłem. Na szczęście nie odebrała mi jeszcze świadomości. Może i byłem bezwładny, ale przynajmniej widziałem i słyszałem wszystko, co się wkoło mnie działo. Pomodliłem się tylko do Boga, żeby nie zostać w tym stanie do końca życia. Nie chciałem być rośliną zdaną na łaskę i litość innych.

- Nie macie prawa – wystękał wreszcie.

To było najgorsze, co Lewandowski mógł w tej chwili powiedzieć. Mariola zareagowała profesjonalnie i „wytrąciła mu broń z ręki”. Znow była w swoim żywiole. Po raz kolejny pokazała, że zastępstwo archiwisty nigdy nie stanie się jej powołaniem.

- Wyprowadźcie go – spojrzała na zwijającego się z bólu Lewandowskiego. Tym razem nie grał.

Po chwili zostaliśmy sami, nie licząc stojącej bez ruchu prostytutki. Ta doszła już chyba do równowagi, bo oddychała miarowo i spokojnie. Rakowiecka spojrzała na nią groźnie. Kazała pokazać dokumenty i spisała z nich dane osobowe.

- A gdzie pani koleżanki? – zapytała, oddając jej dowód.

- Pewnie uciekły.

Blondynka miała rację. Reszta ekipy przeszukała willę, ale poza naszą trójką nie znalazła w niej żywego ducha.

- Pani także pojedzie i złoży zeznania na najbliższym komisariacie.

\*

Musiało minąć kilka dni, nim dowiedziałem się czegoś, co dobrze rokowało mojemu zdrowiu. Przez ten czas czułem się jak królik doświadczalny. Lekarze nie wiedzieli, jak pokonać krążąca w moich żyłach truciznę. Nie rozmawiali o niej przy mnie, starali się omijać ten temat

podczas obchodów. Wyłapywałem tylko urywki ich rozmów, ale wywnioskowałem z nich, że nie potrafili znaleźć dla mnie lekarstwa, chociaż nie mieli odwagi mi tego powiedzieć.

Usłyszałem jakiś gwar na korytarzu. Domyśliłem się, że to kolejny obchód. Byłem wściekły i coraz wyraźniej okazywałem to zarówno pielęgniarce, jak i lekarzom. Ordynator wolnym krokiem wszedł do sali i podszedł do mojego łóżka.

- Jak się pan dzisiaj czuje?

- Niech się pan ze mną zamieni miejscami.

Lekarz chyba nie zrozumiał aluzji.

- Kiedy stąd wyjdę?

- Niedługo.

Zacząłem krzyczeć na całą salę.

- Mam dla pana dobrą wiadomość.

- Pewnie. Gówno prawda!

- Widzę, że i tak mi pan nie uwierzy. Szkoda.

Ordynator odwrócił się do mnie plecami i skierował do wyjścia. Chciałem zerwać się z łóżka i wydusić z niego całą prawdę, ale nadal nie mogłem ruszyć nawet ręką.

Sukinsynu! – pomyślałem, gdy zamykał za sobą drzwi. Znowu zostałem sam. Przymknąłem oczy.

Nie usłyszałem nawet, kiedy weszła. Poczulem tylko delikatną dłoń na swoim czole i policzku. Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą anioła. Byłem szczęśliwy, byłem w raju. Teraz mogłem umrzeć w spokoju. Zamknąłem powieki. Miałem nadzieję, że już na wieczność.

- Ze mną też nie chcesz rozmawiać?

To jednak nie był głos anioła.

- Czego chcesz?

- Tęskniłeś za mną?

- Nie - skłamałem.

Myślałem o niej w każdej sekundzie mojego pobytu w szpitalu, ale nie umiałem powiedzieć jej tego prosto w oczy. Mogłem to zrobić kiedyś, za jakiś czas, powiedzieć jej to przez telefon, napisać w liście czy SMS-ie, ale nie powiedzieć stojąc twarzą w twarz.



- Nie? – Mariola zapytała ironicznie. Wiedziała, że kłamie. –  
Rozumiem.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła koło mnie.

- A ty za mną? – zapytałem, chociaż znałem jej odpowiedź.

- Nie wiem.

Wiedziałem, że też kłamie. Byłem pewny, że nie tęskniła.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu klinicznym w Łodzi. To najbliższy szpital, w którym można było przeprowadzić badania toksykologiczne.

- Ile dni już tu jestem?

- Niedługo minie tydzień.

- Co? Nie wierzę.

- Tak. Dzisiaj jest wtorek, siódmego grudnia.

Posmutniałem.

- Nie byłem na pogrzebie Hirka. Karolinę też już pewnie pochowano. A ty byłaś? Na Karoliny pewnie też nie – wypowiedziałem głośno swoje myśli. – Zresztą, co cię to może obchodzić. Ona nie żyje, a ja jestem już mumią, prawie trupem. Na pogrzebie Hirka byłaś?

- Nie byłam. Nie miałam czasu. Byłam zajęta. I mam dla ciebie kilka naprawdę dobrych wiadomości.

- Pewnie – rzuciłem od niechcienia.

Mariola udała jednak, że tego nie usłyszała i kontynuowała.

- Dlaczego byłeś niemiły w stosunku do ordynatora? Czekałam w korytarzu i słyszałam twoje krzyki.

Znów we mnie zawrzało.

- Bo to konował! Nie umiał mi powiedzieć, że nie ma dla mnie lekarstwa? Musiał cię przysłać?

- Mylisz się. Przyjechałam się z tobą zobaczyć i zdać relację z tego, co udało nam się zrobić w sprawie Orlickiego. Ordynator, wychodząc z twojej sali, zobaczył mnie i poprosił, żebym ci powiedziała, że niedługo stąd wyjdiesz.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie. Ordynator stwierdził, że nastąpił przełom w poszukiwaniu antidotum - rzucił mi dwiema nazwami, ale nie wiem, czy dobrze

zapamiętałam. Wiem tylko, że to trucizna. Doszliśmy do tego, że to nietypowa trucizna, można by powiedzieć, że pochodzi z rośliny zwanej bieluniem albo inaczej daturą – w przeszłości sporządzano z niej trucizny, ale obecnie służy także do wyrobu leków przeciwastmatycznych i przeciw kolce nerwowej. Jednak były też jakieś składniki chemiczne, to powodowało, że trudno było określić odtrutkę. I wreszcie ktoś domyślił się, że trucizna zmieszała się z jakimś świństwem z tej puszeki z jedzeniem, która wbiła ci się w rękę, pamiętasz? Ordynator powiedział mi, że wszystko jest na dobrej drodze, ale jeszcze kilka dni musisz wytrzymać.

To była chyba najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem w tym roku. Chciałbym uściskać Mariolę najmocniej, jak tylko potrafiłem i przeklinałem samego siebie za swój obecny stan zdrowia.

- To jest najcudowniejsza wiadomość, o jakiej mogłem marzyć. Chcę wrócić wreszcie do pracy i przycisnąć tego gnoja.

Uśmiechnąłem się na samą myśl o minie zatrzymanego Orlickiego.

- Myślałam, że chcesz wyjść z innego powodu.

Jej namiętny głos zawsze doprowadzał mnie do szaleństwa.

- Też. Ale ty będziesz deserem po kiepsko przyrządzonym obiedzie. Powiedz, co nowego w sprawie, żebym miał o czym myśleć, jeśli mam leżeć w tym szpitalu jeszcze kilka dni.

- Mam wiadomości z pierwszej ręki i można też powiedzieć, że jest ona zarazem drugą ręką.

- To znaczy?

- Byłam u Karwasa.

- I? – nie mogłem się już doczekać. – Mówże wreszcie.

- Poinformowałam go o twoim wypadku.

- Nie o to pytam.

- Osobiście przesłuchał Bruno Romanowa, tego, który próbował cię zabić. Nie wiem, jakich metod użył, ale, bezskutecznie. Zabójca twojej s...

- Byłej dziewczyny – wszedłem jej w słowo.

- Okay, jak chcesz. W każdym razie nie przyznał się do zamiaru zabicia cię, tylko zastraszenia na prośbę Orlickiego. Ta... twoja dziewczyna zginęła przez przypadek.

- Wymienił jego nazwisko?

- Tak. Jego zeznanie mamy zaprotokołowane – odpowiedziała Mariola i dodała od siebie. – Był jego podwładnym i czasem jeszcze mu pomaga, ale tylko doraźnie.

Uśmiechnąłem się.

- A co z Lewandowskim?

- Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że w trakcie rewizji w garażu zamiast samochodu znaleziono umowę jego sprzedaży, zawartą jeszcze przed morderstwem ciemnoskórego mężczyzny i rachunek z wypożyczalni pojazdów. Ten drugi datowany jest na dwa dni przed twoim zatrzymaniem. Postaram się jeszcze pokręcić i zasięgnąć nieco języka. A na marginesie, Lewandowski jeszcze kilka dni temu miał psa. Komuś chyba przeszkadzał...

- Możliwe. A wracając do sprawy, teraz już domyślam się, jak znalazłem się w lesie. Nie pamiętam tego, pewnie spałem, a Lewandowski mnie tam zawiózł. Śnieg zasypał ślady kół. A nie możesz dowiedzieć się czegoś drogą oficjalną?

- Mogłabym, ale wzięłam specjalnie kilka dni urlopu. Wynajęłam pokój w pobliskim hotelu. Myślałam, że stęskniłeś się za mną.

- Może troszkę – przyznałem ostrożnie.

- Nie męczę cię już. Odpoczywaj. Przyjdę jutro. Może będę wiedziała coś więcej.

Pocałowała mnie w czoło, jak matka zwykle całuje syna i wyszła z sali. Zostałem sam na sam ze swoimi myślami, ale przynajmniej miałem już nadzieję.

Nie protestowałem, gdy pobierali mi krew i robili kolejne badania. Chyba było ich pięć dziennie. Nie wszystkie były wykonywane na czczo, a gdy byłem głodny jak przysłowiowy wilk, to jadłem wszystko, co mi podawali.

\*

Następnego dnia, zgodnie z obietnicą, przyszła Mariola. Czekałem na nią z rosnącym zniecierpliwieniem. Od wiadomości o zeznaniu Bruno Romanowa żyłem tylko chęcią zemsty. Tym razem jednak mnie zawiodła. Nie miała dla mnie żadnych rewelacji. Udawałem, że nic się nie stało.

Rozmawialiśmy, wreszcie mieliśmy na to trochę czasu. Planowaliśmy przyszłość. Każde z nas miało swoje nadzieje. Marzyłem o tym, żeby kiedyś zająć miejsce Karwasa, może zacząć stałą współpracę z Mierzejskim i razem z nim rozwiązać niejedną zagadkę kryminalną. Mariola uśmiechała się, słysząc moje plany, ale nie krytykowała mnie za nie. Nie myślałem o niej. Ona też kreśliła własną przyszłość. Chciała wyrwać się z Katowic, a najlepiej z kraju. Ani słowem nie wspomniała o nas, a ja jakoś nie miałem odwagi o nic zapytać. Zresztą, znałem jej odpowiedź. Zawsze trzymała mnie w niepewności słowami „nie wiem”, nawet wtedy, gdy jeszcze żył jej mąż i spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu. Byłem głupi wierząc, że po śmierci Hirka coś się zmieni.

Tak minęła nam prawie połowa dnia. Śmialiśmy się z własnych głupot. Potem Mariola wróciła do hotelu, a mnie zabrano na kolejne badania. Znowu podłączono mi kroplówkę. Płynęła przez nią jakaś bezbarwna ciecz. Nie wiedziałem, czym mnie faszcerowano, ale po rozmowie z Rakowiecką znowu żyłem nadzieją wyleczenia.

Płyn rozchodził się po moim ciele wypełniając każdą tętnicę. Piekło. Miałem takie uczucie, jakby ktoś żywcem wypalał mi wnętrzości.

Poprzedniego dnia przeszedłem taką samą kurację. Myślałem, że wymorduję z bólu cały personel szpitala. Niestety, nie miałem okazji spełnić swoich gróźb, bo zasnąłem. W tej cieczy, którą mnie wypełniali, musiał być zawarty jakiś środek usypiający. Gdy się obudziłem, miałem nieco więcej siły i mogłem już lekko poruszać rękoma.

Postanowiłem nawet przeprosić ordynatora za wcześniejsze zachowanie, ale niewiele później znowu zasnąłem. Musiałem spać kilka godzin. Gdy się obudziłem, zamrugałem oczami, żeby ponownie przyzwyczyli się do sztucznego oświetlenia. Powoli odwróciłem głowę i z ulgą zauważyłem, że zostałem odłączony od kroplówki. Nie byłem pewny, czy oczy nie pętały mi figla, ale zdawało mi się, że widoczne na moim ciele zatrute naczynka krwionośne ponownie ukryły się pod skórą. Zdecydowanie dobry objaw, mimo tego, że cała lewa strona ciała była jeszcze sina.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Tak bardzo chciałem zobaczyć Mariolę, że nie dopuszczałem do siebie nawet myśli, że to ktoś inny.

- Proszę.

Do sali weszła pielęgniarka. Pchała wózek z jedzeniem.

- Nie, dziękuję – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się lekko. Dziwne, na samą myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze.

- Powinien pan coś zjeść. Pomogę panu.

Postawiła wózek koło łóżka, zamknęła drzwi i podniosła mi oparcie. Przysunęła sobie krzesło i chciała mnie karmić, jakbym był małym dzieckiem.

- Dziękuję, ale naprawdę nie jestem głodny.

Mylilem się. Zapach owsianki połaskotał mi nozdrza, i chociaż normalnie nie tknąłbym tego obrzydlistwa, teraz kiszkę zagrały marsza. Pielęgniarka uśmiechnęła się, słysząc ich muzykę, a ja dziwnie się poczułem. Przełknąłem pierwszą łyżkę.

Z różnych źródeł słyszałem, że szpitalne jedzenie nie jest smaczne. Teraz miałem okazję przekonać się o tym na własnym podniebieniu, ale byłem cholernie głodny. Łykając owsiankę wyobrażałem sobie, że siedzę w „Wierzyńku”. Byłem tam raz w życiu.

- Kolacja? – zapytałem pomiędzy wędrującymi w moją stronę łyżkami. Byłem pewny, że przespałem porę obiadu.

- Śniadanie.

Zakrztusiłem się i pielęgniarka na chwilę przestała mi podawać jedzenie.

- Jak to? – zapytałem zdumiony, gdy już udało mi się odkrztusić papkę, zwaną owsianką. – Pani chyba żartuje – nie potrafiłem ukryć swojego zaskoczenia. – Przed obiadem zostałem zabrany na kolejne badania. Tak jak wczoraj, coś wstrzyknięto mi w żyły i chyba zasnąłem.

- Zgadza się – kobieta uśmiechnęła się lekko. Z zainteresowaniem przyglądała się mimice mojej twarzy. Nie rozumiałem jej reakcji.

- W takim razie powinienem teraz jeść kolację. Mam rację?

- Nie – z ust pielęgniarki padła lakoniczna odpowiedź.

Zaskoczony, otworzyłem usta jak wigilijny karp, wyciągnięty z wanny. Teraz dopiero przyjrzała się mojej twarzy. Zachowywała się tak, jakby pierwszy raz w życiu widziała plomby i dziury w zębach. Zdenerwowała mnie swoją reakcją.

- Proszę mi to wytłumaczyć – mój głos stał się ostry i groźny.
- Przeszedł pan kurację, składającą się z serii różnorodnych odtrutek.

Łącznie kilkanaście zastrzyków i kroplówek.

Moje oczy z wrażenia, zrobiły się okrągłe jak denary.

- Był pan usypiany – wyjaśniła spokojnie.

- Ile dni spałem?

- Tydzień. Musieliśmy przeprowadzić kilka badań.

- Tydzień, tydzień – powtórzyłem jak mantrę. - Czyli dzisiaj jest już czternastego grudnia?

Byłem pewien, że ordynator mówił o kilku dniach. Pomyślałem, że jednak go nie przeproszę.

- Tak. Teraz będzie już lepiej. Dostał pan leki przyspieszające regenerację całego organizmu. Proszę się nie martwić, święta Bożego Narodzenia spędzi pan już w domu.

Pielęgniarka chciała, żebym dokończył owsiankę, ale stanowczo jej podziękowałem. Czułem za to piekielne pragnienie. Wypiłem całą szklankę słabej, gorzkiej herbaty. Nie było ze mną najgorzej, ale traktowałem sam siebie jak chorego. Gdybym był całkiem zdrowy, nawet nie spojrziałbym na herbatę.

Pielęgniarka odstawiła szklankę na stoliczek i wstała.

- Czy ktoś mnie odwiedzał, pytał o mnie? – zapytałem, gdy była już przy drzwiach.

- Była jakaś kobieta. Na dole w rejestracji zostawiła panu ubranie. Powiedziała, żeby pan przyjechał do hotelu „Campanile”.

- A kiedy mnie wypiszecie?

- To zależy od decyzji ordynatora. Ale, jeśli będzie się pan czuł na siłach, to może już jutro.

Kobieta wypchnęła stolik z sali i zamknęła za sobą drzwi.

Odetchnąłem z ulgą. Miałem nadzieję, że następnego dnia będę mógł opuścić wreszcie to miejsce. Byłem pewny, że to Mariola zostawiła mi rzeczy. Pewnie pracowała nad moją sprawą i dlatego nie mogła odebrać mnie ze szpitala.

Rakowiecka nie próżnowała. Po wyjściu ze szpitala zadzwoniła do Karwasa.

- Melduję się, szefie - powiedziała, gdy tylko podniósł słuchawkę. Zanim wsiadła do swojego otrzymanego w spadku po wujku peugeot, obejrzała dokładnie wymienioną niedawno boczną szybę i włączyła zestaw głośnomówiący.

- Dzień dobry - odpowiedział Karwas. - Jak czuje się Krystian?

- Coraz lepiej. Miał już na tyle siły, żeby nakrzyczeć na ordynatora - powiedziała niby to poważnie.

- Czyli czuje się lepiej - stwierdził Karwas. - Wiadomo już, co to było?

- Tak, ale niestety nie pamiętam wszystkiego, co powiedział mi ordynator - Mariola odetchnęła głęboko. - Operował fachowymi nazwami. Zrozumiałam, że to jakaś trucizna, stanowiąca mieszanekę co najmniej dwóch składników: jednego pochodzenia roślinnego, a drugiego - chemicznego. Wyleczą go z tego i za kilka dni wypiszą.

- Dobrze - teraz zastępca komendanta odetchnął z ulgą. - Proszę się nim opiekować.

- Dobrze. A ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

- Niedużo.

Zapadła chwila ciszy. Nie wiedział, co jej powiedzieć.

- W zasadzie nic - przyznał w końcu. - Dzwoniłem kilka razy na komendę wojewódzką w Łodzi, ale nikt nie chce albo nie potrafi mi udzielić żadnych informacji. Nie wiem nawet, gdzie jest Lewandowski.

- Co pan ma na myśli?

- Wysłałem oficjalne pismo, żeby dowiedzieć się, czy przypadkiem nasz zatrzymany nie został podebrany przez miejscową policję. Poprosiłem też telefonicznie komendanta wojewódzkiego, żeby jego ludzie przywieźli Lewandowskiego do Katowic, ale jeszcze tego nie zrobili.

- Może już jedzie.

- Mam nadzieję, że się pani nie myli.

- A co z Mierzejskim? Nie wypuścili go? Krystian pytał o niego.

- Ten detektyw?

- Tak - odpowiedziała Mariola.

- Też cisza. Dzwonił tylko podkomisarz Landorf, współpracownik Orlickiego. Powiedział, że kontaktuje się na prośbę Mierzejskiego.

- Prawdopodobnie jest jego wtyczką. Co mówił?

Mariola wolno ruszyła wzdłuż ulicy Kopcińskiego. W kilka sekund ją przejechała i skręciła w Aleję Piłsudskiego.

- Orlicki ponoć dalej go przesłuchuje. Jest wściekły. Nie znam szczegółów. Osobiście prowadzi przesłuchanie i nikogo nie wpuszcza do pokoju, nawet Landorfa.

- Psiakrew - Rakowiecka zakląła ze złością. Ktoś właśnie zajechał jej drogę i musiała prawie się zatrzymać.

- Mam podobne odczucie.

Policjantka nie skomentowała wypowiedzi swojego przełożonego.

- Ciekawe, o co mu chodzi.

- Nie mam pewności. Mogę się tylko domyślać, że o te nagrania, które mamy.

- I jak jedziesz, sukinsynu! - Mariola krzyknęła i z wściekłością kilka razy nacisnęła klakson.

Po drugiej stronie telefonu zapadła krępująca cisza.

- Przepraszam szefie, jakiś idiota zajechał mi drogę.

- Rozumiem.

- A co takiego ważnego jest na tych nagraniach?

- Jeszcze nie wszystkie przesłuchaliśmy, ale mam wyciąg najważniejszych rozmów. To nie jest sprawa na telefon. Mogę powiedzieć pani tylko tyle, że mamy na komisarza Orlickiego haki, które na długo wsadzą go do pudła. Potrzebujemy jeszcze tylko zeznania Lewandowskiego i musimy odnaleźć Adama.

- Jakiego Adama? – Rakowiecka zapytała zaskoczona.

- Pojawia się na większości płyt. Komisarz jest z nim stale w kontakcie. Podejrzewam, że ten człowiek może być odpowiedzialny za podpalenie żydowskiej kamienicy.

- A Orlicki wydaje mu polecenia - Mariola dodała z nieukrywaną satysfakcją w głosie.

- Nie. Powiedziałbym raczej, że próbuje go chronić.

- To co mam teraz robić?



- A gdzie pani jest?

- Jadę do hotelu.

- Proszę spróbować dowiedzieć się, w którym banku Lewandowski ma założone konto.

- Okay, szefie. Będę potrzebowała tylko większego budżetu na wydatki.

- Dobrze, ale proszę nie przesadzać. Będziemy w kontakcie.

Karwas zakończył połączenie i wbił na klawiaturze aparatu kolejny numer. Odczekał kilka sygnałów nim usłyszał głos po drugiej stronie.

- Mówi Karwas. Gdzie jesteście? - zapytał.

- Komendant w Łodzi nas przetrzymał. Chciał sam najpierw przesłuchać zatrzymanego. Właśnie wjeżdżamy do Katowic. Jeśli nie utkniemy w korku, to będziemy za jakieś piętnaście minut.

- Rozumiem, że Lewandowski jest z wami.

- Tak.

Taka odpowiedź wystarczyła mu w zupełności. Karwas uśmiechnął się i odłożył słuchawkę. Pomyślał, że wycisnie z zatrzymanego mężczyzny wszystko, co się da.

\*

Mariola skręciła ostro, prawie w ogóle nie spoglądając w boczne lusterko. Nie zważała na to, że właśnie zajęła komuś miejsce na parkingu. Zatrzymała się z piskiem opon. Na wszelki wypadek wyjęła ze skrytki i zabezpieczyła swojego Glocka. Schowała go do kieszeni i wysiadła szybko z samochodu. Trzasnęła drzwiami i wcisnęła guzik autoalarmu, gdy tuż za nią, także z piskiem opon zatrzymało się czarne mitsubishi. Zauważyła je w bocznym lusterku. Samochód stanął równolegle do jej peugeot a i zablokował jedyną drogę wyjazdu. Mariola nie mogła się nawet ruszyć. Znalazła się kleszczach dwóch pojazdów.

Z auta wysiadł sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna. Mariola poczuła zimne ostrze przyłożone do szyi.

- Suczki powinny umieć jeździć tylko konno, a nie samochodem. Skoro zatrzymałaś się przed hotelem, to zakładam, że wynajęłaś w nim pokój.

Marioli zimny pot wystąpił na czoło. Ostrze było przyłożone pod takim kątem, że wystarczyłby jeden nieostrożny ruch lub sprowokowanie

napastnika, żeby przebiło jej tętnicę. Wolna ręka mężczyzny otarła się o jej udo i spoczęła na wysokości łona. Oddech napastnika stawał się coraz szybszy i głośniejszy. Mariola nie mogła wątpić w intencje napastnika.

- Za darmo nauczę cię jazdy konnej. Co ty na to? - zapytał i na ułamek sekundy odsunął ostrze od jej gardła, na tyle, żeby mogła nabrać tchu w piersi i odpowiedzieć. Policjantka wykorzystała tę jedyną chwilę swojej przewagi.

- Jestem na służbie - odpowiedziała. Osiągnęła zamierzony cel. Zupełnie zaskoczyła i dezorientowała przeciwnika. Zyskała jeszcze kilka sekund. Teraz wystarczyło silne nadeptanie obcasem na najmniejszy palec i uderzenie łokciem w męskość napastnika, żeby uwolnić się całkowicie. Mężczyzna zaklął z wściekłości. Odwróciła się w jego kierunku, jednocześnie wyjmując z kieszeni pistolet.

Napastnik nie czekał, aż wyjmie legitymację policyjną. Mariola zobaczyła ubranego w długi, skórzany płaszcz tysego mężczyznę, szybko wsiadającego do samochodu. Odblokowała broń i oddała strzał ostrzegawczy w powietrze.

- Policja! – krzyknęła. Chciała dodać jeszcze filmową regułkę „Nie ruszać się!”, ale samochód ruszył z piskiem opon. Mariola zdążyła tylko dostrzec początek tablicy rejestracyjnej. Litery SK sugerowały, że samochód został zarejestrowany na Śląsku, w Katowicach.

Tylko przez moment widziała gładko ogoloną twarz kierowcy, wiedziała jednak, że rozpoznałaby go na zdjęciu. Postanowiła zająć się tym po powrocie do Katowic.

Odetchnęła głęboko, zanim weszła do hotelu. Tu przywitała ją krótko obcięta blond piękność. Uśmiechnęła się, ukazując szereg równych, białych zębów. Rakowiecka odwzajemniła się tym samym i podeszła do recepcjonistki, po czym zapytała zupełnie poważnie:

- Pani Jolu, mogłaby mi pani jakoś pomóc? – przeczytała jej imię na plakietce, przychepionej do kostiumu.

- To zależy.

Policjantka ponownie uśmiechnęła się lekko. Mądra blondynka - pomyślała.

- Do którego gniazdka mogłabym podłączyć laptopa?

- Służbowo?

- Oczywiście – odparła policjantka. – Jeśli pani chce, mogę pokazać odpowiednie dokumenty.

- Nie trzeba. Moja koleżanka, która rezerwowała pokój, powiedziała mi, że jest pani z policji.

- Uwierzyła mi na słowo w rozmowie telefonicznej? – zdziwiła się Mariola.

- Poprosiła telefonicznie pani przełożonego o elektroniczne potwierdzenie uprawnień. Może pani podłączyć się tutaj.

Recepcjonistka wskazała ruchem głowy kilka gniazdek w ścianie za półokrągłą zabudową.

- Kierownictwo hotelu doliczy pewnie prąd do rachunku i umieści na fakturze jako dodatkowe koszty pobytu – Mariola bardziej stwierdziła niż zapytała.

- Oczywiście – Jola uśmiechnęła się, znów oślepiając ją śnieżną bielą zębów. – Prawa kapitalizmu.

\*

Mariola potrzebowała na to najwyżej pięć minut. Pokój miała na pierwszym piętrze. Zdjęła płaszcz, powiesiła w szafie i wyjęła z niej laptopa. Sprawdziła, czy okna są szczelnie pozamykane. Ponownie zeszła do recepcji. Blondynka zrobiła jej już miejsce za kontuarem i przystawiła krzesło. Policjantka wyjęła z torby kilkuletniego IBM-a i rozejrzała się za wolnym kontaktem. Podłączyła go do pierwszego z brzegu gniazdka. Po kilkunastu sekundach uruchomił się system operacyjny. Pojawiła się także informacja, że wykrył zabezpieczoną sieć internetową i zapytał, czy ma wykonać operację łączenia. Mariola potwierdziła. Poprosiła Jolę, a ta podała jej dane umożliwiające połączenie. Rakowiecka otworzyła przeglądarkę i wpisała adres jednej z najpopularniejszych wyszukiwarek. Jako hasło wpisała „banki w Łodzi”. Wyszukiwarka pokazała kilkaset tysięcy wyników. Mariola westchnęła ciężko. Nie miała zamiaru szukać konta Lewandowskiego do emerytury. Spojrzała na recepcjonistkę, która zaglądała jej przez ramię i uśmiechała się lekko, jakby ironicznie. Policjantkę opanował dziki gniew.

- Jak dobrze zna pani Łódź?

- Urodziłam się tutaj – odpowiedziała dziewczyna.

- Niech mi pani napisze na kartce, które banki mają w tym mieście swoje siedziby.

Jola z chęcią spełniła jej polecenie. Mariola zastanawiała się, czy zawsze spełniała tak ochoczo wszystkie prośby gości hotelowych. Spojrzała na kartkę. Postanowiła sprawdzać banki po kolei. Pierwszy z listy mogła sobie odpuścić. Zajrzała do niego, wracając ze szpitala. W okienku wyszukiwarki wpisała adres Krajowego Rejestru Dłużników. Utrzymanie takiej willi jest kosztowne – może jednak Lewandowski miał zadłużenie finansowe. Niestety, w bazie systemu także nie znalazła jego nazwiska. Potem wpisała hasło „lista dłużników” i nazwę banku. Co prawda nie wierzyła, żeby banki odważyły się upubliczniać dane osobowe swoich dłużników, ale przecież żaden system nie był niezawodny.

Nic z tego - pomyślała, przeglądając strony wypisanych banków. Recepcjonistka przyniosła jej filiżankę kawy. Policjantka podziękowała smutnym uśmiechem. Nie liczyła już, która to dawka kofeiny.

Spojrzała na zegarek. Nawet nie zauważyła, kiedy zapadł zmrok. Powieki opadały jej ze zmęczenia.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem i się obudzić.

- Mocno posypało śniegiem. Może się pani przeziębici. Chyba nie chciałaby pani zachorować na grypę.

- Nie, ani na zwykłą, ani na ptasią – Mariola była nieco zaskoczona tym dialogiem, który rozpoczął się myślą przypadkowo wypowiedzianą na głos. – Ma pani rację. Poza tym, śnieg zawsze zasypuje ślady.

Mariola uświadomiła sobie, że powinna zadzwonić do Karwasa. Wyjęła telefon z kieszeni i wystukała jego numer służbowy na klawiaturze. Zastępca komendanta odebrał połączenie po pierwszym sygnale.

- Już myślałem, że pani nie zadzwoni.

Jego głos był pełen energii.

- A ja myślałam, że nie zastanę już pana w pracy. Dobrze się pan czuje? – zapytała podejrzliwie.

- Tak – zrobił teatralną przerwę i dodał po chwili. – Połknąłem tylko tabletkę entuzjazmu. Wreszcie przywieźli Lewandowskiego i przesłuchałem

go z wielką przyjemnością.

- Nie wątpię.

- Pani też ma dziwny głos.

- Jestem cholernie zmęczona, a najgorsze jest to, że jeszcze niczego nie znalazłam.

- Niczego?

Karwas był zaskoczony i Mariola wyczuła niepokojącą zmianę w jego głosie.

- Chyba będę musiała osobiście wypytać dyrektorów albo kierowników banków.

- Musi to pani zrobić, jeśli nie ma innej możliwości – Karwas powiedział z naciskiem.

- Coś się stało?

- Wycisnąłem z Lewandowskiego, co tylko mogłem. Prawie się przyznał.

- Moje gratulacje. Jak pan to zrobił?

- Blefowałem.

- To znaczy? – Marioli coraz mniej podobało się to, co mówił młodszy inspektor.

- Wmówiłem mu, że wiemy o nim wszystko: gdzie mieszka, z kim żyje, czym zajmuje się na co dzień. Powiedziałem mu też, że mamy dowody na jego współpracę z komisarzem Orlickim.

- Jakie dowody? – przerwała mu Mariola.

- Wyciągi z konta bankowego. Musimy mieć dowód na to, że Orlicki zapłacił mu za zabójstwo tego ciemnoskórego.

- A jeśli się mylimy?

- Musi pani zdobyć na to dowód. Nie możemy się już wycofać – podkreślił Karwas. – Mam pewność, że to on jest mordercą. Powiedziałem mu to. Im więcej mu mówiłem, tym mniej miał na swoją obronę.

- Zrobię, co się da – obiecała Mariola. – Swoją drogą, ciekawe, ilu Henryków Lewandowskich może mieć konto w jednym mieście.

Recepcjonistka poruszyła się niespokojnie na krześle. Mariola zauważyła, że Jola bardzo zainteresowała się rozmową. Ani jedno słowo nie umknęło jej uwadze. Policjantka była niemalże pewna, że w całym

hotelu zostały zainstalowane kamery i podsłuchy. Kiedyś przeczytała w jakiejś gazecie, że te ostatnie montowano także w telefonach służbowych. Sieć internetowa też była monitorowana na bieżąco.

Nagle poczuła, że dziewczyna położyła jej delikatnie dłoń na ramieniu. Policjantka odwróciła się do niej zaskoczona i zobaczyła, że ta dawała jej jakieś znaki.

- Szefie, mogę zadzwonić za chwilę?

- Okay – odpowiedział Karwas i przerwał połączenie.

- Coś się stało? – Mariola spojrzała na dziewczynę.

- Może będziemy mogli jakoś pomóc.

- My?

- Mój chłopak jest dziennikarzem. Poza tym, mój były nazywał się Henryk Lewandowski.

- „Niejednemu psu Burek” – Mariola odpowiedziała cytatem. Czowała coraz większy dyskomfort z zaistniałej sytuacji. Blondynka nadal trzymała dłoń na jej ramieniu. – Ten jest jakimś aktorzyną teatralnym – powiedziała z udawanym lekceważeniem.

- To tak, jak mój.

W Mariolę wstąpiły nagle nowe siły.

- Poznałaby go pani?

- Rozstałam się z nim dwa lata temu.

Mariola bez namysłu ponownie wcisnęła ostatnio wybrany numer w kontaktach.

- Szefie - rzuciła bez wstępu – ma pan zdjęcie tego Lewandowskiego?

- Tak.

- Jeśli to możliwe, to proszę o przesłanie mi go mailem.

- Ma pani jakiś trop? – Karwas zapytał z nadzieją, słysząc w jej głosie podekscytowanie. - Czy chce o niego pytać każdego mieszkańca Łodzi?

- Tylko jedną osobę, ale może będę miała szczęście.

- Wysyłam. Proszę zadzwonić, gdy będzie pani miała jakieś nowe wieści.

- Dobrze.

Tym razem to Mariola zakończyła połączenie. Zalogowała się na swoim koncie pocztowym. Zdjęcie już tam było. Wyświetliła je na całym ekranie.

Nie musiała o nic pytać recepcjonistki. Wystarczyło, że spojrzała na twarz Joli i już wiedziała, jak Lewandowski traktował dziewczynę, skoro wspomnienia tamtych chwil wciąż były żywe. Zbladła i zaczęła trząść się jak w febrze. Upadła na podłogę i wiła się jak piskorz. Mariola chwyciła telefon komórkowy i wbiła numer 112. Wezwała pogotowie ratunkowe. Zawiadomiła też kierownika hotelu, którego numer znalazła w wykazie, w biurku recepcjonistki. Przyjechał po kilku minutach. Widząc, co się stało, wezwał z domu inną recepcjonistkę na zastępstwo. W tym czasie pogotowie odwoziło już Jolę do szpitala.

## Rozdział 7

Miałem nadzieję, że pełen wrażeń dzień skończył się wreszcie. Zasnąłem, gdy pielęgniarka wyszła z sali, ale nadal miałem w pamięci to, co mi powiedziała. Przespałem kilka dni.

Tym razem obudził mnie dziwny hałas na korytarzu. Pomyślałem, że pewnie jakiś pacjent nie zapalił światła i potknął się o wózek.

Nasłuchiwałem, bo hałas zbliżał się do drzwi mojej sali. Otworzyłem oczy, gdy rozwarły się z hukiem i ktoś zapalił światło. Rozejrzałem się dookoła i miałem wrażenie, że znajduję się w innej sali. Zamiast jednego łóżka było pięć. Nie wiedziałem, co się stało.

- Kurwa, co jest? - zapytałem wściekle, widząc, że nikt nie wykazuje wobec mnie nawet cienia zrozumienia.

- Będzie pan miał współlokatorkę.

Pielęgniarze przywieźli kogoś na łóżku i opuścili pomieszczenie.

- Nie prosiłem - odpowiedziałem. Moje oczy ciskały gromy w stronę niewzruszonej twarzy ordynatora.

- Spokojnie - rzucił lekarz. Miał zmęczoną twarz i chyba nie spał od wielu godzin. Ledwo trzymał się na nogach. Popatrzyłem na jego siwą brodę i wąsy. Okrągłe okulary dodawały mu powagi, mimo to nie wzbudzał we mnie sentymentu Dziadka Mroza, chociaż przypominał go objętością pasa. - Jutro wypiszę pana ze szpitala. My też mamy pana już dosyć.

- Jutro? - spytałem zaskoczony, całkowicie zbity z tropu. - Parę godzin temu pielęgniarka powiedziała mi, że wyjdę najwcześniej za kilka dni.

- Zgadza się, ale to było trzy dni temu. Dzięki temu, że ponownie pana uśpiliśmy, jest pan już prawie całkiem zdrowy.

- Prawie! - krzyknąłem, nie komentując informacji o kolejnej utracie świadomości i nie zważając na młodą blondynkę, którą pielęgniarze przywieźli do sali.

- Kochanie, uspokój się – nagle zza pleców ordynatora wyjrzała Mariola.



Nie tylko się nie uspokoiłem, wręcz przeciwnie. Nie byłem też zadowolony z odwiedzin Marioli. Tuż za nią do pomieszczenia wkroczył niski, brodaty mężczyzna. Jego małe, świńskie oczka wzbudziły moją irytację.

- A ten to kto? Hobbita sklonowaliście? Chcę zostać sam.

Dopiero teraz zauważyłem, że zostałem już odłączony od aparatury szpitalnej. Obrażony jak dziecko, odwróciłem się na bok i wypiąłem tyłek w stronę nieproszonych gości. Nie usłyszałem jednak, żeby ktokolwiek opuścił pomieszczenie i zamknął za sobą drzwi.

- Wiecie, gdzie jest wyjście.

- Byle do jutra – mruknął ordynator pod nosem. Głośno dodał:

- Niech pan porozmawia ze swoją współlokatorką. Myślę, że może pomóc w śledztwie.

- W czym?

Poderwałem się i usiadłem na łóżku. Znowu miałem ochotę go zamordować. Do trzech razy sztuka - pomyślałem.

- Skąd pan wie o śledztwie?

- To ja poinformowałem policję, kim jest denat. Studiowaliśmy razem na akademii w Warszawie, chociaż nie byliśmy na tym samym roku.

Ordynator zdążył wyjść z sali, zanim dopadłem drzwi. Hobbit zagroził mi drogę.

- Nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem Jakub Wąsik – wyciągnął ku mnie rękę. Nie miałem zamiaru jej ścisnąć. - Pracuję między innymi dla „Dziennika Łódzkiego”, ale nie tylko.

- Pieprzony pismak - rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

- Pan także mógł nim zostać. Wiem, że odbywał pan staż i pisał artykuły do gazet. Wolał pan jednak zostać policjantem.

Mariola podeszła i delikatnie ujęła moją dłoń.

- Kochanie, uspokój się i usiądź.

- Niech pan stąd wyjdzie i skontaktuje się z rzecznikiem prasowym KW w Katowicach.

- Jestem „wolnym strzelcem”. Tylko od czasu do czasu piszę do tej gazety - hobbit próbował się usprawiedliwić. - Chyba nie ustrzeliłem pańskiej posady?

Starał się być zabawny, jak na karzełka przystało, ale w obecnej chwili nie miałem najmniejszej ochoty na żarty. Może nie byłem tak umięśniony jak Mariusz Pudzianowski czy Arnold Schwarzenegger, ale chwyciłem małego człowieczka pod pachy i podniosłem do góry. Przycisnąłem go do ściany i jedną ręką przygniotłem gardło, ograniczając do minimum dopływ powietrza. Wąsik zrobił się nagle czerwony jak Pan Pomidorek, a potem purpurowy jak buraczek. Przynajmniej jego nogi dyndały śmiesznie. Mój umysł tylko na w pół świadomie rejestrował krzyki nowej współlokatorki. Mariola szarpała mnie za koszulę tak mocno, że materiał puścił w szwie.

- Nie wiesz, kurdupłu, że chorzy mają specyficzne poczucie humoru?! - krzyknąłem mu prosto w rudą brodę.

Usłyszałem szybkie kroki na korytarzu. Zaalarmowani krzykiem pielęgniarze, jak burza wpadli do sali. W dłoniach trzymali jakieś strzykawki. Chcieli mi je wbić i wstrzyknąć nieznaną zawartość, ale Mariola powstrzymała ich w ostatniej chwili. Odciągnęli mnie od hobbita. Jeden, o posturze niedźwiedzia, przytrzymał mnie mocno, a drugi nakłuł igłą skórę na ręce. Rakowiecka wyrwała broń z kabury i wycelowała lufę prosto w moją ledwo wyleczoną rękę.

- Kochanie, uspokój się, proszę - powtórzyła znów. - W przeciwnym razie będę musiała strzelić.

- Nie zrobisz tego.

Pielęgniarze puścili mnie, cofnęli się o kilka kroków i zastygli w bezruchu, obserwując teatr naszych nerwów.

- Nie pozostawiasz mi wyboru. To nie jest zabawa w dobrego i złego policjanta. Ten człowiek - domyśliłem się, że mówiła o hobbicie - może pomóc nam rozwiązać zagadkę Lewandowskiego.

Spróbowałem się opanować. Pan Wąsik złapał powietrze w płuca i przestał już być buraczkiem. Mariola także schowała broń i zapewniła pielęgniarzy, że zapanowała nad sytuacją. Niechętnie opuścili salę.

- Mogę pana zapewnić, że media nie wiedzą o dochodzeniu nic więcej ponad to, czego dowiedziały się z oficjalnych źródeł, ale polują jak sępy.

- Właśnie widzę - warknąłem przez zaciśnięte zęby.

- Ale ja nie poluję. Czekam cierpliwie na okazję i właśnie dzięki panu, a właściwie pańskiej uroczej partnerce, taka mi się przytrafiła.

- Nie wątpię - moja dwuznaczność była w pełni zamierzona. Wiedziałem już, komu powinienem podziękować za cały ten cyrk. - W takim razie...

Zaschło mi w gardle. Miałem mętlik w głowie. Zrezygnowany usiadłem na łóżku. Spojrzałem na młodą, piękną blondynkę, podpiętą do aparatury medycznej. Nie zauważyłem nawet, kiedy przestała krzyżeć. Pewnie w podpiętej kroplówce podano jej jakiś lek uspokajający i teraz zaczął działać. Zasnęła snem niemowlęcia. Wyglądała jak anioł.

- Nic z tego nie rozumiem.

Mariola wyjęła z kieszeni mały, przenośny dyktafon.

- Kupiłam go na specjalne okazje. Mamy mało czasu, więc nagrajmy teraz wszystko, co mamy sobie do powiedzenia w sprawie Lewandowskiego.

Hobbit nie sprzeciwił się jej słowom, a blondynka spała jak zabita. Mnie i tak było już wszystko jedno.

\*

- Zapewne domyśla się pan, że jako dziennikarz zawsze staram się być wszędzie tam, gdzie dzieje się coś ciekawego - powiedział Wąsik, gdy skończyliśmy nagrywać i Rakowiecka wyłączyła dyktafon.

Zignorowałem go.

- Tak się zdarzyło, że to ja zrobiłem zdjęcia na miejscu zbrodni i przesłałem na komisariat panu Orlickiemu - kontynuował. - Ja także jestem autorem pewnego artykułu, który niedawno ukazał się w gazecie.

Domyśliłem się, że mówi o tym, który pokazał mi Mierzejski w samochodzie.

- Skąd pan wiedział o morderstwie w lesie?

- Jestem dziennikarzem - powtórzył, jakby to wszystko tłumaczyło. - Od ukazania się w gazecie pańskiego artykułu w sprawie podpalenia żydowskiej kamienicy w Katowicach jestem w stałym kontakcie z detektywem Mierzejskim. Nasza współpraca przynosi dobre owoce.

- I co z tego?

- Bądź miły - zasugerowała Mariola.

- Jeżeli pan jest taki dobry, to niech mi powie, dlaczego zatrzymała mnie właśnie krakowska policja, a konferencję prasową w Krakowie przeprowadził aspirant, a nie rzecznik prasowy?

- Sprawdziłem to. Rzecznik był na urlopie, zaś aspirant Łoboda nadawał się najlepiej.

- Naciągane.

- Co do zatrzymania, to jest to najdziwniejsza rzecz w całej sprawie. Był podobno anonimowy telefon na krakowski komisariat, który przełączono na komisarza Orlickiego. Ten stwierdził, że jeden z jego patroli przebywa akurat w okolicach Pszczyny i zlecił mu sprawdzenie zgłoszenia. Dalej pan wie, co się działo.

- Pan Jakub ma liczne kontakty w Krakowie, Katowicach i w Łodzi. Dziewczyna, która dzisiaj będzie twoją współlokatorką, jest jego partnerką.

- To prawda - przyznał rudzielec. - Ale wcześniej była związana z pewnym aktorem, Henrykiem Lewandowskim.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Myślę, że powinieneś porozmawiać z panią Jolą. Może dowiesz się o nim czegoś więcej.

Spojrzałem tylko na Mariolę i nie skomentowałem jej propozycji.

- Co robiłaś, gdy tu leżałem nieprzytomny?

- Wyjeżdżałam do domu i wracałam. Zwiedzałam miasto i szukałam informacji o Lewandowskim, ale gdyby nie zbieg okoliczności, nie spotkałabym pana Jakuba. Przyjechał odwiedzić Jolę i akurat trafił... – zamilkła znacząco. - Na bieżąco kontaktuję się z szefem. Powiedział, żebyśmy wzięli kilka dni odpoczynku i razem pozwiedzali okolicę. Znalazłam kilka ciekawych miejsc. Przyda ci się odpoczynek.

Chciałem się sprzeciwić, ale Rakowiecka powiedziała, że to polecenie Karwasa.

- Odpoczywaj. Ja odwiozę pana Jakuba. Pojadę pierwsza, a pan razem za mną do hotelu - powiedziała hobbitowi, a potem znów skierowała swoje słowa do mnie. - Muszę wstąpić jeszcze do kilku banków. Może dowiem się czegoś interesującego. Zostawiam ci dyktafon. Powinien ci się przydać.

Wyszli, a ja zostałem sam na sam ze swoją nową współlokatorką i nadzieją, że ten kurdupel wynajął sobie oddzielny pokój.

\*

Leżałem w łóżku z lekko podniesionym podglówkiem i co jakiś czas przewijałem kasetkę. Mariola zostawiła mi także notes i długopis. Miałem notować wszystko, co mogło mnie w jakikolwiek sposób zainteresować. Co prawda nie widziałem w tym z początku najmniejszego nawet sensu, ale dla własnego spokoju i zabicia czasu zgodziłem się na ten eksperyment.

Spojrzałem na zegarek w telefonie, który wcześniej położyłem na szafce. Minęła północ, a ja wynotowałem tylko kilka faktów. Oderwałem kartkę i na drugiej zrobiłem podsumowanie. Przez ten czas, gdy tonąłem w odmętach nieświadomości, wydarzyło się kilka interesujących rzeczy.

Mariola zatrzymała się w hotelu. Na polecenie Karwasa „zwiedzała” miasto. Pojechała nawet incognito na uczelnię, w której swój „talent” szlifował Lewandowski. Umawiała się też z kierownikami i dyrektorami banków, ale niestety niczego ważnego się nie dowiedziała. Przewinałem kasetkę do ostatniej interesującej wypowiedzi. Wracając któregoś dnia do hotelu, Mariola wstąpiła po drodze do kolejnego banku. Zajechała drogę jakiemuś sukinsynowi, który zamierzał zgwałcić ją w rewanżu. Gdybym tylko go dorwał, z jaj zrobiłbym mu kogel-mogel. Gdyby nie to, że Rakowiecka była moją kochanką i mogłem się z nią kochać kiedykolwiek i gdziekolwiek miałem ochotę, sam próbowałbym wejść jej do łóżka przy pierwszej lepszej okazji.

Rozmarzyłem się. Niemalże poczułem na twarzy jej oddech. Zapach piżmowych perfum delikatnie połaskotał moje nozdrza. Poczulem wilgoć jej ust i bezwiednie wysunąłem język na spotkanie ze źródłem rozkoszy.

- Ratunku! Zboczeniec! - przeraźliwy krzyk rozniósł się echem po całej sali. Dopiero teraz zrozumiałem, co się stało. Było mi tak głupio, jak jeszcze nigdy w życiu. Teraz to ja musiałem wyglądać jak buraczek. Nagle zrobiło mi się strasznie gorąco. Niechętnie spojrzałem na swoją współlokatorkę. Personel dyżurny pewnie pomyślał, że któremuś z pacjentów przyśnił się koszmar senny i na szczęście nikt nie kwapił się zajrzeć do naszej sali. I bardzo dobrze. Wystarczyło mi, że ta dziewczyna usiadła na łóżku, zapaliła lampkę i przyglądała mi się badawczo. Pot wystąpił mi na czoło. Nie wiedziałem, co robić. Wyjąłem rękę spod kołdry i

machinalnie wytarłem pot z czoła. Kurwa, że też akurat na tę noc musieli dać mi współlokatorkę.

- Przepraszam - wydusiłem z siebie, wyjmując słuchawki z uszu. Musiałem szybko wymyślić jakieś dobre kłamstwo. Niestety nic sensownego nie przyszło mi do głowy. - To podsłuch z mieszkania mojej byłej dziewczyny. Przepraszam, nie chciałem pani obudzić.

- Nic się nie stało. Przestraszyłam się tylko wydawanych przez pana odgłosów.

Kłamała lepiej ode mnie. Może, jak każda kobieta, miała to we krwi. A może, przypomniałem sobie to, co powiedziała mi Mariola i kilka razy odsłuchałem z taśmy, nauczył ją tego jej były chłopak. Przecież był nim przyszły wspaniały aktor, Lewandowski.

- Kocha ją pan.

Nie wiedziałem, czy to stwierdzenie faktu, czy pytanie, ale poczułem się w obowiązku odpowiedzieć:

- Kochałem. Bardzo. Jeszcze raz przepraszam. Nie będę przeszkadzał. Pójdę do świetlicy.

Wstałem z łóżka. Jedną ręką chwyciłem dyktafon, notes i długopis, a drugą kołdrę.

- Nie musi pan uciekać. Niepokojące by było, gdyby reagował pan w ten sposób na mężczyzn – uśmiechnęła się dwuznacznie.

Prawda - pomyślałem, ale nie odezwałem się ani słowem. Poczuję się jak zboczeniec - jeden z tych łajdaków, których czasem ścigałem i wsadzałem do pierdła. Otworzyłem drzwi na korytarz.

- Niech pan nie wychodzi. Chciałabym z kimś porozmawiać.

- Ale... - wydusiłem z siebie.

- Naprawdę nic się nie stało.

Uśmiechnęła się do mnie łagodnie. Podałem się. Po raz kolejny stałem się więźniem własnej słabości. Jednak nie rozmawialiśmy. Zamknąłem drzwi i wróciłem do łóżka. Poprawiłem poduszkę, przykryłem się ponownie kocem, włożyłem słuchawki do uszu, wcisnąłem przycisk odtwarzania w dyktafonie i zacząłem przeglądać swoje notatki.

Mariola bez rezultatu przeglądała zasoby dłużników banków, mających swoje filie w Łodzi. Potem, w rozmowie z dziewczyną okazało się, że

podejrzewany przez nas o współpracę z Orlickim Lewandowski jest jej byłym partnerem. Następnie Mariola pokazała jej zdjęcie i Jola potwierdziła, że to ten sam mężczyzna. Chyba właśnie w tym momencie dostała ataku epilepsji.

Mariola kilka razy odwiedziła Jolę w szpitalu w czasie, gdy spałem i zawarła z nią bliższą znajomość. Może nie przyjaźń, ale koleżeństwo na pewno.

Musiałem zastanowić się chwilę nad kolejnością notatek. W mojej głowie już szalało tornado. Zaczęły boleć mnie skronie. Pomasowałem je palcami wskazującymi. Zamknąłem na chwilę oczy, ale nie na tak długo, żeby zdążyć zasnąć. Miałem wrażenie, że dziewczyna ani na sekundę nie spuszczała ze mnie wzroku.

Tak, to chyba było w tej kolejności. Otworzyłem oczy i ponownie spojrzałem na zapisaną w połowie kartkę. Kolejny punkt to obecny narzeczony Joli. Wąsik dodał, że dziewczyna wspomniała o swoim rozstaniu z Lewandowskim, ale nie podał konkretnego powodu. Był dziennikarzem i ponoć miał znajomości w bankach. Jola i Lewandowski mieli na początku swojego związku wspólne konto kredytowe. Potem coś się między nimi popsulo i przyszły aktor cofnął dziewczynie upoważnienie do zaciągania jakichkolwiek zobowiązań finansowych. Dziewczyna powiedziała Marioli, w którym banku mieli to konto.

Zerknąłem do notatek. Przewinąłem kolejny raz kasetkę. Tym razem zanotowałem nazwę banku – Getin Bank SA. Pomyślałem, że może rzeczywiście Pan Wąsik (nadal nie potrafiłem nie uśmiechać się, mając w pamięci jego wygląd i inaczej o nim myśleć jak o mieszkańcu cyrku), pomoże nam jakoś zdobyć wyciągi bankowe. Oczywiście nie za darmo. Musieliśmy zagwarantować mu wyłączność prasową. Na kasetce nagrały się też odpowiedzi Marioli. Telefonicznie rozmawiała z Karwasem, dla formalności poprosiła go, żeby wyraził zgodę na tę wyłączność i pierwszeństwo informacyjne. Nie miał wyjścia. Sam przecież kazał Marioli za wszelką cenę zdobyć niezbite dowody przeciwko współpracy Orlickiego z Lewandowskim.

Mariola musiała powiedzieć dziennikarzowi o śledztwie. Teraz, im dłużej się nad tym zastanawiałem, myślałem, że zrobiłbym to samo.

Rakowiecka zawsze była dobrą policjantką. Zanim policję dopadł kryzys finansowy, miała duże szanse na awans. Mogła zostać starszym sierżantem. Ale trzeba było ciąć koszty, musieliśmy zwolnić jedną trzecią załogi. Karwas zawsze był uczciwy wobec swoich podwładnych, nie taki, jak Orlicki. Nie miał szowinistycznych poglądów. Cenił dobrych policjantów i dawał szanse młodym talentom. Dlatego poprosił Mariolę, żeby na jakiś czas zastąpiła archiwistę i w miarę możliwości poczekała na lepsze czasy. Mnie także dał szansę. Wierzył w swoich podwładnych. Dlatego to właśnie nam przydzielił to śledztwo. Traktował nas jak ojciec, surowy, ale jednak ojciec. Dzięki temu nadal miałem nadzieję. Nie miałem zamiaru zmarnować swojej, może jedynej, szansy. Dzięki tej sprawie Krystian Rokicki, syn górnika i alkoholika mógłby w przyszłości zostać aspirantem sztabowym, a potem może nawet podkomisarzem.

To było podsumowanie dotychczasowej pracy policji. Nadal jednak nie wiedziałem, co lekarz-ginekolog, jak dowiedziałem się od Marioli, czyli zamordowany mężczyzna znaleziony w lesie, miał z tym wszystkim wspólnego. I w jaki sposób Pan Wąsik poznał jego nazwisko. Dziennikarze zawsze mieli swoje dojścia. Pewnie ordynator poinformował o tym policję, Karwas usłyszał na pogrzebie i przekazał Marioli a ona Wąsikowi. To zdawało mi się najbardziej prawdopodobne. Zmarły nazywał się Jakim, doktor Jakim. Ciekawe nazwisko - pomyślałem. Na samą myśl o tym, co ciekawego mogło mnie jeszcze ominąć, poczułem rozgorzyczenie.

Sztylet, którym zamordowano ginekologa, znaleziono u Lewandowskiego.

Na kolejnej kartce wypisałem cisnące mi się na usta pytania. Najważniejszym był tajemniczy Adam. Wspomnieli o nim Mariola i Karwas. Jakie związki łączyły go z Orlickim?

Znów spojrzałem na zegarek. Zacząłem odliczać już sekundy dzielące mnie od wyjścia ze szpitala. Za kilka godzin mogło dojść do przełomu w śledztwie. Byłem pewien, że Mierzejski jest już na wolności i znów działa na własną rękę. Zastawiałem się tylko, dlaczego ani razu nie odwiedził mnie w szpitalu. Pewnie nie wiedział, że do niego trafiłem.

Przewinałem kasetkę do ostatniego nagranych słowa, wyjąłem słuchawki z uszu, odłożyłem notes i długopis na szafkę. Teraz zrobię



własne podsumowanie – pomyślałem i wcisnąłem przycisk nagrywania.

Nadal czułem na sobie wzrok dziewczyny. Odwróciłem się w jej stronę. Patrzyła na mnie tak intensywnie, że miałem wrażenie, że jest rzeźbiarką albo malarką, która chce zapamiętać mnie, jakbym był jakimś pieprzonym modelem. Zaczerwieniłem się lekko. Podobała mi się, ale musiałem skupić się na pracy. Zgasilem lampkę i odwróciłem się do niej plecami.

- Dobranoc - rzuciłem jej przez ramię.

- Dobranoc. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli nie zgaszę jeszcze swojej lampki i troszkę się panu poprzyglądam?

- Nie jestem ani modelem, ani piosenkarzem. Na amanta filmowego chyba także nie wyglądam, prawda? - Odpowiedziałem nieco bardziej grubiańsko, niż zamierzałem.

Nie zraziłem jednak swoim zachowaniem mojej rozmówczynie.

- Wiem, że niedługo wypiszą pana ze szpitala i znowu zostanę sama - kontynuowała coraz słabszym i smutniejszym głosem. Rozmiękczała moje serce. - Dlatego chciałabym pana zapamiętać.

- Dlaczego? - zapytałem wbrew swojej woli.

- Zawsze pociągali mnie mężczyźni w mundurach.

Podniosłem rzuconą mi rękawicę.

- Jak bardzo? - zapytałem, wolno przysiadając na brzegu jej łóżka. W odpowiedzi odchyliła koldrę i zauroczyła mnie swoim anielskim, nagim ciałem.

Zmieściliśmy się na jednym łóżku. Do rana nie zmrużyłem oka.

\*

O brzasku byłem już całkowicie spakowany i ubrany w to, co zostawiła mi Mariola. Tym razem czekałem na ordynatora jak na zbawienie. Z nudów bawiłem się telefonem komórkowym. Spojrzałem na wyświetlacz - pokazywał piątą rano. Wiedziałem, że przyjdzie mi czekać do dziesiątej. To było chyba pięć najgorszych godzin w moim życiu. Nie chciałem chodzić po sali, żeby nie obudzić mojego nocnego anioła, ale ledwo mogłem usiedzieć na jednym miejscu.

Spojrzałem na Jolę. Spała, zwrócona bokiem w moją stronę. Oddychała lekko i naturalnie. Miałem pewność, że będzie mi brakować tej dziewczyny.

Pomyślałem, że może spotkamy się jeszcze gdzieś, kiedyś, przypadkiem. Przecież świat wcale nie był taki duży. Chociaż wiedziałem, że to nie byłoby już to samo.

Poczułem niesamowitą, dziką wręcz satysfakcję. Oczywiście, nie byłem w stu procentach pewny, jakie Jola miała sny, ale z czystym sumieniem mogłem interpretować je na swoją korzyść. Spokojne, rozmarzone i uśmiechnięte oblicze dziewczyny dawało mi prawo do przekonania, że byłem lepszym kochankiem od Pana Wąsika. Oboje mieliśmy co wspominać i o czym marzyć.

Poza tym, obiektywnie spoglądając na to, co wydarzyło się tej nocy, skoro Karwas polecił Marioli zdobyć dowody za wszelką cenę, a razem pracowaliśmy nad tą sprawą, to polecenie równie dobrze powinno obejmować także mnie. Dzięki tej nocy co prawda nie zdobyłem żadnego materialnego dowodu, ale uzyskałem pewną informację. Uwierzyłem, że jest bardzo cenna. Chciałem, żeby była. Jola powiedziała że jej byłemu było do twarzy w uniformie. Zorientowałem się, że miała na myśli Lewandowskiego i jego sceniczne przebieranki. Nie przerywałem jej. Chciałem usłyszeć więcej.

Nagle dotarło do mnie to, co powiedziała. W mojej głowie zaczął bić dzwon Zygmunta. Nie zapytałem, za kogo najczęściej przebierał się Lewandowski. Czekałem, żeby dziewczyna sama mi to powiedziała. I zrobiła to.

Najczęściej Henryk Lewandowski przebierał się za policjanta. Dostałem to, na co czekałem. Mój nocny anioł także. Dziewczyna padła wyczerpana, ale szczęśliwa. Powiedziała, że byłem cudowny.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie minionej nocy. Na szczęście jej „zeznanie” nagrało się na kasetkę.

- Kurwa - wyrwało mi się mimowolnie. Zatkąłem usta dłonią. Odetchnąłem z ulgą. Jola odwróciła głowę w drugą stronę, ale się nie obudziła.

Właśnie uświadomiłem sobie własną głupotę. To się nagrało. Wszystko, a nie tylko jej „zeznanie”. Najgorsze jednak była świadomość, że nic nie mogłem wykasować. Musiałem się tylko modlić, żeby Mariola nie chciała przesłuchać nagrania. Ale nie miałem pomysłu, jak mógłbym ją

powstrzymać. Gdyby dowiedziała się o mojej zdradzie, pewnie zakończyłaby nasz związek. Musiałem sam siebie wyznaczyć na strażnika zeznań. Nie mogłem nikomu ich powierzyć. Postanowiłem nawet na chwilę nie rozstawać się z urządzeniem.

Przypiąłem sobie dyktafon do paska przy spodniach i odetchnąłem trochę głębiej.

Jakkolwiek zdawałem sobie sprawę z tego, że nasz związek nie mógł być wieczny, dobrze czułem się między udami Marioli i nie chciałem go szybko zakończyć. Powoli zacząłem przyzwyczajać się do swojego nowego „ja”.

Zamyśliłem się tak bardzo, że nie zauważyłem nawet, kiedy nastał ranek. Z błędnej drogi zawróciła mnie Jola. Odwróciła głowę w moją stronę i przeciągnęła się kilka razy. Teraz przyglądała mi się w milczeniu i uśmiechała bardzo kusząco. Przetarłem oczy dłońmi. Bolały mnie ze zmęczenia. Odwzajemniłem się lekkim uśmiechem. Dziewczyna potraktowała go chyba jako zachętę do rozmowy.

- Która godzina?

Zerknąłem na telefon. Wyświetlacz pokazywał ósmą. Byłem zaskoczony, że czas tak szybko leciał.

- Ósma.

Znowu przeciągnęła się i zamruczała jak kotka.

- Mało czasu nam zostało. Chodź do mnie.

Nie zamierzała ukrywać swoich zamiarów. Odchyliła kołdrę. Spróbowałem przeanalizować całą sytuację. Zdobyłem dowód i nie ryzykowałem przy tym życiem. Chyba że Jola miała HIV. Nie pomyślałem o tym. Pewnie i tak dowiedziałbym się o tym za kilka lat. W tej chwili byłem zdrowy i za kilkadziesiąt minut miałem opuścić szpital. Wiedziałem, że prawdopodobnie nie zobaczę tej dziewczyny już nigdy w życiu. To były plusy, które przemawiały chociaż za namiastką minionej nocy.

I znów czerwona lampka zapaliła się w mojej głowie. Chciałem odłączyć przewody od mózgu, ale zagrożenie było tak poważne, że nie mogłem go zlekceważyć. Mariola nie darowałaby mi do końca życia, gdyby się o tym dowiedziała. Ponadto, przyszedłby z nią zapewne Pan Wąsik. Rudy, brodaty kurdupel mógłby w każdej chwili napisać artykuł, a gdyby to

zrobił, spieprzyłbym karierę zawodową i życie - sobie, jej, Mierzejskiemu, Joli, Karwasowi, naruszyłbym także dobre imię całej policji. Nie, tego nie mogłem uczynić. Nie zastanawiałem się nad własnym sumieniem.

- Nie chciałem zniszczyć ci życia - powiedziałem wolno, patrząc dziewczynie prosto w oczy. Mimo to wciąż czekała, kusząc. - A jeśli wejdzie twój chłopak? - zapytałem po chwili.

- Nie bój się. Dam sobie radę.

W to akurat nie wątpiłem.

- Nie zapominaj o jednym: nigdy nie ufaj rudzielcom.

To był cios poniżej pasa, ale tylko te słowa przysły mi na myśl. Wstałem i skierowałem się do wyjścia. Byłem pewien, że moje stwierdzenie nie wywołało w świadomości mojego nocnego anioła żadnej reakcji.

Gdy dotarłem do drzwi, otworzyły się i drogę zastąpiła mi Mariola.

- Widzę, że jesteś już gotowy do wyjścia.

- Tak - odparłem.

- Dzień dobry - zwróciła się do mojej współlokatorki.

- Dzień dobry - odpowiedź Joli była słowicza, rześka i świeża.

Spojrzałem na dziewczynę i odetchnąłem z ulgą. Zdażyła przykryć się kołdrą.

- Coś ci dolega? - zapytała podejrzliwie Rakowiecka.

- Tak. Mam pełny pęcherz.

Przepuściła mnie i pośpieszyłem do kibla. Usłyszałem tylko słowa Joli. Powiedziała Marioli, że zazdrości jej szczęścia.

\*

Miałem złe przeczucia, ale na szczęście pierzchły, gdy wróciłem do sali. Ordynator czekał już na mnie i wręczył mi gotowy wypis.

- Załatwiłam formalności - powiedziała Mariola. W podziękowaniu skinąłem jej głową i uśmiechnąłem się do ordynatora. Mimo że nic nie wskazywało na wiszącą w powietrzu burzę, wolałem nie ryzykować i nie spojrzałem nawet w stronę swojej współlokatorki.

- Mam nadzieję, że będzie pan miło wspominał, oczywiście, jeśli to możliwe w stosunku do szpitala, pobyt u nas.

I nieprędko, a najlepiej nigdy tu nie wróci - pomyślałem. Odebrałem to jako prowokację z jego strony i moim zdaniem nią była. Ugryzłem się jednak w język i grzecznie odpowiedziałem.

- Odprowadzę jeden procent podatku na konto szpitala.

Ordynator uśmiechnął się krzywo. Wiedział równie dobrze, jak ja, że szpital nie jest organizacją charytatywną. Rakowiecka schowała mój wypis do torebki, a ja włożyłem, przyniesiony przez nią płaszcz. Po chwili siedziałem już w jej samochodzie i jechaliśmy do hotelu. Domyśliłem się, że audi odwiozła Karwasowi.

\*

Chciałem jak najszybciej wziąć się do roboty. Za dużo czasu zmarnowałem w szpitalu i zbyt wiele ważnych rzeczy mnie ominęło. Mariola natomiast była innego zdania. Stosowała się do zaleceń ordynatora i zastępcy komendanta, przekonywała mnie do kilku dni odpoczynku. Miałem w dupie to, co nakazał lekarz, ale powinienem stosować się do poleceń swojego przełożonego.

Rakowiecka dostrzegła chyba moje rozterki. Podeszła i zamiast usiąść koło mnie na łóżku, uklękła i położyła głowę na moich kolanach. Zawsze wiedziała, jak rozbudzić moje zmysły i jak mną kierować. Sam jej widok był kuszący. Poza tym głos, którym próbowała mnie przekonać – słodki i anielski doprowadzał mnie do szaleństwa. Chociaż byłem od niej starszy rangą, uległem i po raz kolejny zamiast z tarczą, wróciłem z pola bitwy na tarczy. Mariola przekonała mnie, żeby ten weekend spędzić w Łodzi. Tłumaczyłem to sobie tym, że w sobotę nie warto stać w korkach i specjalnie jechać na noc do Katowic. Chciałem także obejrzeć słynny pałac rodziny Scheiblerów, o którym kiedyś czytałem. Co prawda miałem wątpliwości, czy udałoby mi się go zwiedzić, ale przynajmniej mogłem zobaczyć tyle, ile się da z zewnątrz.

Tak tłumaczyłem sobie, teoretycznie, moją decyzję o pozostaniu jeszcze na kilka dni w Łodzi. Prawda jednak wyglądała tak, że moja mroczna Magdalena skusiła mnie swoim ciałem. Do końca dnia praktycznie nie wychodziliśmy z łóżka. W niedzielę podobnie. Do kościoła nie poszedłem. Wbrew obietnicom nocami także nie dała mi odpocząć. Posiłki

zamawialiśmy do pokoju. Byłem mile zaskoczony, że można zamówić wszystko, co się chciało. Obsługa na niczym nie oszczędzała. Spodobało mi się w tym hotelu i byłem zdecydowany nocować w nim w czasie każdego kolejnego mojego pobytu w Łodzi.

W poniedziałek poszliśmy na spacer do centrum miasta i stanęliśmy przed dumą Karola Scheiblera, neorenesansowym pałacem przy ulicy Piotrkowskiej. Tak jak myślałem, robił wrażenie. Niestety nie mogliśmy wejść do środka.

- Może wstąpimy gdzieś na obiad? - zaproponowała Mariola. Nie zauważyłem nawet, kiedy minęło południe.

- A po co? Możemy zjeść w hotelu.

- Tak, ale chciałabym w restauracji. Będzie przyjemniej.

Nie odpowiedziałem i dałem się poprowadzić.

\*

Nie potrafiłem nie okazać radości na widok Mierzejskiego siedzącego przy stole. Czekał na nas w lokalu zwanym „Restauracją Polską”. Wstał z krzesła i podniósł dłoń, gdy tylko weszliśmy do sali. Przywitaliśmy się i usiedli przy stole. Zjedliśmy obiad, każde z nas zamawiało oddzielnie. Nie zważałem na to, co jedli Mierzejski i Mariola, stwierdziłem, że po ostatnich przygodach moje podniebienie zasłużyło na coś nietuzinkowego. Zamówiłem obiad składający się z kremu chrzanowego z ozorkami i kaczki z jabłkami. Z deseru zrezygnowałem, za to kupiłem sobie Grey Goose Vodka. Po posiłku pojechaliśmy wreszcie do hotelu.

Mierzejski razem z Wąsikiem po chwili przyszedli do naszego pokoju. Hobbit od razu usiadł przed laptopem Rakowieckiej. Spojrzałem na niego spode łba.

- Jak się czujesz? - spytał detektyw, siadając przy stoliku i wyjmując dokumenty z aktówki.

- Jak nowonarodzony - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - I jestem gotowy do pracy.

- To dobrze. Siadaj.

Mierzejski zwolnił mi fotel i przysunął bliżej dokumenty, nad którymi siedział. Przyjrzałem się im bardzo dokładnie. Przełożyłem zdjęcia

Lewandowskiego na bok. Pod nimi leżały artykuły napisane przez hobbita. Wszystkie opowiadały o pracy policji, a w szczególności komisarza Orlickiego.

- Skąd takie zainteresowanie panem Orlickim? – zapytałem i spojrzałem podejrzliwie na rudzielca. Celowo zadałem to pytanie w bezosobowej formie. Nie wiedziałem, jak z nim rozmawiać. Chyba podświadomie postawiłem się na miejscu śledczego, a jego potraktowałem jak podejrzanego. Nie lubiłem kurdupla i nic nie mogłem na to poradzić.

- Ciekawość dziennikarska.

Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Postanowiłem jednak kuć żelazo, póki gorące.

- Nie bardzo rozumiem.

Wpatrywałem się w rudzielca bardzo intensywnie. Odsunął się na chwilę od klawiatury.

- Wraz z nagłym pojawieniem się pana Orlickiego na komisariacie w Krakowie, powstały pogłoski o różnego rodzaju błędach policji. Sugerowano, że komisarz ma być batem na niesubordynację i korupcję. Ponieważ od dłuższego czasu miałem go na oku, postanowiłem przyjrzeć się nieco bliżej jego działalności i przeszłości. Niestety nie udało mi się komisarza zdemaskować. Z różnych źródeł dowiedziałem się co nieco o jego życiu, ale w zasadzie to było tyle, ile wy wiedzieliście już od dawna.

- Właśnie widzę - powiedziałem i odłożyłem artykuły Wąsika. Dziennikarz ponownie utonął w mnogości danych ściągniętych z sieci. Chwyciłem wydruki przelewów bankowych jak ryba powietrze. Pod nimi leżały, własnoręcznie podpisane przez dyrektorów poszczególnych oddziałów banków, numery kont. Dane Henryka Lewandowskiego zostały podkreślone na czerwono. Porównałem je z kontami wpływów. Przy jednym z nich napisano „Nadawca nieznanym”. Przyjrzałem się dokładniej temu przelewowi.

- Ma pan jakieś swoje dojścia? Trzeba spróbować ustalić, kto to - podałem brodacowi papier.

- Chwilę to potrwa - mruknął.

- Poczekamy.

Kiedy dziennikarz stukał zajadle w klawiaturę, Mariola zamówiła mocną kawę i ciasto. Chyba miała nadzieję, że najtrudniejszy etap pracy mieliśmy już za sobą. Zresztą, myślałem podobnie.

- Nieźle się trzymasz - zagadnąłem Mierzejskiego. Stanął na chwilę na środku pokoju, z rękami założonymi na plecach.

- Orlicki wypuścił mnie z aresztu, ale nadal ma mnie na oku. Nie mogli mnie dłużej trzymać. Przekonałem komisarza, że sam sobie szkodzi, a ty na pewno skontaktujesz się z mediami i nagłośnisz moje zatrzymanie. Jak widzisz, ani mnie nie „torturowali”, ani nie zagłodzili na śmierć - uśmiechnął się lekko.

- A co z Lewandowskim?

- Karwas także musiał go wypuścić - powiedziała Mariola. - Kazał go śledzić i zakazał wyjazdu z kraju. Za to Romanow ma już postawione zarzuty.

- Bingo!

Równocześnie spojrzeliśmy na Wąsika. Odłożył słuchawkę telefoniczną. Nie zorientowaliśmy się nawet, kiedy zadzwonił.

- Rozmawiałem właśnie z dyrektorem jednego z banków, przypadkiem także Mierzejskim - przerwał nam. Spojrzałem pytająco na detektywa, ale wzruszył tylko ramionami.

- Przesłałem mu maila z nakazem prokuratorskim - kontynuował hobbit. – No i zdjęcie Lewandowskiego. Dyrektor napisał mi właśnie, którego konta ten jest właścicielem. Ostatnia wpłata dużej sumy pieniędzy pochodzi od Roberta Orlickiego, który miał konto w tym samym banku.

Mierzejski podszedł do monitora. Ja także, nie wierząc słowom Wąsika, musiałem na własne oczy zobaczyć zapis rozmowy.

- Mamy go, to i rozmowa z Lewandowskim wystarczy - skwitowała Mariola.

- Dzwonię do Karwasa.

Rakowiecka podała mi numer telefonu komórkowego zastępcy komendanta. Nigdy nie umiałem go zapamiętać. Bez chwili zwłoki wbiłem go w słuchawkę.

- Maciej Karwas, słucham - usłyszałem znajomy głos.

- Dzień dobry, szefie.



- Cieszę się, że cię słyszę. Jak się czujesz?

- Dobrze, a z każdą minutą coraz lepiej. Mamy haka na Orlickiego - przeszedłem od razu do rzeczy. - Możemy zatrzymać go w każdej chwili. Zaraz prześlę mailiem zapis rozmowy z dyrektorem banku.

- Dobrze.

Skinąłem dziennikarzowi, a ten przekopiował treść. Mariola podała mu adres mailowy Karwasa.

- Wysłane - hobbit powiedział po chwili.

- Świetna robota - pochwalił nas Karwas - Zaraz to przejrzę. Dobra, przeczytałem - powiedział po kilkunastu sekundach.

- Mamy także nagrane zeznania - wtrąciła Mariola. - Teraz wystarczy je tylko przepisać i wysłać do komisariatu. Świadcówce mogą podpisać je na miejscu.

- Świetna robota - powtórzył Karwas. - Przesłucham je po waszym powrocie. Możecie wracać. Ja przygotuję odpowiednie dokumenty i załatwię nakaz aresztowania. Jutro wyślę ludzi do Krakowa po naszego komisarza - dodał sarkastycznie.

- Zostaniemy jeszcze jeden dzień w Łodzi.

Karwas nie miał nic przeciwko temu, a Mariola uśmiechnęła się znacząco.

- W takim razie do zobaczenia.

- Do zobaczenia, szefie.

Zakończyłem rozmowę. Nie podobało mi się tylko to, że Rakowiecka wygadała się na temat nagrań. Teraz Karwas zechce je przesłuchać. Spojrzałem wściekle na swoją kochankę. Stała odwrócona do mnie bokiem, zadowolona z siebie, i nie mogła zobaczyć mojej miny. Moją tajemnicę szlag trafił.

- Dziękujemy panu za pomoc - Mierzejski zwrócił się do Pana Wąsika i spojrzał na niego porozumiewawczo.

- Drobiazg - dziennikarz skierował się do wyjścia z pokoju. Zostawił za sobą otwarte drzwi.

- Ja także was już opuszczę. Wyśpijcie się. Mam wrażenie, że jutro czeka nas dzień zwycięstwa – rzucił Mierzejski.

- A jak nas znalazłeś? - zapytałem, gdy stał już w progu.

- Wasz szef powiedział mi, gdzie was szukać.

Mariola zamknęła za nim drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Gdy odwróciła się w moją stronę, jej bluzka odsłaniała kuszące piersi.

## Rozdział 8

Orlicki spojrział na kolejne opakowanie tabletek uspokajających. Było puste, tak jak dwa poprzednie. Nie minęło jeszcze pół godziny od połknięcia ostatnich pastylek, a już trząsał się z nerwów. Czuł się jak narkoman.

Chwycił puste pudełeczko i z całej siły rzucił nim w ścianę. Cienki plastik pękł bez większego oporu.

- Skurwysyn! - krzyknął. Nie przejmował się już opinią swoich podwładnych i współpracowników. I tak mieli go za wariata. Wczoraj, niby przypadkowo, usłyszał na korytarzu, jak mówili „Idzie psychol. Trzeba by go zamknąć. Ciszej, jeszcze usłyszysz. I co, przecież to wariat”. Słyszał te głosy, tak jak wiele innych, ale nie reagował na zaczepki.

Może i mieli rację. Kto normalny zrezygnował z dnia na dzień ze swoich wszystkich nawyków, nawet głupiego picia kawy i, znając konsekwencje, nadużywał alkoholu w czasie wykonywania obowiązków służbowych? Nikt, tylko on, i to już od kilku dni.

Spojrzał na stojącą pod biurkiem napoczętą butelkę wódki. Wstał i chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu. Drzwi do pokoi kilku funkcjonariuszy były pootwierane i policjanci widzieli go bardzo dokładnie. Znów słyszał ironiczne uwagi i śmiechy. Nie kryli się już z nimi. Wszedł do toalety i zamknął za sobą drzwi. Teraz słyszał tylko głosy krzyczące w jego głowie. Najgłośniejszym był głos nieżyjącej już matki. „Bądź uczciwy i dbaj o swój honor”. Pamiętał, że zawsze to powtarzała. Słyszał także natarczywy głos Adama. „Nie zawieź mnie”. Do dzisiejszego dnia go nie zawiódł.

Spojrzał w lustro. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak źle, jak teraz. Nawet wtedy, gdy został przeniesiony z Katowic. Może i był wściekły, ale nie pokazał Mierzejskiemu swojej słabości. Nie pozwoliłby sobie na to w niczyjej obecności, a jego w szczególności.

Przekrwione od kilku dni z wyczerpania i przepicia oczy nie wróżyły mu rychło spokojnych snów. Przyjrzał się swoim włosom. Były już całkiem siwe.

Ochlapał twarz zimną wodą i wyjął z kieszeni spodni papierosy. Kiedy je kupował, nawet nie patrzył na ich nazwę, tylko wziął pierwsze z brzegu. Znalazł zapalniczkę. W komisariacie wprowadzono co prawda zakaz palenia tytoniu, ale on nie stosował się do obowiązujących tu zasad. Jego wątroba nie tolerowała już mieszanki nikotyny z alkoholem. Orlicki nie wytrzymał i zwymiotował do najbliższej toalety.

Po chwili wyszedł i, zanim wróci do swojego gabinetu, postanowił wstąpić na chwilę do Landorfa. Nie był pewny, czy podkomisarz jest w pracy, ale postanowił to sprawdzić. Może udałoby mu się wyciągnąć od niego jakieś informacje. Potem miał zamiar uporządkować pozostałe papiery i zniszczyć wszystkie zebrane materiały dotyczące pewnych osób, wśród nich Rokickiego i Mierzejskiego.

Przypomniał sobie usłyszaną kiedyś przepowiednię. Mocno go zaniepokoiła. Jedna z jego kochanek wróżyła z kart. Co prawda komisarz nie wierzył w tarota, runy czy astrologię, ale kiedyś powiedziała mu coś, co teraz wydawało się samoistnie spełniającą się przepowiednią. Zdradziła, że na jego życie będzie miał silny wpływ ktoś związany z mediami. Dlatego na wszelki wypadek Orlicki starał się unikać spotkań z przedstawicielami radia, telewizji i prasy. Odkąd Rokicki zaczął interesować się podpaleniem kamienicy i pisać artykuły, myślał, że to on jest dla niego największym zagrożeniem. Teraz nie miał już jednak co do tego stuprocentowej pewności. Tym bardziej, że wróżka wspominała o jakimś małym rudzielcu. Ostrzegła go też przed fałszywym przyjacielem. Wtedy śmiał się tylko z jej przepowiedni i machnął na nią ręką z lekceważeniem, ale teraz wszystko zaczęło nabierać nagle sensu.

Komisarz stanął przed drzwiami gabinetu Landorfa. Usłyszał jego głos i z początku myślał, że ten ma gościa. Zatoczył się i o mało nie przewrócił. Musiał chwycić się drzwi. Otwierały się do wewnątrz. Niespodziewanie wpadł do pomieszczenia. Szczęśliwie zatrzymał się na biurku podkomisarza.

Landorf wpatrywał się w niego przez moment całkowicie oniemiały z zaskoczenia. Słuchawkę trzymał nadal przyłożoną do ucha. Oprzytomniał wreszcie i rzucił w słuchawkę:

- Tak, jeśli trzeba będzie, będę zeznawał.

Rozłączył się.

- Aresztowali mojego przyjaciela – spojrzał na Orlickiego. - Chcą, żebym zeznawał w jego sprawie.

- Łżesz! - ryknął wściekle Orlicki. - Ty skurwysynie, zabiję cię!

Rzucił się na Landorfa, chwycili się za ramiona. Komisarz nie panował nad swoimi odruchami. Najpierw uderzył przeciwnika głową w głowę, a potem kolaniem prosto w żołądek. Młodszy z mężczyzn zgiał się w pół i na jego szczęce wylądowała pięść napastnika. Landorf upadł na podłogę.

- Zabiję cię!

Na krzyk Orlickiego, do gabinetu wpadło kilku funkcjonariuszy. Widząc, co się stało, obezwładnili komisarza i we trzech wyprowadzili z pomieszczenia. Zaprowadzili go do jego gabinetu. Tymczasem jeden z policjantów pochylił się nad podkomisarzem, próbując go ocucić. Było to jednak bezcelowe. Zadzwoił po karetkę pogotowia, chociaż wiedział, że dla leżącego i tak było za późno na pomoc. Został w pomieszczeniu, oczekując na przyjazd lekarza.

W korytarzu gromadzili się już pracownicy komisariatu. W zamieszaniu nikt nie zastanawiał się, kto był teraz najważniejszy rangą czy stanowiskiem i powinien podejmować bieżące decyzje. Wszyscy trwali w oczekiwaniu.

Zanim karetka przyjechała, rozdzwoił się stojący na biurku telefon. Obecny w pokoju funkcjonariusz podniósł słuchawkę. Po drugiej stronie odezwał się i przedstawił pierwszy zastępcą komendanta wojewódzkiego policji w Katowicach, Maciej Karwas. Chciał rozmawiać z podkomisarzem Piotrem Landorfem.

- Przykro mi, ale spóźnił się pan. Podkomisarz nie żyje.

Po drugiej stronie telefonu zapadła długa chwila milczenia. Policjant uznał, że to koniec rozmowy.

W Karwasa jakby piorun strzelił. Jak posąg trzymał przez chwilę słuchawkę w ręce. Podjął decyzję. Nie mógł czekać już ani minuty dłużej.

Wybiegł z mieszkania, wskoczył do służbowego samochodu i, nie zważając na ograniczenia prędkości, pojechał na komendę. Wpadł do swojego gabinetu jak burza i chwycił za telefon. Na klawiaturze wystukał numer jednego z nadkomisarzy.

- Proszę przyjść do mnie na chwilę.

Karwas odłożył słuchawkę. Wyjął z biurka teczkę z dokumentami Orlickiego i napisał na kartce kilka słów. Po paru sekundach do pomieszczenia wszedł siwowłosy mężczyzna. Pracował w policji, odkąd Karwas pamiętał.

- Proszę przygotować mi natychmiast nakaz zatrzymania. Tu są potrzebne dane.

Zastępca komendanta podał zapisaną kartkę policjantowi. Funkcjonariusz zadrżał, widząc napisane na niej dane, ale nie odezwał się ani słowem. Nie uszło to jednak uwagi Karwasa.

- Wiem, że zna pan komisarza Orlickiego. Ja także bardzo go kiedyś szanowałem. Jednak Robert dopuścił się przestępstwa. A my musimy bronić sprawiedliwości.

- Chodzi o sprawę tego podpalenia?

- Tak.

Nadkomisarz smutno pokiwał głową.

- Przygotuję nakaz - skierował się do wyjścia.

- Ja tymczasem poinformuję prokuraturę. I załatw mi samochód z kilkoma ludźmi - dodał Karwas, zanim policjant zamknął drzwi do gabinetu. Z początku nie zorientował się, że znowu odezwał się na „ty” do swojego podwładnego. Dotarło to do niego dopiero po chwili. Karwas wiedział jednak, że stary wyga pamiętał jeszcze czasy Milicji Obywatelskiej i „towarzyszy”.

Po kilku minutach trzymał w ręce nakaz. W kilka minut później Karwas siedział już w samochodzie i wyjeżdżał z policyjnego parkingu. Za nim podążyły dwa radiowozy.

- Jedziemy do Krakowa - nakazał aspirantowi.

- Dobrze, panie komendancie – służbiście potwierdził funkcjonariusz.

Karwas uśmiechnął się i zadzwonił do Rokickiego. Ten odebrał dopiero po kilkunastu sygnałach.

\*

Zdawało mi się, że znalazłem się w siódmym niebie. Nasze ubrania leżały pogniecione i rozrzucone po całym pokoju. Nauczony niedawnym doświadczeniem ze szpitala, od razu po wyjściu Mierzejskiego zapytałem Mariolę, czy będziemy nagrywać na dyktafon swoje igraszki. „Tak, jeśli chcesz skończyć jak Lewandowski”, odpowiedziała żartem. Odpiąłem dyktafon i z ulgą rzuciłem w kąt pokoju.

Nagle ugryzła mnie w język.

- Odbierz ten pieprzony telefon - wysyczała.

Była wkurzona. Rzadko przeklinała, ale gdy to robiła, wiedziałem, że trzeba być ostrożnym.

- Jak? Język mnie boli. – A telefonu wcześniej nie słyszałem.

- Trzeba było zrobić to wcześniej.

Wiedziałem, że nie powinienem się z nią kłócić. I tak to ja musiałem odebrać połączenie. Podeszedłem do ubrania i z kieszeni spodni wygrzebałem aparat. Dzwonił jak oszalały

- Co? - zapytałem zduszonym głosem.

Mariola odwróciła głowę w moją stronę. Na jej twarzy malowało się zaniepokojenie.

- Poinformuję go. Zaraz jedziemy. Spotkamy się na miejscu.

Rozłączyłem się i zdecydowanym krokiem podeszedłem do swojego ubrania.

- Co się stało?

- Dzwonił Karwas. Jedziemy do Krakowa - odpowiedziałem, wkładając spodnie i zapinając pasek. - Szef będzie tam na nas czekał.

Nie patrzyłem na Mariolę. Nie mogłem już myśleć o tym, co straciłem przez ten telefon.

- Teraz? Niedługo zacznie się ściemniać.

- Tak, jadą aresztować Orlickiego.

Rakowiecka nadal nie wiedziała, co się dzieje. Ja byłem już całkowicie ubrany.

- Ubieraj się. Idę zawiadomić Mierzejskiego. Landorf nie żyje.

Zanim Mariola zdążyła zareagować, wyszedłem już z pokoju. Na szczęście detektyw wynajmował pokój na tym samym piętrze, tylko na końcu korytarza. Zapukałem do jego drzwi. Miałem szczęście - nie spał.

\*

Mariola jechała jak szalona. Bałem się nawet spojrzeć na licznik pokazujący prędkość. Zacząłem modlić się ze strachu i uprzytomniłem sobie, że znowu nie będę miał okazji pójść do kościoła, a chciałem się nawet wyspowiadać. Tym bardziej, że zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Wjeżdżaliśmy do Krakowa. Ośnieżony, miał swoją aurę. Ośnieżony, a nie tak jak dzisiaj – zabłocony. Śnieg przestał padać, przyszło ocieplenie i wszystko zaczęło zamieniać się w błoto. Liczyłem na białe i siarczyste święta, takie jak lubiłem, ale pomału traciłem w to wiarę. Za pięć dni Wigilia – pomyślałem. Zerknąłem na chodnik. Krajobrazu dopełniała pijana młodzież najprzeróżniejszej proveniencji, prostytutki, biedacy i pijacy.

Karwas czekał już na nas na piątym komisariacie.

- Staraliśmy się przyjechać najszybciej, jak się dało - powiedziałem, przekraczając próg gabinetu. Mariola weszła za mną, Mierzejski zrobił to na końcu.

Najpierw nie zauważyliśmy niczego dziwnego. Tylko Karwas i dwóch młodych funkcjonariuszy stało przy biurku.

- My też przyjechaliśmy za późno. Komendant z Wojewódzkiej już tu był – zaczął zastępca komendanta, patrząc mi prosto w oczy. Myślałem, że mówi o śmierci Landorfa. Detektyw milczał wymownie.

- Rozumiem, że to gabinet zastępcy Naczelnika.

- Tak.

- A gdzie on jest? - zapytałem, nie kryjąc ciekawości w głosie.

- Przed wami - to mówiąc, Karwas odsunął się od biurka. Dopiero teraz zobaczyłem coś, czego zupełnie się nie spodziewałem.

Na krześle, wcześniej zapewne siedział, a teraz leżał z głową na blacie, w kałuży krwi, komisarz Robert Orlicki. Co do jego tożsamości upewniłem się, gdy podszedłem bliżej. Nie wierzyłem. Musiałem przekonać się na własne oczy, że to zastępca naczelnika. Mierzejski wyjął z kieszeni



gumowe rękawiczki. Założyłem je i lekko podniosłem głowę denata. Twarz była zakrwawiona, ale rozpoznałem Orlickiego. Spojrzałem na dziurę w prawej skroni. Komisarz w zaciśniętej dłoni trzymał pistolet.

- Kurwa! - położyłem jego głowę z powrotem na biurku. - Sukinsyn nie wytrzymał.

- Wiemy mniej więcej, co się stało? - spytał Mierzejski.

- Tak – przyznał Karwas. - Za zgodą komendanta z Krakowa przeprowadziłem już wstępne dochodzenie. Orlickiego pilnował funkcjonariusz. Wcześniej, wraz z kolegą przyprowadzili go z gabinetu podkomisarza Landorfa. Twierdzi, że gdy go znaleźli, komisarz był pod wpływem alkoholu. Stał nad ciałem Landorfa i śmiał się jak szalony.

Patrzyłem na Mierzejskiego. Nie wyobrażałem sobie, co musiał czuć w tej chwili. Przyjmował słowa w ciszy i smutku. Jedyne, co mógł powiedzieć, to:

- Rozumiem.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że to nie było samobójstwo? - zapytałem, żeby zabić ciszę po ciężkich słowach Karwasa.

- Mogę was zapewnić, że nie.

W progu gabinetu stanął około siedemdziesięcioletni, łysiejący mężczyzna. Spoglądał na nas zza okularów.

- Skąd taka pewność? - zapytałem.

Odpowiedział mi Karwas:

- To doktor Chmiel, jest jednym z najlepszych patologów w Krakowie. Przyjechał razem z ludźmi z tutejszego Wydziału Kryminalnego.

- Aha - skomentowałem nad wyraz elokwentnie. Przyjrzałem się nieco dokładniej patologowi. Jego spokojna twarz z wąską bródką i krótkimi wąsikami, równo przyciętymi tuż nad górną wargą, wzbudzała zaufanie.

Podszedł do nas energicznym krokiem i podał rękę na przywitanie. Mimo swojego wieku i wieloletniego pochylania się nad ciałami nie był przygarbiony. Nie dostrzegłem też, żeby nosił obrączkę na palcu. Gdyby Karwas nie powiedział, że to patolog, nigdy bym się tego nie domyślił.

- Pan Mateusz obejrzał już ciało komisarza Orlickiego i czekaliśmy tylko na was, żebyście obejrzelili denata i by mógł je zabrać na szczegółowe

badania - kontynuował zastępca komendanta, gdy Chmiel już się z nami przywitał.

- Kiedy je przeprowadzę, będę mógł odpowiedzieć na pytania bardziej konkretnie. Mogę zabrać już ciało?

Nikt nie zaprotestował. Po ciało Orlickiego weszło z korytarza dwóch osiłków. Wyszliśmy z gabinetu, żeby im nie przeszkadzać.

- Czy mógłbym zobaczyć jeszcze ciało śledczego Landorfa? - Mierzejski spojrzał na Chmiela.

- Nad nim nie musiałem pracować. Zginął od uderzenia w potylicę. Po ataku komisarza Orlickiego upadł na podłogę. Wtedy nastąpił zgon. Nie mam żadnych wątpliwości co do jego przyczyny. Ciało jest już w drodze do kostnicy w Katowicach.

- Pomyślałem, że chciałby być pochowany razem z ojcem - dopowiedział Karwas, zwracając się do detektywa.

- Z pewnością. Dziękuję, że pan się tym zajął. Ja muszę poinformować jego matkę. Przepraszam na chwilę.

Chmiel podszedł do Karwasa.

- To ja już pójdę. Kopie raportu prześlę panu mailem i pocztą tradycyjną - to mówiąc, pożegnał się ze wszystkimi i podążył śladem mężczyzn wynoszących ciało Orlickiego.

- Co teraz? - spytałem, gdy ponownie zostaliśmy we własnym gronie.

- Chyba powinniśmy zadzwonić do „naszego” dziennikarza - zasugerowała Mariola.

Chciałem jej przygadać za określenie tego kurdupla „naszym” dziennikarzem. Może był jej, ale na pewno nie moim. Na szczęście przyszedł detektyw i mnie ubiegł.

- Zrobiłem to, zanim jeszcze wyjechaliśmy z Łodzi.

Podziękowałem mu wzrokiem. Byłem pewien, że Mariola najchętniej sama zadzwoniłaby do hobbita. Nie dała jednak poznać po sobie, że jest zawiedziona. Znów zacząłem robić się o nią zazdrosny. I nagle przypomniałem sobie o nagraniu w dyktafonie. Postanowiłem nie poruszać tego tematu.

- Lepiej przeszukajmy ten gabinet. Może znajdziemy w nim coś ciekawego - zaproponował Mierzejski.

- Myślę, że to świetny pomysł.

Odrzucało mnie co prawda na samą myśl o tym, gdzie jestem, ale zrobiłem dobrą minę do złej gry i z wysiłkiem otworzyłem pierwszą szufladę. Na szczęście biurko nie było zamknięte na kluczyk. Trzeszczało ze starości. Swoim sztucznym zapalem udało mi się zarazić Karwasa i Mierzejskiego. Po chwili, z ociąganiem, przyłączyła się także Mariola.

Przeszukanie gabinetu nie zajęło nam dużo czasu, bo Orlicki miał w nim zaledwie kilka mebli. Znaleźliśmy w nich tylko śmieci - pudełka po papierosach, niedojedzone śniadania, batoniki i jakieś cukierki. Były w nich też zakrętki po butelkach. No i setki pustych opakowań po antydepresantach. Niestety nie odkryliśmy niczego ważnego. Nie było w nich żadnych akt, dokumentów, notatek, wycinków gazet ani broni.

- Jakby wiedział o naszych odwiedzinach i wszystko posprzątał - powiedziałem, zamykając kolejną szafkę.

- Nieźle. Chyba mocno naruszyliśmy jego psychiczną równowagę.

Spojrzałem zaskoczony na Mariolę.

- To prawda. Znaleźliśmy tylko śmieci, puste butelki po wódce - przyznał Karwas. - I telefon - dodał po chwili.

Usłyszawszy to, Mierzejski jakby zmartwychwstał. W jego ciało nagle wróciła energia.

- Komórkowy? - spytał, widząc stacjonarny pod biurkiem. Tego nie trzeba było długo szukać.

- Możemy sprawdzić jego ostatnie połączenia - podchwyciłem.

- Tak, ale lepiej ja to zrobię - zdecydował detektyw. - Znam prawie na pamięć nagrania z podsłuchu. Wiem mniej więcej, czego szukać.

Zgodziliśmy się. Odetchnąłem z ulgą widząc, jak wraca powoli do życia. Przynajmniej miał się czym zająć. Karwas podał mu telefon komórkowy i Mierzejski zaczął przeglądać rejestr połączeń. Odblokowanie klawiatury nie było problemem.

- Może przeszukamy archiwum? - zaproponowałem. Zastępca komendanta zgodził i zeszliśmy do piwnicy. Mariola została z Mierzejskim.

Archiwisty nie trzeba było długo przekonywać. Widocznie chciał jak najszybciej przekazać komuś przechowywane przez Orlickiego dokumenty. Zapalił światło i rozejrzeliśmy się po dużej sali, chronionej pancernymi drzwiami. Kod wejściowy był prawie nie do złamania. Kilkadziesiąt przesuwanych regałów. Każdy opisany. Podeszliśmy z Mierzejskim do kilku z nich.

- W tym pomieszczeniu niczego panowie nie znajdą.

Spojrzeliśmy pytająco na mężczyznę. W odpowiedzi wskazał nam niepozorne drzwi w kącie pomieszczenia. W milczeniu podszedł do nich, otworzył kluczem i zapalił światło.

- Mam zapasowy – powiedział. - To była kotłownia. Nikt tu nie zagłąda i nie wie, co w niej jest. Niedawno zagospodarował ją komisarz Orlicki.

Weszliśmy do środka i zobaczyliśmy poukładane na podłodze kartony, pozbawione opisów. Za to łatwo można było je otworzyć. Rozerwałem pierwszy z brzegu i zobaczyłem w nim prywatne archiwum Orlickiego. W kolejnym to samo. We wszystkich znajdowały się teczki opisane imieniem i nazwiskiem. Kartonów było kilkanaście.

- To są informacje o każdym z nas - skomentował Karwas. Wyjął telefon z kieszeni spodni i zadzwonił na naszą komendę. - Mówi Karwas. Proszę przysłać furgonetkę do piątego komisariatu w Krakowie.

- Zabieramy te materiały – zwrócił się do archiwisty – proszę przygotować spis. Pokwituję ich odbiór.

Mężczyzna odetchnął z ulgą.

- A tutejszy komendant nie będzie miał nic przeciwko temu? - spytałem, gdy wychodziliśmy z archiwum.

- Załatwione. Zgodził się.

\*

- Znalazłem coś - powiedział Mierzejski, gdy wróciliśmy do gabinetu.

- My też - rzuciłem entuzjastycznie, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Niestety rejestr połączeń ma ograniczoną ilość zapamiętanych rozmów - ciągnął. - Wśród nich nie ma tego, którego szukałem. Ale nie wiem czy pamiętacie, parę razy dzwonił do jakiegoś Adama.

- Tak - przyznał Karwas. - Jego imię pojawiło się na nagraniach z podsłuchu. Nie udało nam się jeszcze zidentyfikować tego człowieka, ale nadal nad tym pracujemy.

- W książce adresowej telefonu Orlicki ma tylko jedną osobę o tym imieniu - detektyw chciał dodać coś jeszcze, ale przerwała mu Mariola.

- Skontaktujmy się z Wąsikiem. Może ma też znajomości w firmach dostarczających usługi telefoniczne.

- My też takie mamy - odpowiedziałem nieuprzejmie. - Moim zdaniem lepsze rezultaty przyniesie policyjna prowokacja.

Miałem już ułożony w głowie jej plan.

\*

Powoli zacząłem żałować swojego „genialnego” pomysłu. Byłem też wściekły na Mierzejskiego i Karwasa, że tak ochoczo się na niego zgodzili. Ale ze mnie idiota. Cóż słowo się rzekło, kobyłka u płota. Raz kozie śmierć, tyle, że może być nie moja. Podejrzywałem też, że Mariola przystała na mój pomysł tylko po to, żeby wzbudzić we mnie zazdrość. A może chciała mi coś udowodnić? Jeśli tak, to nie wiedziałem, co by to miało być? Chyba tylko to, że mogła mieć każdego faceta, którego chciała i powinienem być zawsze przygotowany do walki o nią.

Zastępca komendanta nie czekał na nas. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jak wróci na komendę i przygotuje papiery. My postanowiliśmy spędzić resztę nocy w Krakowie i rano wrócić do Katowic. Wynajęliśmy dwa pokoje w pobliskim hotelu. Od razu po przyjeździe skierowaliśmy się do restauracji. Po szybkim zjedzeniu posiłku pobraliśmy z recepcji klucze do swoich pokoi - jeden wziął Mierzejski, a drugi, do dwuosobowego, Mariola. Mimo zmęczenia podróżą, nie mieliśmy zamiaru spać. Postanowiliśmy dopracować mój idiotyczny plan w najdrobniejszych szczegółach. Ponieważ nie mogłem się już z niego wycofać, nie chciałem, żeby pojawiły się jakieś nieprzyjemne niespodzianki. I tak za dużo już ryzykowaliśmy.

Mierzejski chyba tylko wszedł do swojego pokoju i zostawił bagaż w progu, bo po chwili pukał już do naszych drzwi.

- Otwarte - powiedziała Mariola bardzo oficjalnym tonem. Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Żeby nikt nam nie przeszkadzał, na wszelki wypadek przekręcił klucz w zamku.

Uda się, przekonywałem samego siebie, ale wyobraźnia nakreśliła mi już w myślach najczarniejsze scenariusze.

- Powinniśmy to zorganizować tutaj, w Krakowie – mruknąłem.

Rakowiecka nawet na mnie nie spojrzała. Patrzyła tylko na detektywa.

- Najpierw powinniśmy dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia i gdzie ten Adam mieszka.

- Racja. Musimy zadzwonić do niego jak najszybciej - ochoczo przytaknęła Mariola.

- To dzwoń.

- O tej porze? Normalni ludzie już śpią.

- Jesteś pewna, że on jest normalny?

Nie odpowiedziała. Mierzejski wyjął z kieszeni małą karteczkę i jej podał.

- To numer, który znalazłem w „książce telefonicznej” komisarza Orlickiego.

- Zadzwonię stąd. To będzie bardziej wiarygodne.

Rakowiecka nie czekała na naszą akceptację. Chwyciła aparat stojący na szafce i wbiła numer. Wcisnęła też przycisk głośnika. Sygnał było słycać w całym pokoju. Na wszelki wypadek wyjąłem z torby dyktafon i włączyłem nagrywanie.

Czekaliśmy. Modliłem się, żeby mój plan zawiódł albo żeby tajemniczy Adam nie odbierał telefonu. Po kilku sygnałach już dziękowałem w myślach Bogu. Niestety, za wcześnie. Ktoś odezwał się zaskoczonym głosem.

- Zakład Usługowy „Adam”, słucham.

Spojrzeliliśmy na siebie całkowicie zbici z tropu. Zorientowaliśmy się, że telefon został zarejestrowany na firmę.

- Halo? - ponagliła kobieta po drugiej stronie linii.

- Dobry wieczór. Nazywam się Arletta Korcz - powiedziała Mariola. - Czy mogłabym rozmawiać z panem Adamem?

- Którym Adamem?

- Jak to „którym”?

- Paniusiu, u nas w zakładzie mamy prawie samych Adamów - odpowiedziała kobieta.

Mariola spojrzała zdezorientowana na nasze twarze, ale nie wyczytała z nich niczego ciekawego. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem, żeby nie było tego słycać przez telefon.

- Chciałabym rozmawiać z szefem - zaryzykowała Rakowiecka.

- Jest zajęty.

- To bardzo ważna sprawa - Mariola nie dała się spławić bez walki.

- Jaka?

- Osobista.

- Właśnie sprawdzam w naszej bazie danych. Nie jest pani u nas zarejestrowana. Jeśli chce pani u nas pracować, to proszę przyjechać i wypełnić odpowiednie dokumenty. Jeśli, oczywiście, jest pani pełnoletnia.

O mało nie parsknąłem śmiechem, gdy to usłyszałem. Sierżant spojrzała na mnie wściekle.

- Zapewniam panią, że jestem pełnoletnia. I chciałabym spotkać się z szefem osobiście.

- Szef - podkreśliła jej rozmówczyni - spotyka się tylko z klientkami.

- To będę jedną z nich.

- Widzę, że pani jest bardzo zdesperowana.

- Tak - przyznała Mariola. - Bardzo.

- Dobrze, pani Arletto. Zapisuję pani wizytę na jutro. Proszę przyjechać do nas na godzinę dziesiątą rano. Zna pani adres?

- Mam gdzieś zapisany.

- Nasz zakład znajduje się przy ulicy Świtezianki. Pozna pani po dużym kolorowym szyldzie.

- W Łodzi? – zaryzykowała Rakowiecka.

- A gdzie? – odparła zniecierpliwiona kobieta. – Łódź, Świtezianki.

- Wizyta - powiedziała Mariola, jakby smakowała to słowo.

- Tak. Bardzo dogłębna. Do widzenia.

- Do widzenia.

Mariola odłożyła słuchawkę, a ja wyłączyłem dyktafon.

- I co o tym myślicie? - zapytała nas, ale spoglądała tylko na Mierzejskiego, tak jakby wcale nie było mnie w pokoju.

- Kurwa, to burdel czy co? - wypaliłem zniechęcony.

Znów nie wiedziałem co myśleć, mimo że nie byłem blondynem.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział mi Mierzejski.

- Wiedziałeś o tym?

- Domyślałem się.

- Będzie fajnie - Rakowiecka na chwilę rozegnała zbierające się chmury. Tryskała entuzjazmem. Zaczęła tańczyć do nieistniejącej muzyki.

- To nie jest zabawa - stwierdziłem poważnie.

- Mylisz się. Dla mnie to będzie przyjemność.

- Nie pozwolę ci tam iść, rozumiesz? Nie pójdziesz tam! - podniosłem głos.

- Nie będziesz mi mówić, co mam robić!

Zrobiła się purpurowa na twarzy. Atmosfera gęstniała z każdą chwilą. To było bardzo niebezpieczne, ale oboje postanowiliśmy mieć w tej kwestii ostatnie zdanie.

- Przestańcie - ponownie wtrącił się Mierzejski. - Weźcie pod uwagę, że nie jesteśmy jedynymi gośćmi tego hotelu.

Nie słuchaliśmy go i przekrzykiwaliśmy się nawzajem. Detektyw odwołał się jednak do mojego sumienia. Tego głosu nie mogłem zignorować.

- Sam zaproponowałeś prowokację. Zgodziliśmy się na nią wszyscy. Ty też. Nie wycofuj się z tego, co sam mówisz. Teraz jest już za późno. Spotkanie zostało ustalone.

To była prawda. Wiedziałem o tym, ale nie potrafiłem się z nią pogodzić.

- I nie jesteście jeszcze małżeństwem, żeby się kontrolować czy stawiać żądania - kontynuował detektyw.

- Właśnie - podchwyciła Mariola. - Nie możesz mi też zabronić, na przykład kochać się z nim - oczyma wskazała Mierzejskiego, który uśmiechnął się lekko.

- Co?!

Zerwałem się z łóżka i rzuciłem w jej stronę.



- Tknij mnie, a następnym razem spotkamy się na sali sądowej.

To ochłodziło mnie bardzo skutecznie.

- Idę się przewietrzyć - zakomunikowałem i wyszedłem z pokoju. Myślałem, że będą chcieli mnie zatrzymać, ale tak się nie stało. Byłem na nich wściekły, a najbardziej na siebie. To jasne, że zakład jest domem publicznym. Mierzejski na pewno wiedział a nie tylko się domyślał. Wcześniej nic mi na ten temat nie powiedział, a ja oczywiście ułożyłem „idealny” plan. Byłem chyba szaleńczo zakochany w Marioli i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie rozumiałem samego siebie. A może Mierzejski też był w niej zakochany i dlatego nie powiedział mi, że wysyłam ją do domu rozpusty? Czyżby chciał mi ją odbić? A może Rakowiecka też o tym wiedziała? Może to wszystko było ukartowane i dlatego tak chętnie zgodzili się na ten plan. Czy mógł być jakiś inny powód? Same pytania – na razie bez odpowiedzi. Może jednak Mierzejski chciał mi pokazać prawdziwy charakter mojej mrocznej Magdaleny. Najpierw była związana z Rakowieckim, a teraz omotała jego „nowego partnera”, mimo że Hirek nie ostygł jeszcze w trumnie. Tak się ucieszyła, że to burdel, że się zabawi. Poznawałem ją coraz bardziej i coraz mniej podobało mi się to wszystko.

Wyszedłem na parking. Mroźne powietrze sparaliżowało mnie na kilka sekund. Znow spadł śnieg. Stałem na nim i przyglądałem mu się, dopóki nie zacząłem dygotać z zimna. Teraz musiałem się jak najszybciej się rozgrzać. Poszwendalem się po ulicy Kalwaryjskiej i, kierując się starą prawdą, że alkohol rozgrzewa najszybciej, trafiłem do orientalnego baru, zwanego „Rong Vang”. Był już zamknięty, ale zobaczyłem kogoś krzątającego się w środku. Zastukałem mocno do drzwi i mężczyzna zlitował się nade mną.

Nieczęsto bywałem w takich miejscach. Trafiłem do przestronnego, czystego i schludnego pomieszczenia. W pierwszym momencie zastanowiłem się, czy nie powinienem iść gdzieś indziej, ale z tego zrezygnowałem. Zbliżyłem się do szynku, mijając puste stoliki i usiadłem przed ladą.

Poczułem się dziwnie, tak jakbym był śledzony. Ledwo usiadłem na drewnianym stołku, a zza zaplecza wyszedł barman. Młody, zaledwie dwudziestoparoletni mężczyzna uśmiechnął się do mnie na powitanie.

- Co dać?

Obrzuciłem go krytycznym spojrzeniem. Nie podobał mi się. Był krótko obciętym Wietnamczykiem, o ciemnych oczach. Niższy ode mnie, ale bardziej barczysty. Nie przeszkadzało mu, że patrzyłem na niego jak na manekina stojącego na wystawie sklepu odzieżowego. Albo nie pokazywał tego po sobie. Wolałem nie zastanawiać się nad tym, jakie myśli kłębiły się w jego głowie.

- Carlsberga.

- Lane czy z butelki?

- Z butelki.

Ostrożnie upiłem pierwszy łyk. Piwo było normalne, ale w tej chwili smakowało mi nadzwyczajnie.

- Dziękuję. Tego było mi trzeba.

Opróżniłem kufel zaledwie kilkoma łykami.

- Podać jeszcze jedno? - spytał barman. Dość dobrze mówił po polsku.

Skinąłem głową. Nie zastanawiałem się, jaki wysoki będzie rachunek. Zawartość drugiego kufla zniknęła tak samo szybko, jak pierwszego.

- Napije się pan ze mną? - zapytałem Wietnamczyka, gdy nalewał mi kolejne piwo. - Ja płacę.

- Nie, dziękuję - podał mi kufel.

- Tylko jedno. Jesteśmy tu sami.

- Nie wolno mi.

- Rozumiem.

- Ciężki dzień - barman współczująco pokiwał głową.

Akurat potrzebuję twojej litości, pomyślałem.

- Cały miesiąc, ale to tajemnica służbowa.

- Rozumiem.

Rzeczywiście zrozumiał, bo nie zapytał już o nic więcej. Wypiłem kolejne piwo, a potem kolejne, i kolejne, i kolejne. Nie liczyłem ile wypięm, ani ile czasu spędziłem w barze. Zresztą i tak nie byłem już w stanie odczytać godziny z tarczy zegarka. Mój mózg coraz mniej już rejestrował.

Poczułem zimno przenikające mnie do szpiku kości. Zrobiło mi się też mokro i nie mogłem złapać powietrza. Spróbowałem otworzyć oczy, ale zalewała mi je woda. Zrozumiałem, że tonę. Z każdą chwilą klatka piersiowa piekła mnie coraz bardziej. W głowie miałem tylko jedną myśl - musiałem jak najszybciej dopłynąć do brzegu. Nie czułem rąk. Z przerażeniem dotarło do mnie, że z zimna straciłem w nich czucie. Zdrętwiały mi całkowicie. Zacząłem rzucać się jak opętany. Całe życie przeleciało mi przed oczami, niczym Concorde. Całe? Nie, niecałe. Brakowało relacji z jednego dnia. Nie mogłem przypomnieć sobie, co robiłem wczoraj.

Kurwa, to koniec - pomyślałem. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Ktoś dopadł mnie wreszcie, ale kto? Sylwestrzak? Nie, to niemożliwe. On nie żyje przecież od roku. To może ten skurwysyn, Orlicki? Nie, też nie. To kto?

Cały czas wierzgałem jak spętany dziki ogier. Wszystkie moje wysiłki szły jednak na marne. Ból klatki piersiowej stawał się obezwładniający. Machinalnie tupnąłem nogą. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i nieoczekiwanej radości, natrafiłem na twarde podłoże. Czyżbym stanął na dnie?

Nagle przyszła mi na myśl jeszcze jedna osoba, o imieniu „Adam”. Nie wiedziałem, kim jest, znałem tylko imię, ale byłem niemal pewny, że to on mnie dopadł.

Zanim całkowicie straciłem przytomność, ktoś szarpnął mnie z całej siły za włosy, a potem za ramiona i pociągnął w górę. Dziwne, że nie poczułem żadnego podmuchu wiatru na twarzy, ale mogłem już oddychać. Na wszelki wypadek wolałem jeszcze nie otwierać oczu.

Minęło kilka sekund. Nic się nie działo. Ból w klatce piersiowej powoli ustępował. Coraz łatwiej łapałem też powietrze w płuca. Nie było tak świeże, jak się spodziewałem. Czyli nie stałem na plaży nad morzem – jak myślałem. Ktoś podtrzymywał mnie silnie pod ramiona. Ulżyło mi. Najwyraźniej jednak miałem przeżyć.

- Zabiję cię, skurwielu! - ryknąłem wściekle i odważyłem się wreszcie otworzyć oczy. W odpowiedzi poczułem silne uderzenie w żebro. Jęknąłem z bólu i zobaczyłem, że osuwam się na posadzkę. Przeturlałem się na plecy,

uderzając przy okazji barkiem w wannę. Nade mną pochyłał się jakiś mężczyzna. Znałem go. Nazywał się Dariusz Mierzejski i był prywatnym detektywem.

- Wstawaj.

Nie zareagowałem. Chwył mnie pod pachy i brutalnie podciągnął w górę. Puścił dopiero wtedy, gdy był już pewien, że jestem w stanie samodzielnie utrzymać się na nogach. Wyszedł z łazienki, a ja powlokłem się za nim do pokoju. Powoli przypominały mi się wydarzenia poprzedniego dnia: mój „wspaniały” pomysł, kłótnia z Mariolą i moje wyjście z pokoju. Niestety nie pamiętałem, co działo się później.

Zaskoczyło mnie to, co zobaczyłem w środku. Pokój nie przypominał już samego siebie. Meble były połamane, a lustro rozbite. Boże święty - pomyślałem - to horror. Chciałem zapytać, co się stało, ale zmieniłem zamiar, gdy pomiędzy zniszczonymi meblami zobaczyłem leżący na dywanie popękany dyktafon. Bez słowa skierowałem się do wyjścia.

- Wyjechała - powiedział Mierzejski, który do tej pory w milczeniu obserwował moją reakcję.

- Nie mogłeś jej powstrzymać?

- Nie.

Zatrzymałem się w progu. Odwróciłem się w jego stronę. W moich oczach płonęła żądza mordu.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?! - ryknąłem i rzuciłem się na niego z pięściami. Odsunął się, a ja zahaczyłem nogą o połamany stół i znów wylądowałem na podłodze.

- Zaczynij wreszcie myśleć, idioto.

- Adam - warknąłem, podnosząc się z trudem z dywanu. Mierzejski nie potwierdził, nie musiał. Prawie wszystko sobie przypominałem. Nawet mój pobyt w barze. Co prawda nie pamiętałem, po ilu piwach powiedziałem barmanowi „dość”, ale chyba to zrobiłem, skoro Mierzejski dopadł mnie w łazience. Chyba, że znalazł mnie na Kalwaryjskiej albo barman zadzwonił po niego, korzystając z mojego telefonu. Wolałem o to nie pytać.

- Kurwa, sama pojechała go zatrzymać? O której? - zapytałem. Przerazenie zastąpiło moją wściekłość, gdy usłyszałem własne słowa.

- Od razu po odsłuchaniu nagrań. W jej stanie do wszystkiego jest zdolna.

- Musimy tam jechać - zacząłem panikować. - Na co czekamy?

- Na ciebie - to powiedziawszy, Mierzejski wyszedł z pokoju.

Zostałem sam. Nie zastanawiałem się ani sekundy. Przebrałem się tylko i dziesięć minut później siedziałem już w wypożyczonej przez Mierzejskiego toyocie. Z piskiem opon wyjeżdżaliśmy z parkingu.

## Rozdział 9

Jechaliśmy prawie z maksymalną prędkością. Raz zwalnialiśmy, raz przyśpieszaliśmy.

- Świtezianki - na wszelki wypadek przypomniałem adres.

Mierzejski ustawił trasę w GPS-ie.

- Dlaczego pojechała tak wcześniej? - zastanawiałem się głośno. - Spotkanie ma się odbyć dopiero o dziesiątej. A może chce zbadać teren? - odpowiedziałem sam sobie.

- A może po prostu ma cię już serdecznie dość - zasugerował detektyw, a ja spojrzałem na niego, jakbym chciał go zabić. Wybrałem numer Marioli.

- Kurwa - uderzyłem pięścią w tablicę rozdzielczą po kilku sygnałach. Nie odbierała.

Mierzejski nawet na mnie nie spojrzał.

- Nie odbiera telefonu.

- A czego się spodziewałeś? Na jej miejscu także nie odebrałbym połączenia, gdybym domyślał się, że to od ciebie.

- I co teraz?

Spodziewałem się jakiejś porady z jego strony, ale jej nie otrzymałem.

- No przestań...

- Zamknij się i pomyśl czasem.

Samochód jadący przed nami powoli zaczął zwalniać. Mierzejski musiał zrobić to samo. Ze zdenerwowania dygotałem, jakbym miał febrę, ale on okazał się oazą spokoju. Coraz bardziej grał mi na nerwach. W milczeniu wyjął z kieszeni i podał mi telefon.

- Zadzwoń do swojego szefa. Może kontaktowała się z nim - zasugerował.

Zatrzymaliśmy się za jadącą przed nami półciązarówką. Lewy pas także był zajęty przez sznur samochodów. Znalazłem w spisie Karwasa i wcisnąłem guzik połączenia. Spojrzałem na zegarek. Pokazywał trzecią rano. Mimo tak wczesnej pory zastępca komendanta był już w pracy i

odebrał po kilku sygnałach. Nie zdziwiło mnie to, praca była dla niego drugim domem i życiem.

- Cieszę się, że to pan dzwoni, panie Darku, a nie mój podwładny. Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

Wstrzymałem oddech, zanim odpowiedziałem.

- To ja, szefie. Detektyw prowadzi samochód.

Spojrzałem na chwilę przed siebie. Znow podjechaliśmy kilka metrów i stanęliśmy. W pewnym momencie wydało mi się, że widziałem migającą sygnalizację radiowozu. Po chwili światło zniknęło. Usłyszałem też oddalający się, pędzący na sygnale ambulans.

- Co się tam dzieje?

- Nic, szefie. Utknęliśmy w korku. Chyba wypadek. Kontaktowała się z panem Mariola?

Miałem nadzieję, że nie. Karwas dobił mnie jednak słowami:

- Tak. Powiedziała mi wszystko. Rozumiesz? Wszystko. Jesteś idiotą.

- Szefie, pozwól mi wyjaśnić...

- Nie ma czego wyjaśniać.

- Co?

Mierzejski podjechał kilka metrów i z całej siły wdepnął pedał hamulca. Zobaczyłem peugeota, z którego niewiele zostało – uderzenia nastąpiły z przodu i tyłu. Przed nim stało mitsubishi z rozbitym lewym bokiem, a za nim żółty renault z rozwaloną maską.

- Jesteś już skończony w policji.

Do mojej świadomości docierało zaledwie co drugie słowo mojego przełożonego. Mierzejski wysiadł z samochodu i podszedł do stojących koło miejsca wypadku policjantów. Sanitariusze układali na noszach jakiegoś starszego mężczyznę. Domyśliłem się, że był właścicielem mitsubishi. Ja nie wysiadłem z samochodu. Uchyliłem tylko szybę od strony pasażera. Rozpoznałem zgnieciony z obu stron samochód Marioli.

- Jesteś zwolniony. Zostaw tę sprawę Marioli i Mierzejskiemu. Masz jak najszybciej uporządkować swoje sprawy i stawić się w moim gabinecie.

- Ale... - zacząłem.

Karwas przerwał mi natychmiast:

- Nie ma żadnego „ale”. Nie jesteś już policjantem.

Detektyw skończył rozmawiać z funkcjonariuszami. Szedł wolno w moją stronę i miał ponurą minę. W milczeniu wszedł do auta i zacisnął pięści na kierownicy z taką siłą, że kostki mu zbieleły. Niedawno pierwszy raz w życiu widziałem go zdenerwowanego i odczułem to na własnej skórze. Nie chciałem przeżywać tego po raz drugi. Tylko na niego spojrzałem, a on kiwnął mi potakująco głową.

- I masz zostawić sierżant Rakowiecką w spokoju. Prosiła, żebym ci to przekazał. W przeciwnym wypadku wystąpi dla ciebie o sądowy zakaz zbliżania się. Zrozumiałeś?

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć - czy powinienem śmiać się, czy płakać. Trząsałem się i głos mi drżał, gdy mówiłem.

- Szefie. Panie komendancie - poprawiłem się, bo ponoć nie był już moim przełożonym. - To już nie będzie konieczne.

Mierzejski ożywił się niespodziewanie i niespokojnie spojrzał w moją stronę.

- Mariola nie żyje.

Błyskawicznie wyrwał mi telefon z ręki, nim Karwas zdążył zareagować w jakikolwiek sposób. Mnie i tak było już wszystko jedno.

- Może ja to wyjaśnię - powiedział detektyw. - Niestety doszło do poważnego wypadku na drodze prowadzącej do Łodzi, niedaleko Częstochowy.

- Ile ograniczeń prędkości przekroczyliśmy? - zapytałem. Chciałem przerwać jego relację, Niestety bezskutecznie.

- Nie liczyłem - odpowiedział mi Mierzejski i kontynuował relację Karwasowi. - Jesteśmy na miejscu. Zderzyły się trzy samochody, w tym samochód sierżant Rakowieckiej. Jest obustronnie zgnieciony. Prawdopodobnie wpadły w poślizg. Jezdnia jest jeszcze mocno oblodzona.

Zamilkł na chwilę. Domyśliłem się, że Karwas o coś pytał.

- Tak - potwierdził. - Przed chwilą rozmawiałem z funkcjonariuszami. Jej ciało już zabrano. Ambulans właśnie zabiera do szpitala kierowcę mitsubishi.

Znów zapadła niepokojąca chwila ciszy.

- To nie będzie konieczne - powtórzył za mną Mierzejski.

Rozmowę przerwała odjeżdżająca na sygnale karetka.



- Właśnie go zabrano - potwierdził detektyw. - Tak, to na pewno on. Funkcjonariusze pokazali mi dokumenty. Nazywa się Adam Eros i jest właścicielem Zakładu Usługowego „Adam”. Dali mi nawet jego wizytówkę - to mówiąc, wyjął z kieszeni i pokazał mi mały kartonik. - Myślę, że wystarczy przesłuchać tego Adama. Może w szpitalu. Nie trzeba będzie jechać do Łodzi, ale może pan ma rację i jeśli przesłucha pracowników zakładu, dowie się czegoś więcej. Oczywiście, przywiozę Krystiana, ale dajmy mu trochę czasu, żeby się opamiętał. Do widzenia.

Wyłączył telefon i uruchomił silnik. Ostro machając kierownicą wyminął szereg samochodów i odjechaliśmy z miejsca wypadku. Po kilku kilometrach, sobie znanymi drogami, Mierzejski wyjechał na trasę do Katowic.

- Dokąd cię zawieźć?

Podąłem mu adres Karoliny.

\*

Poczułem zimno. Ogarniało mnie ze wszystkich stron i przenikało do szpiku kości. Poczułem także podmuch, coś jakby powiew wiatru. Z trudem zmusiłem się do otwarcia oczu. Nad głową widziałem księżyc i gwiazdy.

Kurwa, tylko nie to - pomyślałem, ciężko podnosząc się z ziemi. Znów znalazłem się w lesie. Stałem nagi na śniegu. Nie miałem odwagi spojrzeć na ziemię. Byłem pewny, że zobaczę ciało doktora Jakima. Instynkt podpowiadał mi jednak, że to nie *déjà vu*. Ostrożnie, ze strachem spojrzałem na śnieg. Ku mojej wielkiej uldze nie dostrzegłem ciała denata. Zamiast niego ktoś wyrył jeden wyraz. „MIERZEJSKI”. Zamknąłem oczy, a gdy je ponownie otworzyłem, leżałem na podłodze w mieszkaniu Karoliny. Na szczęście to był tylko sen.

Zamknąłem okno, przeszedłem do łazienki i ochlapałem twarz zimną wodą.

\*

Nie byłem na pogrzebie Marioli. Chciałem, ale nie byłem w stanie iść. Trzy zgony ważnych dla mnie osób w tak krótkich odstępach czasu, to zbyt

wiele. Po powrocie do Katowic przespałem się kilka godzin. Koło południa zadzwoniłem do Karwasa i obiecałem mu przyjść na drugi dzień. Rozmawiał ze mną w miarę normalnie, widocznie emocje już nieco opadły. Przypomniał mi, że bym wykorzystał zaległy urlop przed odejściem. Skorzystałem z jego rady i teraz, od tygodnia, użalałem się nad sobą. Skutecznie pomagało mi w tym lustro i szkło. Piłem co popadło, co było najtańsze. Nie miałem celu w życiu, myślałem o samobójstwie, ale to było trzy dni temu. Teraz nie byłem już w stanie. Mogłem się tylko zapić.

Przedwczoraj byłem nieco trzeźwiejszy, bo alkohol mi się skończył i musiałem iść po nowy zapas. Kupiłem przy okazji gazetę. Miałem jeszcze na tyle szczęścia, że gdy dowlokłem się wreszcie do kiosku, czekał na mnie ostatni egzemplarz. Po powrocie do mieszkania otworzyłem „Dziką Wiśnię” i pociągnąłem z gwinta. Nie wiedziałem, co mnie podkusiło, ale zajrzałem do „Dziennika Zachodniego”. Nic nie przykuło szczególnie mojej uwagi na stronie głównej. Otworzyłem na stronach regionalnych. Też nic. Z przekleństwem na ustach rzuciłem gazetę w kąt pokoju. Sam nie wiedziałem, czego właściwie szukam, ale chyba po chwili to znalazłem. Podniosłem gazetę i rozłożyłem na podłodze. Usiadłem przed nią i z niedowierzaniem spojrzałem na tytuł artykułu. „Faszyści idą do sądu”. Boże - pomyślałem - co za debil wymyślił taki nagłówek? Spojrzałem na podpis. Autorem był niejaki Jakub Wąsik. Nie musiałem długo szperać w pamięci. Aż takich dziur w mózgu jeszcze nie miałem.

- Kurwa, ten Wąsik? - zapytałem sam siebie.

Przeczytałem artykuł, wstrzymując oddech. Po jego skończeniu musiałem się napić.

- Na pohybel skurwysynom! - krzyknąłem na całe gardło i roześmiałem się szaleńczo. Jednocześnie nie mogłem nie docenić hobbita. Domyśliłem się, skąd miał część materiałów do artykułu. Prawdopodobnie Karwas powiadomił go o przesłuchaniu kilku pracowników „Adama” i ten „wrzód”, niby przypadkiem znalazł się w pobliżu. Byłem jednak pod wrażeniem tego, czego sam się dowiedział. Musiałem przyznać, że albo rozmawiał z Lewandowskim, albo miał nosa i sam udał się do tego szpitala w Łodzi, w którym leżałem. Tak czy inaczej, rozmawiał z ordynatorem i pokazał mu zdjęcie zamordowanego ciemnoskórego mężczyzny. W artykule napisał, że

denat był jednym z najlepszych studentów medycyny i był świetnym ginekologiem. Studiowali na tej samej akademii. Kiedyś nie sądziłem, że Orlicki mógłby posunąć się do tego, żeby zrobić mnie w morderstwo kogoś z innego miasta, podjąć ryzyko i podrzucić w okolice Pszczyny. Ofiara została wybrana przypadkowo, miała uwiarygodnić zabójstwo na tle rasowym. Ciemnoskóry to ciemnoskóry, a tu okazało się, że nie był on osobą, która mogłaby pozostać anonimowa. Teraz byłem już tego pewny. Miałem pewność, że Orlicki był zdolny do wszystkiego, żeby tylko chronić tajemniczego Adama. Co do tego ostatniego, to niestety nie udało się go przesłuchać. Zapadł w śpiączkę i lekarze nie potrafili go wybudzić.

A co z Lewandowskim i Romanowem? Zajrzałem jeszcze raz do artykułu. Lewandowski przyznał się do morderstwa Rakowieckiego i doktora Jakima na zlecenie Orlickiego. Romanow jeszcze raz potwierdził, że dla niego pracował. Za kilka dni pewnie będzie rozprawa sądowa, na którą zostanę wezwany i obaj posiedzą sobie w pierdłu – pomyślałem, uśmiechając się do napoczętej butelki.

Złożyłem gazetę. Zamierzałem schować ją sobie na pamiątkę. Podniosłem się z podłogi. W tym samym momencie mój umysł zarejestrował natarczywe pukanie. Odczekałem kilka sekund. Gdy upewniłem się, że to nie stukot w mojej głowie, wstałem i podszedłem do drzwi. Wyjrzałem przez judasza. Na klatce schodowej stał Mierzejski.

- Znowu chcesz mnie utopić?

- Nie.

- Mhm.

Niechętnie otworzyłem drzwi z zamka. Byłem jeszcze na tyle trzeźwy, żeby wpuścić go do mieszkania i chwilę z nim porozmawiać. Stanął w progu, ale nie wszedł do środka.

- Długo czekałeś? - zapytałem. Zaświtało mi w głowie, że może znów zasnąłem i nie słyszałem, kiedy zaczął pukać. To wyjaśniałoby też, dlaczego od dłuższego czasu nie dobiegają mnie żadne niepokojące odgłosy z mieszkania Wróbla.

- Nie - odparł detektyw.

Odetchnąłem z lekką ulgą. Nie urwał mi się film.

- Czytałeś gazetę?

- Tak - pokazałem mu trzymany w ręce dziennik. - Dziękuję, że nie musiałem odpowiadać na głupie pytania, że nikt mnie nie przesłuchiwał. Jak to załatwiłeś?

- Mam swoje sposoby.

- Rozumiem, ale na rozprawie będę musiał być obecny.

- Tak. Jak się czujesz?

Spojrzał krytycznie na otaczający mnie bałagan.

- Jak dupek - odpowiedziałem. - Jakbym to ja popełnił ostatnie morderstwa.

Mierzejski nie skomentował tego.

- Wejdiesz?

- Nie. Zajrzałem tylko na chwilę.

- Mhm.

- Załatwiłeś już formalności w pracy?

- Połowicznie. Wykorzystuję zaległy urlop. Jutro pójdę do Karwasa - znów okłamałem samego siebie.

- To dobrze. Załatw to jak najszybciej. Możesz być mi potrzebny, ale już nie jako policjant.

- To znaczy?

- Wyjaśnię ci to, kiedy będziesz całkiem trzeźwy.

- Mhm.

- Byłeś na pogrzebie Marioli? Nie widziałem cię w kościele ani na cmentarzu.

- Nie - odpowiedziałem. - A pytał ktoś o mnie?

- Nie. Okay, idę. Jak załatwisz swoje sprawy, to zadzwoń do mnie.

Nie czekał na moją odpowiedź. Nie podał mi nawet ręki na pożegnanie. Po prostu odwrócił się i wyszedł. Co miałem zrobić? Zamknąłem drzwi na zamek i wypilem resztę zawartości butelki. Podeszedłem do okna. Chciałem zobaczyć, jak wsiadał do swojego mercedesa. Zatrzymałem się przy oknie dłużej niż z początku zamierzałem. Pod blok podjechał radiowóz. Przetarłem oczy ze zdumienia. Zobaczyłem wysiadających z niego Karwasa i Wąsika.

Kurwa - pomyślałem - mam nadzieję, że nie będą chcieli do mnie przyjść. Niech zatrzymają Mierzejskiego, porozmawiają z nim i jadą w

cholere.

Niestety moje życzenia się nie spełniły. Detektyw pomachał im tylko na pożegnanie i odjechał, a zastępca komendanta i dziennikarz zniknęli w drzwiach klatki schodowej. Usłyszałem szybko zbliżające się kroki.

I co teraz powinienem zrobić? Udawać, że mnie nie ma? Nie uwierzą. Postanowiłem złapać byka za rogi. Otworzyłem drzwi, zanim zdążyli zapukać. Nie wiedziałem, który z nich miał bardziej zdziwioną minę – Karwas czy hobbit. Pierwszy spojrzał na mnie bardzo krytycznie i nawet się nie przywitał. Rudzielec postanowił odgrywać rolę dobrego policjanta.

- Dzień dobry.

- ... dobry – powtórzyłem jak echo.

- Powiedzmy mu, co mamy i jedziemy - wtrącił się Karwas.

- Może jednak wejdziemy? Nie lubię rozmawiać na klatce schodowej.

- Nie przekroczę progu tego...

- Burdelu? - zapytałem ironicznie.

- Ten dzień może być jeszcze dobry - Wąsik uratował sytuację, zanim Karwas zdążył odpowiedzieć. Domyśliłem się, że krasnal stał się już stałym współpracownikiem policji. - Czytał pan dzisiejszą gazetę?

- Tak - skłamałem. - Szkoda tylko, że Eros zapadł w śpiączkę.

- To prawda, ale nie o tym artykule chcemy mówić. Przesłuchaliśmy z panem komendantem jeszcze raz wszystkie nagrania detektywa Mierzejskiego i przycisnęliśmy Romanowa. Poszedł na współpracę. Zaświadczył, że śledczy Orlicki był innej orientacji seksualnej. Dowiedzieliśmy się też, że komisarz miał romans z Adamem Erosem.

- To wyjaśnia, dlaczego go chronił. Ale co to ma wspólnego z podpaleniem kamienicy?

- Wiele. Adam był także kochankiem Michała Landorfa. a ten jego mentorem. Landorf był biseksualny, nawiasem mówiąc. W pewnej chwili postanowił zakończyć związek, a Adam nie chciał do tego dopuścić.

- Zemścił się, zabijając go - dokończyłem.

- Tak. Podpalił kamienicę, ale to nie wszystko. Ojciec komisarza Orlickiego zagospodarował nielegalnie działkę, na której stała kamienica. Po kilku latach, kiedy właściciele się nie zgłosili, stał się legalnym właścicielem, a następnie zapisał ją w testamencie synowi.

- Czyli Orlicki o wszystkim wiedział – stwierdziłem.  
- Tak, ale prawdopodobnie zniszczył testament ojca. Nie znaleźliśmy go. Chronił siebie i dobre imię rodziny.

- Dziękuję. Postaram się jak najszybciej wrócić do pracy.

W Karwasa jakby piorun strzelił.

- Ale nie do Katowic. Zwolniłem cię.

Wcześniej też mówił o moim odejściu z policji. Nie chciałem jednak wierzyć, że to prawda. Miałem nadzieję, że to tylko sen i chciałem się obudzić. Nie wiedziałem jak powinienem się teraz zachować.

Zastępca komendanta stanął tylko na chwilę w progu, jakby się nad czymś zastanawiał i powiedział:

- Masz szczęście. Według raportu Komendanta Wojewódzkiego Policji w Krakowie, w mieszkaniu śledczego Orlickiego znaleziono pochodzące z przemytu narkotyki i fałszywe pieniądze. Masz szansę się tym zająć.

Wyjął z kieszeni jakiś złożony na cztery dokument i podał hobbitowi, a ten przekazał go mnie.

Karwas wyszedł z mieszkania. Hobbit podążył za nim i zamknął drzwi. Dopiero teraz odważyłem się rozłożyć kartkę i przeczytać pismo Karwasa. Z wrażenia usiadłem na podłodze. Widać Mierzejski szepnął o mnie dobre słowo i dostałem propozycję przeniesienia do „ARCHIWUM X”.

Cały Karwas. Nadal był wściekły o Mariolę, ale... Zrozumiałem, że właśnie otrzymałem ostatnią szansę.

\*

To było dwa dni temu. Dzisiaj kończyłem przygotowania, a jutro rano miałem stawić się już w Krakowie.

Zaczynałem nowy etap swojego życia.

[1] Blondynka - dawna nazwa pałki policyjnej (przyp. autora).